KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Nr 4/66** **1953**



• *«La Culture»* • *Revue mensuelle* •

WYNIK ANKIETY „KULTURY"

WŁ. BĄCZKOWSKI:

JÓZEF STALIN

AL. KAWAŁKOWSKI:

WOJNA PSYCHOLOGICZNA

SPIS RZECZY:



NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

ARCHIWUM POLITYCZNE

KSIĄŻKI



KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Kwiecień - Avril 1953



INSTYTUT LITERACKI

Cz. Miłosz laureatem Prix Européen

W chwili kiedy druk bieżącego numeru był na ukończeniu nadeszła wiadomość o przyznaniu pierwszej Prix Littéraire Européen *w wysokości* 10.000 *fr. szwajcarskich. Jury międzynarodowe w składzie : Gottfried Benn, Elisabeth Bowen, Hagmund Hansen, Salvador de Madariaga, Gabriel Marcel, Hans Oprecht, Denis de Rougemont, Ignazio Silone na posiedzeniu w dn.* 24 *marca w Genewie uchwaliło przyznać nagrodę Czesławowi MIŁOSZOWI za powieść pt. :* La prise du pouvoir.

,,Europejska Nagroda Literacka'' została ufundowana w r. 1952 *z inicjatywy ,,Centre Européen de la Culture'' w Genewie przez ,,Communauté des Guildes du Livre'' czyli przez związek spółdzielni wydawniczych, których szybki rozwój w różnych krajach europejskich pozwolił na sfinansowanie nagrody.*

Powyższa nagroda jest przyznawana co dwa lata za dzieło literackie w manuskrypcie, w dowolnym języku europejskim. Nagroda jest traktowana jako zaliczka. Nagrodzone dzieło wydane zostaje w sześciu językach; pierwszy łączny nakład wyniesie 100.000 *egz. Oblicza się, że dochody z honorariów przyniosą każdemu z nagrodzonych sumę równą mniej więcej nagrodzie Nobla.*

Termin nadsyłania manuskryptów upłynął 1 *października* 1952 *r. Ogółem nadesłano* 356 *manuskryptów z tego* 181 *w jęz. niemieckim,* 83 *we francuskim,* 56 *we włoskim,* 14 *w hiszpańskim i* 9 *w angielskim.*

W celu selekcji utworzono poszczególne jury językowe, które przedstawiły jury międzynarodowemu 8 *manuskryptów w tym* 3 *w jęz. niemieckim,* 2 *w hiszpańskim,* 2 *we włoskim i* 1 *we francuskim (barwy francuskie w tym wypadku, jak się okazało, reprezentował Polak). Z tej liczby jury międzynarodowe dokonało wyboru. Po otworzeniu kopert z nazwiskami stwierdzono, że autorem powieści ,,La prise du pouvoir'' jest Czesław Miłosz, i że jest to przekład z oryginału polskiego dokonany przez znaną pisarkę filozoficzną, Jeanne Hersch.*

Imprimé en France

Imprimerie RICHARD, 24, rue Stéphenson, Paris (18e)

Oblicze emigracji

W jakiej mierze ankieta KULTURY odzwierciadla opinie polskiej emigracji? Innymi słowy, w jakiej mierze jest reprezentatywna?

Jeżeli przeprowadzilibyśmy wywiady z 600 Polakami w pięciu częściach świata i w 27 krajach, zadając im serię identycznych pytań — otrzymalibyśmy informacje, które posiadałyby pewną wartość przy formułowaniu wniosków ogólnych. Nasza ankieta jest taką serią wywiadów.

Przystępując do częściowego opracowania materiałów ankiety obawiałem się, że stopień jej reprezentatywności będzie ograniczony typem respondentów. Sądziłem mylnie, że w ankiecie wezmą przede wszystkim udział inteligenci i tzw. sfery intelektualne. Okazało się jednak, że intelektualiści zbojkotowali ankietę. Ze stu pisarzy zrzeszonych w Związku Pisarzy Pol. na obczyźnie — udział w ankiecie wzięło zaledwie kilku. To samo można powiedzieć o dziennikarzach, naukowcach, profesorach szkół akademickich, politykach, ministrach itp. O ile pewni nasi przeciwnicy operują chętnie pod adresem zespołu KULTURY mianem ,,pięknoduchostwa'' o tyle, w żadnym wypadku, o ,,pięknoduchostwo'' nie można posądzić zespołu naszych respondentów. 50 % biorących udział w ankiecie to ludzie o średnim wykształceniu. 7 % ukończyło jedynie szkołę powszechną. Tylko 40 % posiada wykształcenie uniwersyteckie. Jedna trzecia pracuje fizycznie w kopalniach, w fabrykach i na roli a tylko jedna piąta pracuje w biurach.

Należy wnioskować, że zespół respondentów jest wyjątkowo reprezentatywny tzn. w odpowiedziach nie wyczuwa się wyraźnej przewagi jednej z grup społecznych. Jeżeli nasza ankieta jest reprezentatywna to w odniesieniu do szerokich mas emigracyjnych a nie w stosunku do cienkiej warstwy efer kierowniczych.

To samo dotyczy wieku. Najmłodszy z naszych respondentów liczy lat 18 — najstarszy 78. 50 % biorących udział w ankiecie należy do grupy 30 i 40 lat co z pewnymi zastrzeżeniami pokrywa się z ogólnymi danymi dotyczącymi całej emigracji.

W sumie wydaje mi się, że w warunkach nam dostępnych powiodło się nam osiągnąć maksymalny stopień reprezentatywności, co oczywiście nie uprawnia do formułowania autorytatywnych sądów w odniesieniu do całej emigracji, ale co umożliwia — bodaj po raz pierwszy ! — wypracowanie pewnych statystycznych danych, które wiele mówią a jeszcze więcej dają do myślenia.

TABELA I

Kraj	*Ilość odpowiedzi*
1. Anglia	135
2. Argentyna	73
3. Kanada	72
4. U.S.A.	66
5. Niemcy	43
6. Francja	40
7. Australia	33
8. Brazylia	14
9. Szwecja	9
10. Afryka Połudn.	7
11. Nowa Zelandia	7
12. Belgia	7
13. Hiszpania	7
14. Kongo Belg.	6
15. Marokko	5
16. Afryka Wsch.	4
17. Szwajcaria	4
18. Italia	4
19. Kolumbia	2
20. Liban	1
21. Płn. Rodezja	1
22. Meksyk	1
23. Guatemala	1
24. Venezuela	1
25. Sudan	1
26. Tanganika	1
27. Urugwaj	1
ŁĄCZNIE :	546

TABELA II

Mężczyzn	*Kobiet*
436	110

TABELA III

Wiek	*Ilość*	*Procent*
Grupa 20 do 30	91	16,5 %
Grupa 30 do 40	159	29 %
Grupa 40 do 50	105	19 %
Grupa 50 do 60	153	29 %
Powyżej lat 60	31	5,5 %
Brak odpowiedzi	7	1 %
	546	100 %

TABELA IV

Wykształcenie

Ukończona Szkoła Powszechna	35	7 %
Ukończona Szkoła Średnia	268	49 %
Ukończony Wyższy Zakład Naukowy	222	40 %
Brak odpowiedzi	21	4 %
	546	100 %

TABELA V

Rodzaj pracy i zajęcia

W fabrykach, zakładach przemysłowych itp.	159	28,5 %
W biurach	110	21 %
W wolnych zawodach	159	28,5 %
Studiuje	70	13 %
Brak odpowiedzi	48	9 %
	546	100 %

TABELA VI

Stosunek do Rządu R. P. w Londynie

Pozytywny	256	46,5 %
Negatywny	185	33,5 %
Obojętny	105	20 %
	546	100 %

TABELA VII

Stosunek do Rady Politycznej w Londynie

Pozytywny	164	30 %
Negatywny	191	35 %
Obojętny	191	35 %
	546	100 %

TABELA VIII

Stosunek do Komitetu Demokratycznego (p. S. Mikołajczyka)

Pozytywny	35	7 %
Negatywny	408	74,3 %
Obojętny	103	18,7 %
	546	100 %

TABELA IX

Partie Polityczne

ONR	2
Str. Narodowe	3
Liga Niepodległości	5
PSL (Bagiński)	2
P.R.W. ,,NiD''	52
WIN	1
PPS	3
PSL (Mikołajczyk)	4
Bez przynależności partyjnej	474
	546

TABELA X

Poglądy polityczne

Monarchistyczne	3
Prawicowo-konserwatywne	46
Prawicowo-postępowe	1
ONR	3
Narodowe	2
Narodowo-demokratyczne	2
Chrześcijańsko-postępowe	4
Liberalne	194
Lewicowe	110
Nieskrystalizowane	181
	546

TABELA XI

Polskie Siły Zbrojne na obczyźnie

Pragną służyć w PSZ na obczyźnie	216	40 %
Nie chcą	174	31,6 %
Niezdecydowani	156	28,4 %
	546	100 %

TABELA XII

Czy należy przyjmować obce obywatelstwo?

Należy	211	38,5 %
Nie należy	158	28,5 %
Niezdecydowani	177	33 %
	546	100 %

TABELA XIII

Program federacyjny

Za programem federacyjnym	485	89 %
Przeciw	34	6,5 %
Niezdecydowani	27	4,5 %
	546	100 %

TABELA XIV

Gdzie chcielibyście mieszkać w przyszłości po zmianie obecnego reżimu w Polsce?

W Polsce o ustroju takim jak w r. 1939	75	14 %
W Polsce wchodzącej w skład Federacji Europ.	417	75,6 %
W każdej nie-komunistycznej Polsce	16	3 %
Zdecydowani pozostać zagranicą	38	7,4 %
	546	100 %

OBJAŚNIENIA I KOMENTARZE

Klasyfikacja nastręczała czasem pewne trudności zwłaszcza, że respondenci nie zawsze odpowiadali ,,tak'' lub ,,nie'' i w niektórych wypadkach należało z obszernej argumentacji wypośrodkować definitywną odpowiedź względnie uznać ją za nieskrystalizowaną.

Nie było większych trudności z ustaleniem grup wieku. Na marginesie warto może zauważyć, że o ile wszystkie respondentki określały swój wiek dokładnie o tyle pewien procent mężczyzn ograniczył się do ogólników w rodzaju : ,,po czterdziestce'' lub ,,około pięćdziesiątki''.

W określeniu typu pracy i zajęcia chodziło przede wszystkim o wyodrębnienie pracowników fizycznych w przeciwstawieniu do pracujących w biurach lub w wolnych zawodach. Dlatego punktem 1. w Tabeli V. objęci zostali wszyscy pracujący fizycznie zarówno w fabrykach jak w kopalniach, na fermach itp.

Pojęcie ,,wolnego zawodu'' w Tabeli V. potraktowano z konieczności b. szeroko. Powiedzmy dla przykładu, że do grupy ,,wolny zawód'' zaliczono stanowisko pani domu — na co może nie wszystkie panie wyraziłyby swoją zgodę. To jest zagadnienie — ukujmy dla niego nowy efektowny termin — geo-socjalne. I tak w Anglii stanowisko ,,pani domu'' wydaje się formą szczątkową i na wymarciu. Większość respondentek z Anglii i ze Stanów Zjednoczonych pracuje zawodowo. Odwrotnie — znakomita większość respondentek w Argentynie to ,,panie domu'' nie pracujące zarobkowo.

Dość szczegółowego komentarza wymaga Tabela VI. We wszystkich wypadkach kiedy respondent nie określał swego stosunku do rządu definitywnym terminem (pozytywny, negatywny, obojętny) — za podstawę klasyfikacji przyjmowano stosunek do legalizmu. Np. pewien respondent pisze : ,,rząd uznaję za legalny ale go nie popieram'' — inni uznają obecny rząd za legalny ale sądzą, że nie zasługuje na zaufanie itp. We wszystkich wypadkach w których respondent uznaje rząd za legalny sklasyfikowano wypowiedź jako pozytywną bez względu na krytyczne opinie wysuwane pod adresem obecnego rządu. Jeżeli chodzi o uczestników ankiety należy obiektywnie stwierdzić, że obecny rząd jest niepopularny, namiętnie krytykowany i nie darzony zaufaniem. Natomiast niezależnie od krytyki i braku zaufania 46,5 % respondentów uważa instytucję rządu polskiego w Londynie za legalną. Ankieta w całej rozciągłości potwierdza opinię tych, którzy sądzą, że największym politycznym aktywem rządu jest legalizm.

Teoretycznie Rada Polityczna stoi na stanowisku legalizmu. Mimo to jednak wszyscy respondenci związani z tą instytucją określali swój stosunek do rządu jako ,,negatywny'' i wskutek tego nie można było tych głosów klasyfikować inaczej. Głosy ,,negatywne'' w stosunku do rządu nie pokrywają się z głosami ,,pozytywnymi'' w stosunku do Rady Politycznej. Wchodzą tu w grę sympatycy Komitetu Demokratycznego p. Mikołajczyka, którzy ustosunkowują się negatywnie zarówno do rządu jak do Rady Politycznej. Nie brak i takich, którzy odnoszą się negatywnie do rządu, Rady Politycznej i p. Mikołajczyka.

Jeżeli chodzi o Radę Polityczną uderza wysoki procent głosów obojętnych. W pewnych środowiskach jak np. w Argentynie znaczny procent respondentów nic nie wie o Radzie Pol. Takie określenia jak np. : ,,Nie mam wyrobionej opinii — nie wiem

co to jest?" są dość częste. Na pozytywne głosy w stosunku do Rady Pol. przypada 52 głosy NiD'owców co stanowi jedną trzecią pozytywnych wypowiedzi. Kwestionariusze NiD'owców są wzorowo wypełnione i niemal równobrzmiące. Wydaje się, że ugrupowanie to stoi organizacyjnie na wysokim poziomie. Wszyscy NiD'owcy określili swoje poglądy polityczne jako ,,lewicowe".

Jeżeli chodzi o zapatrywania polityczne to większość naszych respondentów (304 na 546) hołduje poglądom liberalno-lewicowym. Choć trzeba być ostrożnym ze zbyt szybkimi wnioskami, to przecież warto zauważyć, że np. twierdzą emigracyjnego liberalizmu jest Anglia a bastionem prawicy Argentyna i Hiszpania. Ani jeden z naszych respondentów z Hiszpanii nie określił swoich zapatrywań jako liberalne. Z 46 prawicowych konserwatystów większość przebywa pod modrym niebem Argentyny.

Mówiąc o wojsku trzeba szczerze powiedzieć, że dla tej sprawy nie ma żadnego entuzjazmu. Raczej wręcz przeciwnie. Pragnie służyć w PSZ na obczyźnie 40 % respondentów. Ale i ci co gotowi są służyć wysuwają różne zastrzeżenia. Wielu dodaje : ,,nie ochotniczo" lub ,,tylko w razie wojny". Do grupy niezdecydowanych zaliczeni zostali ci, którzy w odnośnej rubryce postawili znak zapytania względnie uzależnili swą decyzję od spełnienia różnych warunków w rodzaju : ,,tak, ale nie pod dowództwem gen. Andersa" — albo ,,tak, ale nie jak długo urzęduje obecny rząd". Ponieważ nie wiadomo czy p. X jak zmieni się rząd nie wysunie jakiegoś innego warunku — odpowiedzi tego typu sklasyfikowano jako niezdecydowane. Praktycznie można więc przyjąć, że 60 % respondentów nie pragnie służyć w PSZ na obczyźnie. Odnosi się bowiem wrażenie, że niezdecydowani w gruncie rzeczy nie chcą służyć w wojsku.

Za przyjmowaniem obcego obywatelstwa wypowiada się niemal 40 %. Do grupy niezdecydowanych w tej sprawie zaliczono tych, którzy bądź to stwierdzają, że poglądy ich są nieskrystalizowane bądź też udzielają odpowiedzi w rodzaju : ,,tak i nie — zależnie od okoliczności". Na podstawie bardzo obszernych wypowiedzi można przyjąć, że przeważa pogląd, iż zwyczajny emigrant walczący w obcych warunkach o byt dla siebie i rodziny powinien przyjąć obce obywatelstwo jeżeli może mu to być pomocą w osiągnięciu lepszej pozycji w sensie materialnym i społecznym. Nie powinni natomiast przyjmować obcego obywatelstwa politycy, wyżsi wojskowi, działacze partyjni, publicyści, pisarze — jednym słowem ci, którzy reprezentują Sprawę polską wobec obcych. Wydaje mi się, że w ten sposób można by sformułować opinię większości naszych respondentów.

Niemal 90 % respondentów wypowiada się za programem federacyjnym. Przez ,,program federacyjny" większość respondentów rozumie federację stopniową i regionalną. A więc — a) federację narodów Europy środkowo-wschodniej, względnie tzw. Międzymorza (ta koncepcja ma wielu zwolenników) — b) wejście do ogólnej federacji europejskiej, która składałaby

się z federacji regionalnych. Federacja typu kantonalnego czy Stany Zjednoczone Europy są programem, który nie ma poparcia większości respondentów.

WNIOSKI

Jeżelibyśmy przyjęli, że większość Polaków na emigracji myśli podobnie jak 546 respondentów naszej ankiety to pierwszy wniosek jaki się nasuwa należało by sformułować następująco : nikt na emigracji nie dysponuje większością ani rząd ani Rada Polityczna. Natomiast rząd, który by skupił pod jednym dachem zwolenników obecnego rządu i Rady Politycznej mógłby liczyć na poparcie 80 % społeczeństwa emigracyjnego.

Jeżeli wnioskować z materiałów ankietowych (niektóre wypowiedzi liczą 30 stron pisma maszynowego) w masach emigracyjnych jest głębokie i powszechne poczucie kryzysu historycznego. Równocześnie masy te znajdują się pod bardzo silnym wpływem kultur obcych co wydatnie wzmogło pęd do krytycznego rewizjonizmu przeszłości.

Góra emigracyjna, a przede wszystkim sfery rządowe nie zdają sobie w dostateczny sposób sprawy z tych przemian i zbyt często stosują sztancę polityczną z lat poprzedzających rok 1939, co niepotrzebnie pogłębia rozdźwięk między społeczeństwem emigracyjnym a sferami oficjalnymi.

Jeżeli przed rokiem 1939 czy w tymże roku nasi przywódcy twierdzili, że ,,nie oddamy ani guzika'' to był to w znacznie mniejszym stopniu frazes niż się to nam dziś wydaje. 60 % społeczeństwa święcie w to wierzyło a pozostałe 40 % pragnęło w to wierzyć. Innymi słowy frazeologia rządu miała pokrycie (większe lub mniejsze) w nastrojach społeczeństwa. Lecz dziś, gdy nasi wodzowie, ministrowie i politycy mówią o całej, suwerennej, niepodległej Polsce w granicach z r. 1939 plus Ziemie Odzyskane — nikt w to nie wierzy. I ów brak pokrycia w wierze ogółu czyni z tych wypowiedzi ,,sztance'', frazes, który odcina sfery rządzące od mas emigracyjnych.

Jeden z naszych respondentów pisze co następuje :

,,Jak gdyby nie dostrzegając zupełnie ewolucji, w kierunku której postępuje przemiana struktury organizacyjnej świata, nasi domorośli politycy mówią wciąż o naszych żądaniach odbudowy Polski mocarstwowej od morza do morza i od Odry do Dniepru. Może w pewnych warunkach można by uznać za pożyteczne wysuwanie takiego programu maksymalnego, który mógłby być punktem wyjścia dla targów i żeby móc następnie ustąpić z niego nieco. Lecz czyż istnieje obecnie jakiś partner do targów ? Obecnie sprawa wygląda w ten sposób, że przecież z zewnątrz nikt się nie pyta nikogo z nas o żaden program, a więc biorąc rzecz praktycznie, nie mamy żadnej możliwości targowania się z nikim. Prostym więc wnioskiem z tego jest, że ten cały program maksymalny jest przeznaczony wyłącznie na wewnętrznopolski użytek, posiadając charakter wybitnie demagogiczny. Nasi wszyscy tzw. działacze polityczni głoszą ten program jedynie dlatego, że wierzą, iż tymi hurra-patriotycznymi hasłami potrafią się nadal utrzymać na po-

wierzchni — bojąc się równocześnie powiedzieć społeczeństwu rzeczywistą prawdę".

A oto głos innego respondenta :

„Nasi przywódcy rządowi i wodzowie (a raczej kandydaci na wodzów) albo są tak naiwni, że nie rozumieją sytuacji międzynarodowej, albo też rozumiejąc ją świadomie wprowadzają w błąd emigrację. Budzenie nadziei na niepodległość i suwerenność mogłoby odnieść skutek gdybyśmy mieli kaptury na głowach i nie czytali obcych gazet. Potrzebni nam są bystrzy, rozumni politycy a nie „mocarstwowi kolędnicy".

Robotnik dokowy w jednym z portów *Nowej Zelandii* pisze :

„Suwerenne państwo poniżej 150 milionów mieszkańców jest przeżytkiem".

„...czas samodzielnych małych państw — przeminął" (*Kongo Belgijskie*).

„Polska jako samodzielne państwo nie ma żadnych szans istnienia" (*Argentyna*).

„Już nigdy nie będziemy suwerenni. Dziś istnieje możliwość zniszczenia 25-milionego narodu w przeciągu kilku tygodni". (*Anglia*).

„Nie wierzę w niepodległy byt 25-milionowego narodu wciśniętego między 70-80 milionów Niemców a 150-200 milionów ludów Rosji". (*Anglia*).

Wypowiedzi tego typu są dziesiątki. Należy z nich wnioskować, że legenda mocarstwowości leży w gruzach a polityczny „styl mocarstwowy" budzi tylko w masach emigracyjnych gorycz i podejrzenie, że sfery kierownicze usiłują ludzi wprowadzić w błąd.

Jakże charakterystyczna jest następująca ocena :

„...ci sami ludzie, którzy mówią inteligentnie i rzeczowo o zagadnieniach technicznych czy tzw. problemach życiowych z chwilą gdy padnie słowo : „Polska" natychmiast przestają myśleć. Grają jak pozytywka mocarstwowego kuranta w którego ani oni sami nie wierzą ani nikt inny". (*Anglia*).

Tak uczestnicy ankiety charakteryzują mentalność emigracyjnej „góry".

Jeżeli użyłem określenia, że sądząc po wypowiedziach ankiety w masach emigracyjnych tkwi głębokie poczucie kryzysu historycznego to pragnę przez to powiedzieć, że większość jest w pełni świadoma, iż Sprawy polskiej nie można już więcej rozwiązywać według tradycyjnego wzoru. Jeżeli mamy trwać jako naród i państwo to cel ten możemy osiągnąć tylko w ramach nowych i nie-tradycyjnych form.

Z tymi zagadnieniami łączy się bezpośrednio problem wpływów obczyzny na masy emigracyjne. Wnioskując z wypowiedzi respondentów wpływ ten — zwłaszcza w krajach anglosaskich — jest bardzo potężny. Ów wpływ manifestuje się trojako : 1. Wzmożeniem krytycyzmu w rozpatrywaniu przeszłości. 2. Tendencją ewolucyjną od emigracji politycznej ku Polonii. 3. Asymilacją.

Rozpatrzmy kolejno powyższe trzy punkty.

Klęska wrześniowa jest czymś jeszcze niesłychanie żywym i obecnym. O ile inteligent rozpatruje naszą klęskę z poczuciem perspektywy historycznej o tyle prosty człowiek mówi i pisze o Wrześniu z taką bezpośrednią goryczą, z takim niezaskrzepłym bólem jakby to wszystko działo się wczoraj a nie 13 lat temu. Ci ludzie, a nie inteligencja, są najzacieklejszymi oskarżycielami tzw. sanacji. I prości ludzie a nie inteligencja wyczuli najpotężniej kontrast pomiędzy Polską przed-wrześniową a Zachodem.

Jeden z respondentów, który w rubryce : wykształcenie wpisał „szkoła powszechna za cara" i jest murarzem pisze, że nie chciałby wrócić do Polski o ustroju z r. 1939, bo : „...za rządu 1939 r. panowie mieli straszną pychę, z klasą robotniczą mało liczyli się, robotnik był nieposzanowany". Jednak ów respondent wierzy : ...„że panowie z rządu nauczyli się za te lata na obczyźnie od innych narodowości, których zaliczaliśmy niższymi od siebie jak prowadzić życie i rządzić państwem. I dlatego chciałbym kiedyś wrócić i to zobaczyć".

Cytowany respondent jest przeciwnikiem przyjmowania obcego obywatelstwa i gotów jest wstąpić do PSZ gdy zostaną odtworzone na obczyźnie. Nie należy do żadnej partii politycznej.

Inny respondent, który pracuje w fabryce w Anglii pisze :

„Muszę stwierdzić, że moje życie w Polsce byłoby zmarnowane i tylko dzięki wojnie i Opatrzności żyję jak człowiek, tu w Anglii".

Respondent, który pracuje jako elektrotechnik w jednym z miast Anglii, pisze :

„Dopiero tu zrozumiałem znaczenie słów „demokracja" i „cywilizacja zachodnia". W Polsce sanacyjnej to były frazesy na pokaz".

Tego typu wypowiedzi są liczne. Krytycy sanacji tej kategorii w znacznym procencie dopiero tu na emigracji uformowali swój pogląd na ustrój i warunki w Polsce przed-wrześniowej. Najbardziej zjadliwe a często wręcz demagogiczne krytyki sanacji wychodzą spod piór zawodowych wojskowych. Ponieważ jednak noszą one wyraźne piętno „porachunków osobistych" w opracowaniu ankiety zdecydowałem się je pominąć.

W sumie trzeba stwierdzić, że proces zbliżenia mas emigracyjnych do demokratycznej kultury Zachodu umożliwił, w konsekwencji, wielu krytyczne spojrzenie na Polskę dwudziestolecia dostarczając skali porównawczej, którą większość uprzednio nie dysponowała. To jest proces ogólnie biorąc dodatni, kryje jednak w sobie pewne niebezpieczeństwo. Ci, którzy dopiero na obczyźnie zdobyli skalę porównawczą, w większości wypadków nie mieli możliwości zdobycia gruntowniejszej wiedzy o Polsce w okresie gdy w niej mieszkali. Ich obecny awans społeczny wyraża się poza wyższą stopą życiową coraz gruntowniejszą znajomością instytucji i kultury państw Zachodu — podczas gdy ich znajomość Polski pozostała na uprzednim prymitywnym poziomie. Jeden z naszych respondentów, który jako chłopak sprzedający gazety w Polsce przed-wrześniowej cierpiał biedę i nie dojadał, w Anglii ukończył kurs spawaczy, bardzo dobrze zara-

bia i kupił sobie używany samochód. Czyta prasę angielską i wieczorami kształci się na kursach technicznych. Jego spostrzeżenia dotyczące Anglii i kultury brytyjskiej są inteligentne i trafne. Natomiast jego uwagi o ,,sanacyjnej Polsce'' pozostały na poziomie chłopaka sprzedającego gazety na rogu ulicy. Są prymitywne i ignoranckie.

I tak oto przychodzimy do drugiego punktu tj. Polonii.

Ludzie o średnim zawodowym wykształceniu oraz ci, którzy wyższe wykształcenie zdobyli na obczyźnie — stanowią fundament powstającej na Zachodzie Polonii. Na wycinku obserwacyjnym naszej ankiety grupa ta obejmuje około 60 %.

Cechą członka Polonii w przeciwieństwie do emigranta politycznego jest naturalizacja faktyczna, która nie zawsze i nie we wszystkich wypadkach pokrywa się z naturalizacją paszportową. Członek Polonii realizuje swe ambicje życiowe na obczyźnie, praktycznie biorąc planuje i urządza się na stałe, związany jest z krajem osiedlenia pracą, karierą, często przygotowaniem zawodowym. Jego awans społeczny, stopa życiowa, poczucie bezpieczeństwa materialnego, kształcenie dzieci — wiążą go z krajem osiedlenia i w stosunku do tej grupy trudno byłoby mówić o ewentualności powrotu. Raczej o ewentualności reemigracji do Kraju po upadku reżimu komunistycznego. Wielu z tych ludzi wyraża obawę, że powróciwszy kiedyś do Polski czuliby się emigrantami we własnym kraju.

Cyfry statystyczne paszportowej naturalizacji nie dają pełnego obrazu sytuacji. Np. w Anglii pewien procent inteligencji przyjmuje brytyjskie obywatelstwo w celu zwiększenia poczucia bezpieczeństwa. (,,Ktoś za mną stoi, nie jestem bezpaństwowcem''). Lecz ludzie ci nie przynależą do Polonii, nie mają żadnych szans zrealizowania swych ambicji życiowych w Anglii, są społecznie zdeklasowani a nie zaawansowani i w rzeczywistości są nadal emigrantami politycznymi względnie po prostu uchodźcami. Paszport brytyjski w ich kieszeniach nie oznacza ani naturalizacji ani nawet aklimatyzacji lecz jest plastrem, który ma łagodzić ich emigracyjny kompleks niedowartości i niepewności.

I odwrotnie — znaczny procent w pełni zaaklimatyzowanych i faktycznie znaturalizowanych członków Polonii nie sięga po paszport brytyjski, bo czuje się pewnie w siodle i bez niego. Członkowie Polonii biorą paszport tylko w wypadkach gdy w danej gałęzi pracy, czy w danym związku zawodowym brak obywatelstwa utrudnia czy opóźnia awans.

Byłoby błędem mniemać, że Polonia jest stracona dla polskości. Ludzie ci jednak zmienili swój statut i należy inaczej do nich podchodzić. To nie jest już owa masa uchodźcza czy zdemobilizowany tłum gnieżdżący się po PKPR'owskich barakach. Traktowanie ich per ,,brać żołnierska'' z wyżyn rządowych Olimpu jest wielkim nieporozumieniem. Tylko zachodnim stylem i zachodnimi metodami można trafić do ich serc i kieszeni.

W procesie ewolucji od emigracji politycznej do Polonii zasadniczą rolę odgrywają młodzież i dzieci. To jest problem-

olbrzym. Jeden z naszych respondentów wymiar tego problemu ujął w następujący sposób :

1. Jeżeli bardziej kocha się własne dzieci od własnej Ojczyzny — wychować się je musi w duchu obcym ,,aby były szczęśliwe''.

2. Jeżeli bardziej kocha się Ojczyznę od własnych dzieci — oczywiście hoduje się je na Polaków.

Ale ilu kocha bardziej Ojczyznę od własnych dzieci ?

◆

Jeżeli podsumowalibyśmy naszą ankietową dyskusję usiłując z tej różnorodności ocen i opinii wyprowadzić jakiś syntetyzujący wniosek to sądzę, że trzeba by powiedzieć, że kierownictwo polityczne nie spełnia należycie swojej roli. Trzeba jednak natychmiast dodać, że każdy rząd emigracyjny będzie krytykowany, gdyż możliwości działania takiego rządu są znikome i listę zarzutów co dany rząd powinien zrobić a nie zrobił można mnożyć w nieskończoność.

Przyszły rząd jedności narodowej winien w pierwszym rzędzie odbudować kontakt ze społeczeństwem emigracyjnym. O rządzie londyńskim wielu nic nie wie. Jeden z respondentów we Francji w odnośnej rubryce ankiety wpisał : ,,stosunek do rządu zawsze wierny choć nie wiem nawet czy ci panowie jeszcze żyją ?'' Takie uwagi jak : ,,lojalny choć nic o nim nie wiem'' są częste.

Pierwszym obowiązkiem rządu emigracyjnego jest ożywiać zainteresowanie dla Sprawy polskiej. Winien on nie tylko trwać ale i politycznie istnieć.

Przyszły rząd musi wyciągnąć konsekwencje z faktu, że większość Polaków na emigracji hołduje przekonaniom liberalny i lewicowym. Wskutek tego kierownictwo polityczne musi być zorganizowane demokratycznie i przemawiać w stylu i w duchu demokratycznym.

Gdyby na emigracji powstał rząd czysto sanacyjny będący repliką z okresu przed-wrześniowego z całą pewnością nikt by go nie obalił. Nikt by go nie obalił z tej prostej przyczyny, że nikt takim rządem by się nie interesował. Na emigracji obywatel jest w takiej sytuacji, że nie musi się interesować rządem. Może na niego machnąć ręką. Rząd emigracyjny nie może biernie trwać tylko musi szukać poparcia obywateli. W przeciwnym wypadku rośnie procent obojętnych, którzy — jeżeli za podstawę wziąć wyniki ankiety — stanowią wraz z przeciwnikami rządu 53 % czyli większość.

To nie są łatwe sprawy. Zadania i ,,misja'' rządu emigracyjnego są niepomiernie trudniejsze od zadań rządu, który urzęduje w normalnych warunkach. Rząd na emigracji musi aktywnie przeciwdziałać procesowi demobilizacji psychicznej — musi być centralną agencją wojującego kościoła polskości. Co to znaczy ? To znaczy, że przyszły rząd musi mieć odwagę opiniować, decydować, przewodzić czy *rządzić*. Emigrant potrzebuje

przywództwa, dojrzałej rady-opinii w wielu ogólnych a zasadniczych sprawach. Ludzie borykają się na przykład z problemem obcego obywatelstwa. W materiałach ankietowych powtarzają się pytania : jakie jest stanowisko rządu w tej sprawie ? Dlaczego rząd nie wydał dekretu o podwójnym obywatelstwie ? czy rząd udziela zezwoleń na przyjmowanie obcego obywatelstwa ? Czy przyjmując obce obywatelstwo będzie się go można zrzec i przyjąć powtórnie obywatelstwo polskie ? itd. itd.

Są dziesiątki spraw istotnych i nie-łatwych w których rząd emigracyjny będzie musiał zająć określone stanowisko jeżeli zechce być w życiu emigracyjnym czymś więcej niż symboliczną mgławicą.

W polityce zagranicznej nowy rząd będzie musiał rozstrzygnąć arcy-dylemat — czy jego mandat ogranicza się do trwania na straży pamiątek i protestowania czy też mandat ten uprawnia również do negocjowania i pobierania decyzji.

Zilustrujmy rzecz przykładem. Wydaje się wielce prawdopodobne, że rząd amerykański dążąc do ustabilizowania sytuacji w Europie Zachodniej a w szczególności w Niemczech — podejmie kroki w celu definitywnego ustalenia granicy na Odrze i Nisie. Jest rzeczą zasadniczego znaczenia, aby w takiej chwili istniał polski rząd emigracyjny dysponujący poparciem bezwzględnej większości i aby ów rząd miał odwagę negocjować i decydować. W ustalaniu ostatecznej linii granicznej może się zdarzyć, że w jednym punkcie dwa powiaty stracimy, w innym dwa powiaty zyskamy. Nie chodzi w tym wypadku o owe dwa powiaty. Winniśmy bronić i połówki powiatu. Chodzi jednak o zasadę uznania się za kompetentnego do negocjowania i pobierania decyzji w imię interesu polskiego. To są dwie rzeczy różne — nie chcieć z niczego zrezygnować a nie móc. Obowiązkiem rządu jest nie chcieć ale jeżeli pragnie być partnerem musi potencjalnie być władnym powziąć i taką decyzję. I tak sprawę należy postawić.

Nie mamy powodu dyskutować tych zagadnień z Niemcami. Ale być może przyjdzie niedługo chwila, że trzeba będzie dyskutować na temat tego zagadnienia z Amerykanami i z Niemcami. Jeżeli pragniemy obronić Ziemie Odzyskane — a obowiązek politycznej obrony tych ziem spada w całości na emigrację — musimy wówczas mieć rząd popierany przez większość i zdecydowany negocjować oraz powziąć decyzję najlepszą z możliwych. Bo polityka jak powiedział Bismarck — jest grą rzeczy możliwych. Na protesty zawsze jest czas — na negocjowanie bywa czasem za późno.

Ten ankietowy ,,rachunek sumienia'' chciałbym zamknąć serdecznym podziękowaniem Zespołu KULTURY pod adresem tych wszystkich, którzy wzięli udział w naszej ankiecie. Zachęceni tym sukcesem zapewne jeszcze niejednokrotnie zwrócimy się do naszych Czytelników i przyjaciół z prośbą o opinię i radę.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Józef Stalin

W dniu 5 marca wieczorem, o godzinie 9.50, na Kremlu zmarł Józef Stalin, prezes Rady Ministrów, sekretarz Centralnego Komitetu Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, istotny twórca dzisiejszej struktury sowieckiego państwa i ruchu komunistycznego w świecie.

Jego duchowa sylwetka i ogrom wpływów politycznych wykracza daleko poza ramy dziejów współczesnego komunizmu. Postać Stalina staje się zrozumiała w pełni dopiero na tle historii Eurazji, tego szlaku wędrówek ludów, nad którym przez blisko 30 lat sprawował rządy. Stalin połączył w sobie cechy Czingiza, Iwana Groźnego z doby opriczniny i „pierwszego bolszewika" Piotra Wielkiego. Ich zaborczość i zdolności imperiotwórcze przejął razem z metodą niemiłosiernego łamania oporów i sprzeciwów. Stał się symbolem wielomilionowych obozów koncentracyjnych, odpowiedzialnym za morderstwa tysięcy towarzyszy, synonimem największej tyranii i totalizmu w dziejach świata.

Gdy jednak zechcemy, w obliczu śmierci, dopatrzyć się w zmarłym najsłabszego choćby odblasku Stwórcy — to musimy przyznać, iż razem ze Stalinem skończył swój ziemski żywot jeden z najsilniejszych charakterów świata i niezłomnych wyznawców swoistej wiary, prorok fałszywy, ale bezwiednie i nieustannie zmuszający świat cywilizacji zachodniej, tonący w głębokim kryzysie, do obudzenia i zrodzenia nowych, zbawczych idej, zdolnych przeciwstawić się zabójczym wpływom z zewnątrz i przezwyciężyć upadek wewnętrzny.

Może w takiej właśnie perspektywie oceniać będzie sens jego żywota daleka przyszłość.



Śmierć Stalina na pierwszy plan wysuwa problem jego następcy. Czy będzie on człowiekiem obecnej epoki bomby atomowej, świadomym skutków niepohamowanej ekspansji, (o czym

marzył H. Truman w słowie pożegnalnym do Kongresu 7 stycznia 1953 r.), czy też siłą inercji kroczyć będzie ubitym szlakiem rewolucji światowej, wiodącym do powszechnej wojny i kataklizmu na geologiczną miarę.

Trzy argumenty świadczyć mogą o bezpodstawności przypuszczenia, iż następca Stalina obierze drogę umiaru i rzetelnej współpracy z zewnętrznym światem. Pierwszy argument to testament życia zmarłego wodza. W swym ostatnim przemówieniu publicznym na 19 Zjeździe Partii, odbytym w Moskwie w październiku 1952 r., Stalin przemawiał nie jako premier konstytucyjnego państwa, utrzymującego normalne stosunki ze światem o odmiennych ustrojach, lecz jak rewolucjonista i wódz światowego komunizmu. Witając przedstawicieli 44 zagranicznych partii podkreślał doniosłą wartość ich pracy, zasługi w pomocy udzielonej Rosji w okresie zmagań rewolucyjnych i wyrażał wiarę w powszechne zwycięstwo komunizmu.

Jeśli uzupełnimy opuszczone w *oficjalnych* tekstach części jego przemówienia, idące w rzeczywistości niewątpliwie znacznie dalej w duchu zasad Kominternu, to wyczujemy właściwy charakter tego apelu, przypominającego przysięgę, jaką w dniu 26 stycznia 1924 roku składał nad grobem Lenina :

„Towarzysz Lenin odszedł i w swej ostatniej woli nakazał nam — mówił wówczas Stalin — wzmacniać i rozszerzać Związek Republik Sowieckich... nakazał nam zachowanie wierności zasadom Komunistycznej Międzynarodówki... Przysięgamy ci, towarzyszu Leninie, iż nie będziemy oszczędzać naszych żyć w pracy nad rozszerzaniem związku pracujących świata..."

Jeśli się całe życie Stalina zanalizuje w świetle założeń leninizmu przy uwzględnieniu zasad taktyki, wyłożonych choćby tylko w pracy Lenina „Dziecięca choroba lewicowości w komunizmie", to się musi z całym obiektywizmem przyznać, iż polityka zmarłego była najbardziej prosta i zmierzała ku jednemu tylko celowi — rewolucji światowej. Pod tym kątem widzenia dobierał sobie współpracowników, godził się na chwilowe kompromisy z wrogimi państwami, prądami i partiami, przybierał pozę kierownika nawy państwowej, zrywającego z „szaleństwami młodości", czy też zwalczał naiwny maksymalizm zwolenników natychmiastowego wcielania w życie programu światowej rewolucji.

Argument drugi. Wszystkie podane do wiadomości świata przemiany, jakie nastąpiły w Sowietach w przełomowym okresie po śmierci Stalina, potwierdzają tradycyjnie bolszewicki charakter przegrupowań personalnych : wypróbowani w ogniu najkrwawszych czystek stalinowcy zatrzymali swe dotychczasowe resorty i godności. Ten sam L. Beria, karzące ramię zmarłego tyrana, ten sam zimny i wypróbowany W. Mołotow, potulny K. Woroszyłow, specjalista od polityki w wojsku N. Bułganin, teść Stalina L. Kaganowicz, i nieodłączny A. Mikojan objęli czołowe stanowiska. W pierwszej chwili może zdumiewać zja-

wienie się w gronie starej gwardii Jerzego Malenkowa. Najmłodszy, nie wymieniany we wcześniejszych almanachach komunizmu, wysuwa się na pierwsze miejsce. Zadecydowało jednak o wyniesieniu byłego sekretarza osobistego Stalina, jego kompletne oddanie zmarłemu wodzowi, jego znajomość najskrytszych tajemnic gabinetu dyktatora, wreszcie — a może przede wszystkim — specjalizacja w zagadnieniach personalnych partii.

Tak samo droga kariery Stalina prowadziła poprzez kartoteki członków partii i poprzez jawne i tajne „czystki", usuwające mniej pewnych lub choćby tylko sobie mniej oddanych ludzi. Od układania i badania kartotek personalnych zaczynał karierę i Malenkow. Mając lat osiemnaście, w 1918 r., wstąpił jako ochotnik do czerwonej armii i w ciągu trzech lat (1919-1922) posuwał się szybko w karierze oficera politycznego szwadronu, pułku, oraz dywizji, zostając wreszcie współpracownikiem Zarządu Politycznego Frontu Turkiestańskiego i Wschodniego. Już w owym czasie głównym jego zajęciem była kontrola lojalności oddziałów wojskowych i opiniowanie o kandydatach na członków partii komunistycznej. Nawet w czasie studiów w moskiewskiej Wyższej Szkole Technicznej pełnił obowiązki sekretarza „jaczejki" szkoły. Pokrewne w tym charakterze stanowiska piastował i w późniejszym czasie. W latach 1925-30 pracował w centrali partii w Moskwie, od 1930 do 1934 r. był kierownikiem Wydziału Organizacyjnego Moskiewskiego Komitetu, a po 1934 r. został szefem Wydziału Kierowniczych Instytucyj Partyjnych Centralnego Komitetu. Po 18 Zjeździe, odbytym w dniach 10-21 marca 1939 r. został naczelnikiem Zarządu Kadr Wszechzwiązkowej Partii Komunistycznej, jednym z sekretarzy Centralnego Komitetu, oraz członkiem Biura Organizacyjnego Komitetu, wreszcie zastępcą członka Politbiura, zaś po wybuchu wojny 1941 r. członkiem nadrzędnego w stosunku do wszystkich innych komórek Państwowego Komitetu Obrony. Już w tym czasie ujawniła się jego wysoka hierarchicznie pozycja. Mianowicie przy układaniu listy członków tego Komitetu w dniu 30 czerwca 1941 r. Malenkow został umieszczony na czwartym miejscu, po Stalinie, Mołotowie i Woroszyłowie, a przed Berią. Po rozpoczęciu kontrofensywy armii czerwonej w 1943 r. mianowany został członkiem Komisji Odbudowy wyzwolonych spod okupacji niemieckiej obszarów, wreszcie wicepremierem. Osobiste zetknięcie się Stalina z Malenkowem w pracy miało nastąpić w 1925 r., gdy u samego początku swej stołecznej kariery został jednym z osobistych sekretarzy Stalina. Bliskie na początku stosunki zacieśniały się z latami i przypuszczać należy, iż na długo przed zgonem Stalina zastępował go w pełnieniu wielu obowiązków. Prasa notowała pogłoski, iż posługiwał się z upoważnienia mistrza pieczątką z jego facsimile.

W każdym razie jest faktem, iż podczas 19 Zjazdu Partii (październik 1952), rozpoczynającego w pewnym sensie postalinowski okres dziejów Sowieckiej Rosji, Malenkow wystąpił jako główny reprezentant „ustępujących" władz partii, wygła-

szając olbrzymie, jak zawsze, sprawozdanie Centralnego Komitetu za ubiegły od 18 Zjazdu (marzec 1939) okres. Zagadnienie następcy Stalina w tym momencie stawało się już jasne.

Cały ten logiczny i równy przebieg kariery Malenkowa jak i niewątpliwy fakt, iż już za życia Stalina i pod jego bezpośrednim kierownictwem dzielił z nim rządy w partii i w kraju, świadczą, iż moment przejścia władzy z rąk umierającego Stalina był od dawna przygotowany. Fanatyczni wyznawcy doktryny planowania złożyli w tym wypadku dobry egzamin. Władza przeszła w ręce najpewniejszego człowieka, nieznającego innych prawd i innych, poza Sowietami, światów.

Będzie on z pewnością (taką pewnością, na jaką możemy sobie pozwolić w obecnych niepewnych czasach) kroczyć ślepo śladami mistrza.

Argument trzeci możemy wysnuć z analizy historycznego podłoża stalinizmu. A mianowicie stalinizm nie opiera się tylko na nieludzkim i niehumanitarnym fanatyzmie elity komunistycznej, lecz i na niektórych cechach imperium moskiewskiego i tradycji kulturalnych Eurazji : a więc na totalistycznych tendencjach dawnej Moskwy i późniejszego Petersburga, na niezmiennej od czasów pierwszych książąt moskiewskich ekspansji pod sztandarami pokrewnych *politycznie* haseł Trzeciego Rzymu i Moskiewskiej Międzynarodówki, na podobnym jak za czasów niewoli mongoło-tatarskiej wyzyskiwaniu wpływów podporządkowanej państwu cerkwi, wreszcie na podsuwaniu masom w chwilach kryzysów wojennych nacjonalistycznej heroiny. Wszystkie te składniki odwiecznej polityki moskiewsko-petersburskiej zaprzągł do wozu rewolucji komunistycznej reżim stalinowski i w taktycznym stopieniu patriotyzmu z internacjonalizmem, komunizmu z narodowymi interesami mas rosyjskich, znalazł niezawodny środek na długowieczność bastionu rewolucyjnego, jakim nie przestaje być mimo wszystko Związek Sowiecki.

W tych warunkach odchylenie od wytycznych stalinizmu jest dla następców Stalina bardzo trudne, a nawet *w pewnych warunkach sytuacji międzynarodowej niemożliwe,* gdyż pociągałoby za sobą, przy panującym niezadowoleniu mas, konieczność rewolucyjnej przebudowy ustroju wraz ze wszystkimi konsekwencjami anarchii i rozpadu państwa. W ten sposób trzymanie się ustalonych zasad staje się nie tylko wyrazem wierności wobec panującej ideologii, lecz i podyktowane jest do pewnego stopnia wymogami realnej polityki wewnętrznej i zagranicznej.

W ten sposób śmierć Stalina gubi się niejako w całości *zagadnienia obecnego okresu historycznego Rosji.* Stalin co prawda był jego współtwórcą, lecz w nim się roztopił, stał się jego składową częścią, zatracając cechy wielkiej jednostki, zapewniającej swym istnieniem i wolą trwanie dotychczasowego status quo. Konsekwencje śmierci Stalina są więc w zasadzie różne od następstw zniknięcia Hitlera, którego śmierć nawet

w normalnych warunkach musiałaby pociągnąć głębokie przemiany i wstrząsy. Odmienne są też od śmierci Lenina, którego odejście nastąpiło w okresie romantyzmu rewolucyjnego i przed skrystalizowaniem się form i zasad reżimu komunistycznego. Śmierć Lenina mogła więc spowodować wstrząsy a nawet rozpad zdobyczy rewolucji 1917 roku, lecz i wówczas, *zanim jeszcze nastąpiło stopienie raison d'être państwa moskiewskiego z urealnionymi dopiero przez stalinizm zasadami komunizmu,* śmierć Lenina zapoczątkowała nową, jeszcze bardziej konsekwentną fazę rewolucji. Ten właśnie moment pogłębienia rewolucji po śmierci Lenina i za życia Stalina jest *fatalnym omen* i dla naszych czasów.

Rewolucja rosyjska z biegiem czasu nabierała rozpędu. Dopiero w 10 lat po jej wybuchu, w okresie 1928-30, rozpoczęto industrializację kraju na olbrzymią miarę i kolektywizację rolnictwa, dopiero w 22 lata po rewolucji, w drugiej połowie wojny 1941-45, Moskwa weszła na drogę podbojów terytorialnych i komunizowania sąsiednich narodów, z Chinami na czele. W świetle tych wydarzeń — dynamizujących komunizm i napawających czerwony Kreml optymizmem — musimy się liczyć z zaostrzeniem wysiłków rewolucyjnych postalinowskiego reżimu ; Malenkow w pewnych warunkach stać się może w stosunku do Stalina tym, czym stał się Stalin wobec Lenina : wzmacniającym związki rewolucji z praktycznym życiem i jego wymogami i pogłębiającym jej dynamikę, *jeszcze mniej idealistycznym ale za to jeszcze bardziej zdobywczym.*

W naszym rozumowaniu podkreślić musimy jedno zasadnicze „ale". Stalinizm, jak i wszystkie jego ewentualne derywaty kiedyś zanikną, i staną się tematem badań historyków i socjologów. Zakładając, iż stalinizm — jak na razie — posiada szanse przetrwania i śmierć jego twórcy nie rokuje zmian na lepsze, mamy na myśli aktualny okres historii.



Okres postalinowski może być bardziej dynamiczny nie tylko w wyniku ewentualnej zwyżkowej tendencji rewolucyjnej, lecz po prostu dlatego, że śmierć Stalina otwiera *nowe możliwości manewru.* Wyplanowane być może przez samego Stalina lub pod jego kierownictwem posunięcia, mogą obecnie znaleźć lepszą koniunkturę polityczną dla realizacji. Jeśli np. będzie to próba taktycznego odwrotu (podyktowana przejściowym układem stosunków i sił) to śmierć Stalina ułatwi pełniejsze odniesienie sukcesu, gdyż Zachód łatwo uwierzy, iż właśnie zmarły dyktator hamował politykę zbliżenia. Jeśli z kolei byłoby to posunięcie ofensywne, wówczas Zachód wytłumaczy je odwrotnymi argumentami i nowy atak określi koniunkturalnym wypadem lub nierozważnym stawianiem pierwszych samodzielnych kroków przez osieroconych rządców Kremla, kłócących się o obranie właściwej linii postępowania. W każdym wypadku reakcja

mniej lub więcej zdezorientowanych czynników zachodnich może być niezdecydowana i niejednolita i tym samym ułatwi Moskwie dojście do zamierzonego celu.

Nie odrzucajmy jednak bardziej codziennych i ludzkich motywów. Okres długotrwałej choroby czy niedomagań Stalina mógł wpływać hamująco na tok jego pracy i tym samym na bieg wypadków. Objęcie władzy przez pełnego energii Malenkowa może przyśpieszyć procesy dojrzenia decyzji i ich realizacji. Dążenie do usprawnienia pracy najwyższych czynników sowieckich ujawniło się już w zredukowaniu liczby członków Prezydium C.K. Partii (do dziesięciu przy czterech kandydatach) i w połączeniu pokrewnych resortowo ministerstw *). W jakim stopniu uwarunkowane to zostało sytuacją międzynarodową i obawami przed wyzyskaniem śmierci Stalina przez wrogów wewnętrznych i zewnętrznych, nie sposób się zorientować. Nie wykluczone jest jednak, że również konieczność kolegialnego pobierania decyzji, po zniknięciu nadrzędnego autorytetu jakim był Stalin, zadecydowała o redukcji członków Prezydium Partii i rządu państwa. Z drugiej strony kolegialność obrad w Sowietach w niczym nie przypomina swego odpowiednika na Zachodzie. W partii i w rządzie sowieckim obowiązuje naścislejsza hierarchia i dyskusja posiada charakter wymiany zdań wyższego z niższym. Hierarchia w składzie Prezydium CK. Partii ujawniła się już w 24 godziny po śmierci Stalina i kilkakrotnie była zaznaczana w toku uroczystości pogrzebowych.

◆

Wishful thinking Zachodu nakazuje mu doszukiwać się przez największe szkła powiększające szczelin i objawów rozpadu Sowietów. Przykład wojny politycznej Tito z Moskwą uzasadnia do pewnego stopnia tego rodzaju nadzieje. Zagadnienie to w istocie jest jednak bardzo złożone. Komunizm z góry zakłada, iż wszelka jego akcja napotka na sprzeciw i dopiero w walce tego co było z tym, co usiłuje powstać — może się zrodzić zwycięstwo. Dialektyka walki rewolucyjnej zakłada więc z góry istnienie wewnętrznych i zewnętrznych wrogów, i w ich istnieniu widzi czynnik pożądany, warunkujący zwycięstwo. W tej teorii komunizmu kryje się jedno ze źródeł jego siły. Zakładając bowiem, iż opór jest nieunikniony a nawet pożądany — komunizm buduje swe siły i układa plany odpowiednio do

*) Członkami postalinowskiego Prezydium C.K. Partii, czyli najwyższej instytucji w partii i w państwie, jak i w międzynarodowym komunizmie, zostali w ustalonej kolejności hierarchicznej : Malenkow, Beria, Mołotow, Woroszyłow, Chruszczew, Bułganin, Kaganowicz, Mikojan, Saburow i Pierwuchin.

Połączone zostały Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Spraw Bezpieczeństwa Publicznego w jedno Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i szefostwo nad nim powierzone zostało Berii. Ministerstwa Handlu Zagranicznego i Handlu Wewnętrznego zlano w jedno i oddano Mikojanowi, itd.

sił oporu, nie zaś w stosunku do elementów przyjaznych, które w pewnym stopniu lekceważy i po wykorzystaniu, z reguły, brutalnie odrzuca. W ten sposób komunizm ad oculos udowadnia, iż skuteczna walka z nim jest możliwa tylko przy stosowaniu metody ofensywnej i że defensywna postawa Zachodu jest źródłem jego naturalnych i nieuniknionych klęsk.

W tym świetle zagadnienie jakiejś reakcji antystalinowskiej i antykomunistycznej w ogóle w Rosji w obecnym okresie posiada znikome szanse tak długo dopóki nie zaniknie ofensywny duch nowej religii i nie wypali się wola walki o całkowite zwycięstwo komunizmu.

Nie ma również większych szans, przynajmniej na razie, na rozbicie wśród czołowej elity reżimu. Atmosfera oblężenia, jaka otacza rządzącą Moskwę i strach przed wybuchem powszechnej wojny, wpływa hamująco na ambicje poszczególnych jednostek i zmusza do wzajemnej, względnej, lojalności.

◆

W dotychczasowych rozważaniach pominięto momenty niespodzianki i nieobliczalności. Właściwość natury rosyjskiej i jej skłonność do histerycznych odruchów w pewnych, zaistniałych po śmierci Stalina sytuacjach, może sprowokować odruchy terroru, ciągnące za sobą lawinę wypadków. Oczywiście zastanawianie się nad tego rodzaju ewentualnościami jest ucieczką w krainę fantazji. Z drugiej strony śmierć Stalina przypuszczalnie uspokoiła w dużym stopniu nastroje mas i w dziwokształtnej duszy wschodnio-słowiańskiej budzić ona musi przypływ sentymentalnych i rozbrajających wzruszeń.

◆

I tak śmierć Stalina w następstwach swych nie zapowiada istotniejszych zmian w polityce *wewnętrznej* Rosji przynajmniej w obecnym okresie. Przemówienia czołowej trójki — Malenkowa, Berii i Mołotowa nad trumną Stalina w dn. 9 marca utrzymane były w tradycyjnych tonach jak też podkreślały konieczność zwarcia szeregów partyjnych oraz wyrażały bezwzględną wolę zwalczenia wszelkich ewentualnych odruchów niesubordynacji. Samo zaś wymienianie możliwości jakichś aktów buntu przemawiałoby raczej za kompletnym panowaniem nad sytuacją wewnętrzną w państwie. Jest rzeczą jasną, iż w wypadku jakichkolwiek zamieszek wewnętrznych, czy kłopotów politycznych, Kreml starałby się je zachować w najgłębszej tajemnicy i byłby ostatni, który by o tym podał do wiadomości publicznej.

◆

W polityce zagranicznej śmierć Stalina otwiera nowe drogi dla manewrów taktycznych, kamuflowanych zmianami w kierownictwie partii i państwa. Mogą one prowadzić zarówno w kie-

runku pacyfikacji stosunków z Zachodem, jak i zaostrzenia dotychczasowej ofensywy. To ostatnie jest bardziej możliwe.

Narastanie tendencji ofensywnych w polityce Kremla przybrało po ostatniej wojnie cechy zjawiska stałego, którego genezy dopatrywać się można w trzech momentach :

1) W optymizmie Kremla, sprawującego obecnie rządy nad blisko 800 milionami dusz ;

2) W silnym kryzysie powojennym w świecie „kapitalistycznym" i pogłębiającej się rywalizacji między mocarstwami Zachodu, Anglii — Ameryki głównie, co m. in. podkreślał Stalin w swej ostatniej pracy teoretycznej *„Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSSR"*;

3) W taktycznej możliwości ekspansji bez uciekania się do otwartej wojny : drogą podminowania i prowokowania lokalnych zbrojnych konfliktów.

Oficjalne wypowiedzi kierowników sowieckiej nawy państwowej — w czasie choroby i po śmierci wodza komunizmu — zdradzają raczej ukryte zamiary ofensywne. Przemówienia Malenkowa, Berii i Mołotowa w dniu 9 marca br., obok pogróżek pod adresem wewnętrznych i zewnętrznych wrogów, podkreślały zasady „wzajemnej długotrwałej współegzystencji" obu światów i zapowiadały współpracę z Zachodem na zasadach wzajemności. Lecz dobre te chęci negowały natychmiast zapewnienia wierności ideałom lenino-stalinizmu ; m. in. w końcowym ustępie swego przemówienia Malenkow z emfazą podkreślał : „Naprzód, drogą prowadzącą do pełnego triumfu wielkiej sprawy Lenina-Stalina". Nie ulega wątpliwości, iż triumf ten widzi on w zapanowaniu komunizmu na całym świecie" *).

Włodzimierz BĄCZKOWSKI

10 marca, 1953.

---

*) W czasie reportażu z uroczystości pogrzebowych wzmiankowano o przysiędze Stalina nad grobem Lenina, w depeszy zaś z Chin określono przemówienie Stalina na 19 Zjeździe Partii drogocennym testamentem dla komunistów całego świata.

Wojna psychologiczna

W naszej epoce, w przeciwieństwie do teorii Clausewitza, wojna przestała być dalszym ciągiem polityki, nie tworzy, jak niegdyś, odrębnego okresu historii, nie rządzi się własnymi prawami. Jest ściśle podporządkowana polityce, stanowiąc jedno z jej narzędzi.

Ponad strategią wojskową, dyplomatyczną, gospodarczą i psychologiczną panuje strategia polityczna, lub, jak kto woli, globalna, koordynując wszystkie inne dla osiągnięcia celu najwyższego, przez nią określonego. Nawet, gdy cele mają charakter gospodarczy, lub wojskowy, określenie ich należy do zadań polityki. Narzędziami strategii politycznej są wszystkie siły, a przede wszystkim — siły naukowe, gospodarcze, ludnościowe, zbrojne i moralno-psychologiczne. Żadna z tych sił nie posiada a priori przewagi, ani pierwszeństwa nad pozostałymi. Tylko strategia polityczna jest władna wyznaczać poszczególnym z tych sił zadania główne, równoległe, lub pomocnicze, oraz czas, kolejność i przestrzeń użycia.

Słowo : ,,strategia'' było zbyt długo związane ze sztuką wojenną, jako atrybut najwyższego szczebla planowania wojskowego. A oto znika na naszych oczach tradycyjna instytucja Wodza Naczelnego, jako osobistości, lub organu, sprawującego samodzielnie i wyłącznie kierownictwo całości wysiłku wojennego państwa. Wodzem naczelnym naszej epoki jest władza polityczna, rząd, a zwłaszcza szef rządu (o formacji cywilnej, lub wojskowej), w stosunku do którego kierownictwa poszczególnych narzędzi strategii politycznej, z dowódcami sił zbrojnych włącznie, są tylko organami wykonawczymi, częściami wielkiej całości.

Zadaniem strategii politycznej jest więc wskazanie celów zasadniczych i wyznaczenie zadań strategiom : dyplomatycznej, wojskowej, gospodarczej i psychologicznej, czyli koordynacji tych strategii drugiego rzędu dla osiągnięcia celów zasadniczych, do których zmierza państwo, a w wypadku sojuszu — grupa państw.

Dotychczas tylko Sowiety potrafiły stworzyć nowoczesną strategię polityczną w pełnym znaczeniu tego słowa, pozwalającą im skoordynować wszystkie jej składniki dla wspólnego działania. Potrafiły stworzyć ją dlatego, że postawiły jej wyraźne zadanie do spełnienia, że wprzęgły ją w służbę wyraźnej idei przewodniej, której zostały podporządkowane wszystkie potrzeby i cele, uznane za drugorzędne. XIX kongres partii komunistycznej oznacza zatrzymanie, lub raczej zaniechanie ewolucji Związku Sowieckiego w kierunku pełnego urzeczywistnienia doktryny komunistycznej. Potwierdza on oficjalnie to, co w praktyce stosowane było od dawna : doktryna i partia komunistyczna są narzędziami i tylko narzędziami strategii politycznej państwa sowieckiego. Celem, do którego zmierza państwo sowieckie, jest opanowanie władzy nad całym światem. Sowiecka strategia polityczna koordynuje strategie poszczególne i wyznacza im zadania do spełnienia nie tylko na obszarze własnego panowania, ale i poza jego granicami, na obszarach, których opanowanie zostało zamierzone. Sowiecka strategia polityczna posiada już na swoim rachunku szereg pierwszorzędnych osiągnięć, — a mianowicie :

— olbrzymie powiększenie obszaru państwa sowieckiego w wyniku II wojny światowej;

— objęcie kontrolą i wprząngnięcie w orbitę państwa sowieckiego obszaru, rozciągającego się od Elby i Bałkanów aż do Himalajów i Pacyfiku, w pozycji strategicznie środkowej wobec nieopanowanych jeszcze pasów peryferyjnych w Europie i w Azji Południowej i Południowo-Wschodniej;

— skupienie olbrzymiej, bo 800-milionowej masy ludzkiej pod jednolitym kierownictwem, z możnością stopniowego przekształcenia tego potencjału ludnościowego na zwarty monolit i na potężne narzędzia nacisku wobec rozproszonego świata wolnego;

— olbrzymie powiększenie baz surowcowych własnych i zagrożenie obcych baz surowcowych na obszarach peryferyjnych Bliskiego Wschodu i Azji Południowo-Wschodniej, oraz przemysłowych w Europie Zachodniej;

— związanie poważnej części sił zbrojnych i gospodarczych Zachodu, głównie amerykańskich i francuskich, w wojnach peryferyjnych w Korei i w Indochinach, z groźnymi dla zainteresowanych następstwami psychologicznymi;

— rozbudowa sieci agentur i piątych kolumn w dawnych obszarach kolonialnych, obliczona na wykorzystanie przeciwko Zachodowi budzących się nacjonalizmów, a w szczególności — na zagrożenie strefy Morza Śródziemnego;

— posianie zamętu intelektualnego, społecznego, gospodarczego i moralnego w społeczeństwach jeszcze nie opanowanych, oraz w instytucjach międzynarodowych, z zamiarem unicestwienia woli oporu świata wolnego i osamotnienia Stanów Zjednoczonych.

Świat wolny, ani jego przodujące mocarstwo, Ameryka, nie posiadają jeszcze strategii politycznej na miarę epoki, gdyż nie potrafiły dotychczas określić celów, do których chciałyby dążyć, ani skoordynować strategii drugiego rzędu dla osiągnięcia tych celów.

Wynik wyborów amerykańskich był chyba i przede wszystkim wyrazem zniecierpliwienia mas z powodu przedłużającego się impasu, wyrazem woli przejścia z postawy biernej do działania. Ewolucja polityki amerykańskiej w kierunku poszukiwania rozstrzygnięć jest zresztą, naszym zdaniem, nieunikniona, a rodzaj inteligencji i charakteru ludzi, którzy doszli do władzy, może ją tylko przyśpieszać, lub opóźniać. Wynika ona bowiem z głębokiego rozczarowania Ameryki wobec podziału świata na dwie strefy wpływów, z przekonania się, że Rosja kupiła w Jałcie i w Poczdamie towar rzeczywisty, pozwalający jej wzmóc swoją potęgę ekspansywną, a Stany Zjednoczone — iluzoryczny, którego nie można przekształcić, wskutek jego zróżnicowania we wszystkich, możliwych przekrojach, na jednolitą całość, kierowaną jednym ośrodkiem woli. Wynika ona także z gwałtownego tempa rozwoju techniki, otwierającego zupełnie nowe perspektywy przed przemysłem i zmuszającego, na dłuższą metę, do wyeliminowania ośrodka wrogiego, który mógłby użyć osiągnięć naukowych dla spotęgowania swego nacisku na świat wolny, na Amerykę przede wszystkim.

Na miejsce ludzi, związanych z rooseveltowską epoką złudzeń koegzystencyjnych, przyszedł do władzy zespół, złożony z jednostek, których deklaracje, pochodzące z okresu pełnej swowody wypowiadania się, sprawiały wrażenie właściwej oceny istoty zagrożenia sowieckiego i właściwego kierunku poszukiwania rozstrzygnięć. Na czele tego zespołu stoi jednostka, uformowana w szkole myślenia strategicznego, a więc w rodzaju dyscypliny intelektualnej, który obowiązuje także w dziedzinie strategii politycznej.

U podstaw tego myślenia znajdziemy klasyczne, fochowskie pytanie : ,,de quoi s'agit-il?''. Narzucić ono powinno konieczność dokonania o c e n y sytuacji, postawienia c e l u, ustalenia h i e r a r c h i i i p o d z i a ł u zadań, a więc — do określenia idei przewodniej i stworzenia p l a n u jej realizacji. Dopiero wówczas będą mogły powstać warunki dla opracowania prawdziwej strategii psychologicznej i znalezienia dla niej miejsca w zespole wszystkich środków działania.

1.

Spośród wszystkich narzędzi strategii politycznej czynnik psychologiczny, lub, jeśli kto woli, ,,wojna psychologiczna'', zdobył sobie największą popularność, a jednocześnie stał się przyczyną najgłębszych nieporozumień, może dlatego, że bardziej, niż inne, wymyka się spod ścisłych definicji.

Psychologia doświadczalna posiadająca bogatą literaturę, wybitnych teoretyków i liczne instytuty naukowe, znajduje od dawna coraz częstsze zastosowanie na wielu polach, a na niektórych, jak np. w dziedzinie pracy, pedagogii, przygotowania zawodowego i reklamy osiągnęła niezaprzeczalne wyniki praktyczne. W dziedzinie politycznej stosowały ją na wielką skalę systemy totalne z okresu między pierwszą i drugą wojną światową. Jednak tylko Sowiety doprowadziły działania psychologiczne do szczytów osiągalnej doskonałości, rozciągając je na wszystkie niemal dziedziny życia ludzkiego, zbiorowego i indywidualnego. Nie będzie przesadą twierdzenie, że jest to jedyna dziedzina, w której Sowiety zdobyły przewagę druzgocącą *i to w takim stopniu, że udało im się odwrócić uwagę świata wolnego od innych zagadnień, może równie decydujących o wynikach przyszłego rozstrzygnięcia i narzucić mu supremację czynnika psychologicznego.*

II.

Nie wchodząc w dziedzinę teorii i ograniczając nasze rozważania do konkretnie toczącej się wojny psychologicznej, zacznijmy od przypomnienia kilku zasad podstawowych.

Zadaniem działań psychologicznych jest oddziaływanie na instynkty i na sferę duchowego życia jednostki i zbiorowości. W wojnie psychologicznej chodzi o maksymalne spotęgowanie sił moralnych społeczeństwa własnego i o maksymalne osłabienie, lub, jeszcze lepiej, unicestwienie sił moralnych przeciwnika. Działania psychologiczne atakują zarówno sferę emocjonalną, jak intelektualną. Ich narzędziem w stosunku do sfery uczuć jest najczęściej propaganda w najszerszym zasięgu tego słowa, w stosunku do intelektu, oprócz propagandy, teorie naukowe, lub pseudo-naukowe na usługach doktryny, lub ideologii.

W toczącej się wojnie psychologicznej Sowiety posiadają przewagę pierwszeństwa, doświadczenia i wyjątkowo sprzyjających warunków. Społeczeństwo sowieckie wychowywane jest od 30 lat w jednolitej, sztywnej i dogmatycznej doktrynie i w bezwzględnie negatywnym stosunku do świata zewnętrznego, od którego było i jest hermetycznie odgrodzone. Aby uodpornić sferę uczuciową, system sowiecki zastosował metodę daleko idącego ograniczenia tej sfery w życiu indywidualnym i zbiorowym, m.in. szerząc bezbożnictwo, likwidując, a po przywróceniu w czasie wojny — biorąc pod kontrolę kościół, tłumiąc pierwiastki uczuciowe w życiu rodzinnym i w stosunkach dwuch płci, oraz kanalizując wrodzony naturze ludzkiej emocjonalizm w kierunku patriotyzmu sowieckiego i nienawiści do wszystkiego, co obce. Aby uodpornić intelekt na wpływ poglądów, przychodzących z zewnątrz, podporządkowano naukę tzw. marksistowsko-leninowskiemu, a później — stalinowskiemu uzasadnieniu, tępiąc

wszelkimi sposobami odchylenia od doktryny, oraz przejawy indywidualizmu. Odgrodzenie od świata zewnętrznego, połączone z bezustanną kontrolą przystosowywania się myślowego do zmiennej taktyki doktrynalnej, za pomocą osławionej metody samokrytyki, wytworzyło w nowym, obecnie aktywnym pokoleniu sowieckim typ człowieka, który, z wyjątkami potwierdzającymi regułę, przypomina człowieka ze świata wolnego tylko podobieństwem fizycznym i podobieństwem funkcji fizjologicznych. Pomimo to oddziałanie na sferę uczuciową, instynkty, czy intelekt człowieka sowieckiego jest możliwe, gdyż wszystko prawie jest możliwe w stosunku do człowieka. Wymaga to jednak starannych studiów i przygotowań, oraz gruntownej znajomości języka doktrynalnego, pojęć i warunków, w których toczy się życie człowieka sowieckiego.

III.

Świat wolny nie może przeciwstawić bolszewizmowi dogmatycznej i sztywnej doktryny politycznej z tego powodu, że jej nie posiada, a gdyby się pokusił o jej stworzenie, przestałby być światem wolnym. Pesymiści, którzy widzą w tym braku źródło słabości, mają na pozór rację. Jest o wiele łatwiej mobilizować prawdziwy czy sztuczny fanatyzm tłumów koło dogmatycznej doktryny, zawierającej dialektyczną odpowiedź na wszystko, niż zdobywać się na bezustanny wysiłek umysłowy i przedzierać się przez labirynt najsprzeczniejszych poglądów, lub interesów, aby odnaleźć właściwy kierunek ewolucji ludzkości. Atrakcyjność dogmatyzmu komunistycznego na Zachodzie tłumaczy się bardziej kompleksem niższości i brakiem wyobraźni sfer intelektualnych, niż wartością rewolucyjną jego treści. Intelektualiści zachodni, zarażeni rzekomą naukowością doktryny komunistycznej, nie dostrzegają faktu, że w Sowietach nauka nie posiada nieograniczonych możliwości rozwoju, gdyż wprzęgnięta jest w jarzmo doktryny, i służy dla uzasadnienia, lub potwierdzenia dogmatów, a często — zwykłych wymagań taktycznych. W świecie wolnym natomiast postęp naukowy determinuje w sposób, niczym nieskrępowany, kierunki przemian, które zachodzą wbrew doktrynom, a nawet wbrew poglądom filozoficznym, zmuszając je do przystosowania się do zmiennej i będącej w ciągłym pochodzie naprzód rzeczywistości.

Przemiany, zachodzące w świecie wolnym na skutek gwałtownego postępu naukowego, zwłaszcza technicznego, mają charakter bardziej rewolucyjny, niż wszystko, czego dokonała rewolucja komunistyczna w bojowym okresie swej historii. Pod wpływem tego postępu świat zmierza niewątpliwie, pomimo konwulsyjnych zrywów nacjonalistycznych, w kierunku integracji w olbrzymią całość, która kiedyś będzie zorganizowana może na podstawie rządu światowego, może na podstawach konfede-

ralnych, ale na pewno nie na podstawie nieograniczonej suwerenności państw narodowych. Świat zmierza niewątpliwie w kierunku integracji gospodarczej, która kiedyś zapewni racjonalne wykorzystanie bogactw naturalnych w ramach globalnej całości, na jej korzyść, ale i na korzyść jej części składowych. Świat zmierza niewątpliwie w kierunku wyrównania różnic społecznych i kulturalnych pomiędzy obszarami rozwiniętymi i niedorozwiniętymi, jak również do nowych form gospodarki i do nowego systemu sprawiedliwości społecznej, które zastąpią kapitalizm klasyczny, lecz nie będą oparte na przymusie i poniżeniu jednostki. Próba tworzenia sztywnej, dogmatycznej i obowiązującej doktryny wokół tych, widocznych już dzisiaj, linii kierunkowych, mogłaby tylko spotęgować opory i opóźnić proces, który jest nieuchronny.

Podstawą wyjściową programu wojny psychologicznej świata wolnego w stosunku do bolszewizmu winno być wyzwolenie się z kompleksu niższości, spowodowanego brakiem dogmatycznej ideologii politycznej na Zachodzie i brakiem perspektywy, oraz wyraźne stwierdzenie, że ewolucja postępowa świata wolnego odbywa się i odbywać się powinna w warunkach wolności.

IV.

Jednym z najpotężniejszych atutów sowieckiego programu wojny psychologicznej jest sprawa pokoju.

Długotrwała tresura doktrynalna i dialektyczna doprowadziła do utożsamienia w umyśle człowieka sowieckiego idei pokoju z ideą zwycięstwa, dawniej — doktryny, dzisiaj — państwa sowieckiego. Wychodząc z założenia, że człowiek sowiecki myśli inaczej, niż człowiek wolny, można przypuszczać, że, będąc wprzęgnięty w produkcję narzędzi wojny, jest on przekonany, a raczej wierzy, że pracuje, ostatecznie, dla pokoju, który nastąpi po zwycięstwie państwa sowieckiego nad zagrażającym jego bytowi imperializmem kapitalistycznym. Z tej strony dialektyka, przymus i ignorancja upraszczają sprawę.

W świecie wolnym sowiecka propaganda pokojowa wykorzystuje wrodzoną naturze ludzkiej tęsknotę za szczęściem w życiu osobistym i rodzinnym, strach przed zniszczeniami wojennymi, lęk przed niebezpieczeństwem śmierci, lub cierpienia, oraz etykę, opartą na religii. Przygotowując wojnę, lub podbój, a głosząc pokój i mówiąc tylko o pokoju, sowiecka strategia psychologiczna zmierza do wywoływania pokus za poszukiwaniem modus vivendi i do obudzenia nadziei, że to modus vivendi może być znalezione na drodze coraz dalszych ustępstw i wyrzeczeń. Sowiecka propaganda pokojowa, głoszona przez dyplomację i przez aparat wojny psychologicznej, w którym czołową pozycję zajmuje, obok partii komunistycznych, organizacja „Bojowników Pokoju" z różnymi „postępowymi" przybudówkami i z ich

kongresami międzynarodowymi, poczyniła zastraszające spustoszenia we wszystkich warstwach społecznych świata wolnego. Zaraziła ona nie tylko poważną część mas ludowych. Iluż to intelektualistów bierze ciągle na serio zapewnienia, że jedynym celem sowieckich doświadczeń atomowych jest opanowanie natury, nawodnienie pustyń, osuszenie mórz, użyźnienie lądów i hodowla gołębi pokoju. Udzieliła się ona czynnikom, stojącym, w ich własnym mniemaniu, jak najdalej od komunizmu, jak np. wielu politykom i parlamentarzystom na Zachodzie, spekulującym na rzekomej pokojowości polityki sowieckiej, jak pewnym pisarzom, uważającym się za postępowych, jak nawet pewnym odłamom kleru wszystkich wyznań.

Próby przeciwstawienia sowieckiej propagandzie „pokojowej" statystyk postępu produkcji wojennej, mającej służyć dla powstrzymania inwazji, musiały zawieść, a nawet doprowadzić do podejrzeń, że to świat wolny, z Ameryką na czele dąży do wojny i to, oczywiście, zaczepnej.

Sowieckiej propagandzie „pokojowej", zmierzającej do sparaliżowania woli oporu społeczeństw zachodnich, można przeciwstawić skutecznie tylko ideę pozytywną, ideę wolności, bo wolność zajmuje w życiu ludzkim, mimo wszystko, pozycję ważniejszą, niż pokój, zwłaszcza pokój cmentarzy.

V.

Probierzem nowej polityki amerykańskiej w tym zakresie będzie sprawa wyzwolenia narodów ujarzmionych.

Zarówno generał Eisenhower podczas kampanii wyborczej, jak niektórzy spośród wybitnych członków grupującego się przy nim zespołu (John Foster Dulles, senator Cabot-Lodge, Stassen, gubernator Dewey) wypowiedzieli się na ten temat, przy różnych okazjach, w sposób świadczący o zrozumieniu przez nich istoty zagadnienia, a przede wszystkim — w sposób, wiążący ich moralnie na przyszłość. Chwila, w której rząd Stanów Zjednoczonych ogłosi oficjalnie, jak to zapowiedział gen. Eisenhower, że odrzuca Jałtę i uznaje wyzwolenie narodów ujarzmionych za jeden z najważniejszych celów polityki amerykańskiej, będzie miała przełomowe znaczenie dla dalszego przebiegu wojny psychologicznej, zwłaszcza, gdyby to była deklaracja kompletna, mówiąca o wyzwoleniu wszystkich narodów ujarzmionych, a nie tylko tych, które straciły niepodległość po roku 1938/9 i gdyby była dostatecznie śmiała, stawiając, w następstwie idei wyzwolenia, zasadę odłączenia tych narodów od Rosji właściwej.

Przełomowe znaczenie tej deklaracji będzie polegało, przede wszystkim, na wyposażeniu amerykańskiej strategii politycznej w atrakcyjną treść ideową, która spotęguje opór narodów ujarzmionych, obudzi nowe źródła energii i wiary, zapali wyobraźnię i z czasem wstrząśnie posadami bloku sowieckiego. Wstrząsnąć

ona powinna także postawą narodów wolnych, zwłaszcza zachodnio-europejskich, zdemoralizowanych mętną koncepcją ,,containment'u''. Przekroczenie Rubikonu przez oficjalną politykę amerykańską, przekreślając możliwość nowego Monachium, zmusi te narody do wyboru pomiędzy kapitulacją bezpośrednią, kapitulacją przez neutralizm i zdecydowanym związaniem się z Ameryką. Wywoła to może chwilowe pogłębienie chaosu, ale spotęguje energię elementów zdrowych, przyśpieszy ewolucję, wyjaśni sytuację. Nie zapominajmy, że jedną z przyczyn ociągania się Europy zachodniej przed zdecydowanym związaniem się z Ameryką, jest lęk przed Monachium amerykańsko-rosyjskim.

Z chwilą, gdy ten przełom zostanie dokonany, Ameryka pozyska wreszcie realne podstawy planowania i to nie tylko w zakresie strategii psychologicznej, ale także dyplomatycznej, gospodarczej i wojskowej.

Ogłoszenie deklaracji wolności będzie oznaczało zerwanie z samobójczą polityką ,,hamowania'' i wyjście z impasu, który stawał się coraz bardziej katastrofalny. Oczywiście, wywołanie wstrząsu psychologicznego nie spowoduje, samo przez się, rozstrzygnięć. Amerykańskie kierownictwo polityczne będzie musiało wykonać gigantyczny wysiłek opracowania decydujących środków presji na Sowiety, rozłożenia ich na etapy realizacyjne i ułożenia terminów. Cel ideowy będzie jednak jasno postawiony. Gdy dzisiaj wiadomo tylko, jaki jest cel ostateczny polityki sowieckiej, wówczas wiadomy będzie cel polityki amerykańskiej. Sowieckiemu celowi opanowania władzy nad światem przeciwstawiona będzie idea przywrócenia światu wolności. Nie ma kompromisu między tymi dwoma celami. Może być mowa tylko o upadku świata cywilizowanego, albo o likwidacji bolszewizmu w jego organizacyjnej podstawie, w państwie sowieckim. Wszystkie troski, kłopoty i problemy świata wolnego są drugorzędne wobec konieczności walki z zagrożeniem sowieckim i z bolszewizmem.

VI.

Ten cel naczelny prowadzić musi do stoczenia zaciętej walki o oczyszczenie terenu własnego, na którym sowieckie działania psychologiczne dokonują daleko idących spustoszeń, atakując wszystkie dziedziny życia ludzkiego, wierzenia, obyczaje, poglądy, etykę, tradycje, wolność osobistą, słowa i myśli, oraz instynkty, głównie instynkt głodu i towarzyszący mu instynkt chciwości. Wobec tego zagrożenia *nie wolno* sobie pozwolić na *neutralność*, a więc na *obiektywizm*, z jakim rozpatrujemy, np. przebieg i następstwa Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Wobec zagrożenia sowieckiego możliwa jest tylko postawa subiektywna, to znaczy : poddanie się, albo walka ze wszystkim, co niesie komunizm; oddziaływanie psychologiczne poprzez tzw. obiektywną oceną osiągnięć komunizmu

należy do najskuteczniejszych sposobów siania zamętu na Zachodzie, zwłaszcza w sferach intelektualnych i artystycznych. O obiektywnej ocenie wartości przemian komunistycznych nie może być mowy, dopóki trwa walka, gdyż niedostępność przedmiotu badań nie pozwala na zastosowanie zasad naukowego obiektywizmu. Na obiektywną ocenę wartości tej, czy innej formy organizacyjnej[1]) którą stworzyły Sowiety, przyjdzie czas, gdy komunizm przestanie istnieć, gdy forma zostanie wymyta z dzisiejszej, ponurej treści. Nie lękajmy się zarzutu reakcyjności, walka ze złudzeniem obiektywistycznym w stosunku do komunizmu nie ma nic wspólnego z nawrotem do przeszłości. Ludzkość jest w ciągłym ruchu i to w ruchu naprzód. Nie ma powrotu do przeszłości, nie ma powrotu nawet do najpiękniejszej przeszłości.

Następną koniecznością w dziedzinie walki na froncie wewnętrznym wolnej ludzkości jest oczyszczenie słownictwa politycznego. Propaganda komunistyczna wprowadziła do niego wiele pojęć sfałszowanych świadomie i celowo. Wiele innych stworzyła bezmyślna pogoń za szablonami i sloganami, cechująca zwłaszcza prasę zachodnią. Dla przykładu : nie wolno nazywać krajów, opanowanych przez Sowiety, ani ich obecnego ustroju, mianem ,,demokracji ludowych'', gdyż nie ma tam demokracji, a więc i systemu reprezentacyjnego, pozwalającego na przejawienie woli ludu. Nie wolno używać nazwy : ,,satelici'', kryjącej w sobie domysł dobrowolnego ciążenia, gdy związek tych krajów z Sowietami jest przymusowy i narzucony wbrew ich woli. Jednym z zadań propagandy przeciwsowieckiej powinno być zastąpienie tych wyrażeń określeniami, odpowiadającymi ściśle rzeczywistości : kraje ujarzmione. Nie ma rządu polskiego w Warszawie, czechosłowackiego w Pradze, rumuńskiego w Bukareszcie, węgierskiego w Budapeszcie, bułgarskiego w Sofii. Nie ma delegacji polskiej w O.N.Z. Jest tylko administracja Bieruta, Gottwalda i im podobnych, oraz jej wysłannicy. Jest system narzucony, komunistyczny, są administracje lokalne. Wszystkie te określenia dają się łatwo przetłumaczyć na wszystkie języki świata. Powinny one być wpajane systematycznie i uporczywie aż staną się przyzwyczajeniem, gdyż nie chodzi tu tylko o zgodność wyrazów z rzeczywistością, lecz o ich wpływ na sposób myślenia. Słowo jest potęgą, ale także potęgą niszczącą.

Jedną z przyczyn cofania się i załamywania woli oporu w świecie wolnym przed naciskiem sowieckim jest zanik moralności w polityce międzynarodowej, wywołujący zwątpienie i nieufność we wzajemnych stosunkach państw wolnych. Wydanie Polski, państw bałtyckich, Rumunii, Węgier, Czechosłowacji i Bułga-

1) Nie wyklucza to, a wręcz przeciwnie, wymaga głębokich studiów nad rzeczywistością sowiecką i krajów ujarzmionych, nad przemianami społecznymi, ekonomicznymi, ustrojowymi itp., na wzór studiów, których dokonywują sztaby, gdyż gruntowne poznanie przeciwnika jest jednym z zasadniczych warunków skutecznego prowadzenia walki.

rii w niewolę sowiecką, wydawanie uchodźców wywołało pustoszące następstwa wśród samych winowajców. Zadaniem polityki amerykańskiej, jeżeli chce ona spełnić rolę przywódczą w świecie wolnym, jest powrót do zasad moralności. Winna ona dać przykład dotrzymywania obietnic i zobowiązań, choćby one były powzięte w okresie wyborczym. Jeżeli się głosi demokrację, to nie wolno stawiać na titoizm, który jest również ustrojem totalnym, nie mającym nic wspólnego z demokracją. Jeżeli uznaje się umiarkowaną dyktaturę hiszpańską za zło, to nie wolno uznawać absolutnej dyktatury Mao Tse Tunga za dobro i walczyć dla niej o indygenat Organizacji Narodów Zjednoczonych, jak to czyni Anglia, gdyż takie stawianie sprawy jest podwójną moralnością, inaczej mówiąc, brakiem moralności.

VII.

Idea wyzwolenia narodów ujarzmionych powinna dać początek jakiejś wizji urządzenia świata po zniesieniu komunizmu, a to pociąga za sobą, choćby tylko z punktu widzenia potrzeb wojny psychologicznej, konieczność koncepcji rozwiązania zagadnienia rosyjskiego i zorganizowania przestrzeni, która ma być wyzwolona. Nie chodzi o to, aby ewentualnym projektom nadawać bezzwłocznie rozgłos, lecz o to, aby powstały. Idea integracji świata i rządu światowego ma jeszcze wielki kawał drogi przed sobą, ale prowadząca do niej idea federacyjna poczyniła w ostatnich czasach dostateczne postępy, by posłużyć za podstawę przyszłych rozwiązań. Jeżeli chodzi o Europę, to w ramach tej koncepcji będzie można rozwiązać jednocześnie problem niemiecki. W razie integracji kontynentalnej powinien on stracić wiele ze swej ostrości, zwłaszcza, gdy chodzi o aspekt graniczny. Rozwiązanie federalne pozwoli bowiem na zachowanie zmian terytorialnych, ugruntowanych przesiedleniami ludności, zapewniając jednocześnie Niemcom zjednoczonym udział na równych prawach w rodzinie narodów europejskich.

Jeżeli chodzi o problem rosyjski, to w poglądach europejskich panowała dotychczas mętna koncepcja kennanowska, polegająca na zachowaniu w przyszłości spoistości, terytorialnej imperium rosyjskiego w granicach sprzed 1 września 1939, z możliwością organizacji federalnej, o ile przyszła Rosja demokratyczna uzna to za wskazane. W poglądach Kennana więcej znać wpływów białej emigracji rosyjskiej, niż wyniku własnych, bezstronnych studiów. Świadczy o tym, m.in. porównanie Ukrainy z Pensylwanią, jednym ze stanów amerykańskich zaludnionym przez Amerykanów i otoczonym stanami amerykańskimi, gdy Ukraina jest krajem, zamieszkałym przez odrębny naród, a geograficznie leży na zewnątrz właściwego obszaru rosyjskiego, gdyż graniczy większością swych granic z Białorusią, Polską, Rumunią i Morzem Czarnym, a tylko na wschodzie z Rosją. Kennan pisze, że Rosja potrzebuje Ukrainy i tym uspra-

wiedliwia zaliczanie Ukrainy do narodów rosyjskich. Ameryka na pewno potrzebuje Kanady i Meksyku, oba te kraje znajdują się w podobnej sytuacji geograficznej wobec Stanów Zjednoczonych, co Ukraina wobec Rosji i w podobny sposób kompletują ich system gospodarczy, a jednak Kennan nie doradza rozwiązania tego problemu drogą aneksji. Oczywiście, wie on doskonale, że niepodległość Ukrainy nie przeszkodzi jej wymianie gospodarczej z Rosją na zasadach, normalnie obowiązujących w stosunkach międzynarodowych, jego teza nie posiada zatem uzasadnienia rzeczowego. Idea wyzwolenia powinna być kompletna, inaczej nie będzie miała dostatecznej siły moralnej.

Względy moralne przemawiają natomiast na korzyść poglądów Kennana, gdy przestrzega przed obciążaniem całego narodu rosyjskiego odpowiedzialnością za wszystkie zbrodnie systemu komunistycznego, oraz gdy przeciwstawia się pomysłom rozczłonkowania Rosji. Istotnie, naród rosyjski, który w ciągu swej tysiącletniej historii znał tylko despotyzm, niezawsze uprawiany rosyjskimi rękami, nie miał jeszcze możności wykrystalizowania swej osobowości jak narody sąsiednie, które żyły w wolności. Istotnie, pomysły rozczłonkowania Rosji właściwej nie byłyby moralne, bo nie ma żadnej racji odłączania od Rosji obszarów czysto rosyjskich, a tylko wtedy mogłaby być mowa o rozczłonkowaniu. Niewątpliwie, Ural, czy Penza, Archangielsk, czy Tuła są tak organicznie związane z Rosją, jak Pensylwania ze Stanami Zjednoczonymi. Niewątpliwie, Rosja właściwa, po wyzwoleniu z komunizmu, powinna być wprowadzona do społeczności wolnych narodów świata na zasadach równości. Na to jednak, aby mogła współżyć z otaczającym ją światem na zasadach równości i dać pełny wyraz swemu geniuszowi narodowemu, oczyszczonemu z tysiąc-letniego osadu pierwiastków despotycznych, powinna być przedtem uwolniona od hipoteki podbojów i wejść do życia międzynarodowego ze wszystkim co rosyjskie, ale z niczym więcej.

A zatem : wyzwolenie narodów ujarzmionych, z rosyjskim włącznie i federalizm, oto dwa elementy wizji świata posowieckiego, które powinny przyświecać strategii amerykańskiej, gdy nakreśli sobie ona, jako cel, ocalenie Ameryki i świata przed niewolą. Nie będzie to jeszcze wszechstronna ideologia, tym bardziej doktryna, ale początek będzie zrobiony. A przecież od czegoś trzeba zacząć.

VIII.

Tematyką działań psychologicznych można by wypełnić cały tom i to nie jeden. Jest to sprawa ważna, ale nie najpilniejsza. Tematyka wtedy tylko może być pożyteczna, gdy krystalizuje się wokół określonej idei przewodniej. Dotychczasowe próby działań psychologicznych ze strony amerykańskiej, z braku takiej idei, były raczej reakcjami na działania sowieckie, niż wyrazem prze-

myślanego programu. Polegały one głównie na propagandzie, zwłaszcza radiowej, a jest ona przecież tylko jednym z elementów działań psychologicznych. Łatwo jest krytykować audycje ,,Głosu Ameryki'', lub ,,Wolnej Europy'', ale trzeba na ich usprawiedliwienie powiedzieć, że znalazły się one, jak okręt bez busoli na wzburzonych falach oceanu.

Jeżeli weźmiemy za przykład audycje polskie radia ,,Wolnej Europy'', to z łatwością stwierdzimy, że te usterki, które zależą od bezpośredniego kierownictwa i pracy zespołu, nie są najważniejsze. Trzeba stawiać żądanie, aby autorzy tekstów i speakerzy wkładali więcej staranności w opracowanie swoich tematów, aby unikali łzawego sentymentalizmu, ciężko strawnego dla ludzi w kraju, zwłaszcza dla młodzieży, która nie pamięta przedwrześniowej przeszłości, a już jest spychana przez roczniki, które nie pamiętają okupacji niemieckiej. Trzeba żądać głębszego wczucia się w nurt przemian, zachodzących w psychice narodu, gdyż jest to warunkiem zachowania wspólnego języka, możliwości porozumienia się. Trzeba wyeliminować z zespołu tę, lub ową jednostkę fabrykującą tandetę, lub wprowadzić tę czy inną jednostkę wartościową i twórczą, a która nie przecisnęła się przez ucho igielne klucza politycznego, czy innych kryteriów, którymi kierowano się przy wyborze zespołu, lub o której po prostu nie pamiętano. Wszystkie te korektywy mogą się przyczynić do poprawy wartości audycji, ich poziomu i pożytku w ograniczonym zakresie, ale nie rozwiążą jeszcze istotnego zagadnienia. Taka np. sekcja prasowo-informacyjna radia ,,Wolnej Europy'' należy na pewno do najlepiej pracujących pod względem technicznym. Pomimo to, a może właśnie dlatego, nie może uniknąć wywoływania w umysłach słuchaczy krajowych obrazu chaosu i sprzeczności, panujących na Zachodzie. Nie ma takiej propagandy, która mogłaby spełnić swoje zadanie, nie wiedząc, o jakie zadanie chodzi. Walka z komunizmem nie może polegać tylko na negacji. Trzeba ją prowadzić w imię jakiejś idei przewodniej, o której byłoby wiadomo, że chociaż nie będzie dogmatyczną doktryną, dającą odpowiedź na wszystko, będzie przynajmniej panowała nad sprawami drugorzędnymi, które mogą być sprzeczne do jakiegoś czasu.

IX

Z chwilą, gdy zostaną założone fundamenty amerykańskiej strategii psychologicznej, wysiłek jej powinien być zorientowany w trzech głównych kierunkach :

1) Teren nieprzyjacielski.
2) Kraje ujarzmione.
3) Opinia świata wolnego.

(1) Celem wysiłku na pierwszym z tych kierunków będzie, we wstępnym okresie, obudzenie zdolności krytycznego myślenia mas, wytresowanych, w ciągu długiego czasu, w okrutnej

dyscyplinie dogmatyzmu doktrynalnego. Tylko w umyśle umiejącym myśleć krytycznie można obudzić wątpliwości. Jest to warunek przygotowania gruntu pod dalsze działania. Będzie to praca niezmiernie trudna, wymagająca od prowadzącego ją zespołu doskonałej znajomości wszystkich dziedzin życia sowieckiego, sposobu myślenia ujarzmionej masy i partyjnej elity, nauczenia się dialektyki, jedynego języka przy którego pomocy można się porozumieć, a przynajmniej — rozmawiać z sowieckim człowiekiem. Opracowanie tematyki i metodyki działania na świat sowiecki, to cały problem, podobnie, jak stworzenie zespołu, który by rozumiał rzeczywistość i umiał przemawiać jej językiem.

(2) Celem działań psychologicznych w stosunku do narodów ujarzmionych będzie spotęgowanie ich woli oporu przez wiążące zapewnienie, że opór ten będzie uwieńczony odzyskaniem niepodległości, że tragedia Jałty się nie powtórzy i że polityka Stanów Zjednoczonych wykrystalizowała się ostatecznie, jako bezkompromisowe dążenie do obalenia komunizmu i oparcia współżycia narodów na zasadach federalnych. Ze względu co najmniej na Polaków i Czechów jest sprawą zasadniczej wagi niedopuszczenie do rewizjonistycznej propagandy niemieckiej. Polacy i Czechosłowacy, dwa narody poddane najsilniejszej presji sowieckiej z uwagi na ich sytuację geograficzną wobec Europy Zachodniej, liczące razem 40 milionów ludności, muszą mieć pewność, że linia Odry, Nysy i Sudetów nie będzie podawana w wątpliwość. Ludzie, którzy będą planowali strategię wojny psychologicznej, powinni uświadomić sobie konsekwencje ewentualnego wywołania wątpliwości najbardziej skrzywdzonego w ciągu ostatniej wojny narodu, którego przeszło siedmiomilionowy odłam wkorzenił się w glebę obszaru, zawartego między linię Odry i Nysy, a granicą z 1939 roku i stał się na tym obszarze ludnością autochtońską o stuprocentowo czystym składzie narodowym.

Działania psychologiczne wobec krajów ujarzmionych powinny być zróżnicowane w kilku przekrojach, dotyczyć one bowiem będą ludności wsi i miast; kobiet i mężczyzn; robotników, inteligentów, środowisk intelektualnych i artystycznych; pokolenia, które pamięta warunki życia w wolności i młodzieży. Metodyka działań musi się liczyć z zachodzącymi tam przemianami psychicznymi, wynikającymi z przesiedleń ludności, ze zmiany struktury gospodarczej i społecznej, oraz z warunków życia w opresji moralnej, fizycznej i materialnej. Nie byłoby nic gorszego, jak przemawianie do Polaków, a prawdopodobnie i do innych narodów ujarzmionych językiem ckliwej uczuciowości, który był krytykowany już w czasie okupacji niemieckiej. Trzeba mówić językiem ścisłym, niemal technicznym, wykazując na każdym kroku odróżnienie własnego wysiłku konstruktywnego społeczeństwa od wrogiej orbity, w którą ten wysiłek jest wprzęgnięty.

Szczególnie starannie powinny być opracowane metody działania w stosunku do młodzieży, gdyż o nią toczy się główna walka. Wobec fałszowania historii przez administrację narzuconą, działania psychologiczne powinny znaleźć sposób wpojenia młodemu pokoleniu historii prawdziwej. Na szczęście, systemy lokalne nie są w stanie odciąć całkowicie młodzieży od kontaktu ze sztuką i kulturą narodową, która często, jak np. w wypadku polskim, promieniuje tradycją walki o wolność i wrogim stosunkiem do Rosji. Wpływ dzieł kultury narodowej jest tam zwalczany przez przeciwstawianie im dzieł kultury rosyjsko-sowieckiej i przez komunistyczną interpretację. Trzeba znaleźć sposoby zapoznawania młodzieży z dziełami kultury narodowej, obecnie na indeksie a interpretacji tendencyjnej przeciwstawić właściwą, opartą na intencjach twórców.

Specjalny wysiłek powinien być włożony w stałe utrzymywanie młodzieży w świadomości postępu naukowego i technicznego na Zachodzie, od którego jest systematycznie odgradzana zarówno przez zaciskanie żelaznej kurtyny, jak przez propagandę osiągnięć sowieckich, tak prawdziwych, jak przywłaszczonych. W ubiegłym roku np. zapanowała w Polsce moda na biologię i jej wpływ na procesy socjologiczne. Dobra propaganda naukowa powinna bezzwłocznie wziąć tę sprawę na warsztat, choćby po to, by zapoznać młodzież z bogatymi osiągnięciami na tym polu na Zachodzie. Młodzież w krajach ujarzmionych jest wprzęgnięta poza studiami lub pracą zawodową w najrozmaitsze świadczenia społeczne i tzw. dokształcanie polityczne. Jest pozbawiona czasu na rozmyślania i obraca się w orbicie zagadnień konkretnych. Frazeologia i werbalizm byłyby najgorszą metodą poszukiwania wspólnego z nią języka.

Spełnieniu tych warunków powinno towarzyszyć podporządkowanie tematyki celom zasadniczym polityki narodowej.

(3) Celem działań psychologicznych wobec opinii świata wolnego powinno być przede wszystkim wykorzenienie złudzeń, gdyż tylko tędy prowadzi droga do wyzwolenia uśpionych obecnie sił moralnych i obudzenia woli walki z zagrożeniem sowieckim.

Strategia wojny psychologicznej natknie się tutaj, na samym wstępie, na barierę przerażającej ignorancji. Opinia świata wolnego, z wyjątkami, które potwierdzają regułę, nie ma żadnego pojęcia o tym czym są Sowiety. Bezmyślny ,,obiektywizm'' uczonych matołów, obwożonych po Rosji lub zasilanych propagandą przez placówki dyplomatyczne i inne, poczynił prawdziwe spustoszenia w umysłach. Opinia świata wolnego nie zna historii ekspansjonizmu rosyjskiego, którego tradycje i ducha dziedziczy imperializm sowiecki [2]). Mimo książek Koestlera, sprawy katyńskiej, rewelacji o przymusowych obozach pracy, nie dowierza prawdzie o rzeczywistości sowieckiej. Narody ujarz-

2) Al. Kawałkowski : *Wyzwolenie czy kapitulacja*, ,,Kultura'' 1951, Nr 33/34.

mione uważa najczęściej za odłamy reprezentowanej przez Rosję Słowiańszczyzny, a w konsekwencji — za naturalną sferę wpływów rosyjskich. Nie zdaje sobie sprawy z ich odrębności narodowej, historycznej, religijnej, kulturalnej, obyczajowej, ani ze związków, które je wiązały przez długie wieki z Zachodem. Nie uświadamia sobie, że pozostawienie tych narodów w orbicie sowieckiej skazuje Europę Zachodnią na uwiąd starczy i nędzę materialną, że bez wyzwolenia tych narodów przesądzone byłyby i to na stosunkowo krótkiej przestrzeni czasu, losy reszty Europy.

Społeczeństwa zachodnie są już psychicznie, a więc i moralnie częściowo sparaliżowane. Politycznie cechuje je zanik śmielszej myśli, najdalszą ambicją jest zachowanie status quo. Partie polityczne przestały być źródłami prądów ideowych, odwraca się od nich młodzież. Ideał demokracji staje się wyświechtanym frazesem, nie mobilizującym już niemal nikogo dla obrony. Systemy polityczne, doprowadzając do decydowania o skomplikowanych sprawach międzynarodowych, drogą demagogii wyborczej, ludzi zza lady sklepu kolonialnego, lub z kancelarii urzędu gminnego, przenoszą ignorancję na szczyty rządzenia. Jedyne śmielsze dzieło politycznej myśli zachodniej, plan wspólnoty węgla i stali, opracowane zostało nie przez parlamenty, a przez grupę techników, na marginesie wszystkich doktryn partyjnych. Neutralizm Europy Bevana w Anglii, a Claude Bourdeta i ,,Le Monde'u'' we Francji jest wyznaniem wiary o zasięgu znacznie szerszym, niż się powszechnie przypuszcza. Nastroje przeciwamerykańskie, coraz bardziej nagminne, stają się najwidoczniejszą formą uznania za pomoc amerykańską. Sowiecka propaganda obezwładniająca, szerzona przez najlepszą z agentur, organizację bojowników ,,pokoju'', sączy się wszystkimi porami w apatyczne mózgi elit intelektualnych. Prof. Joliot-Curie z triumfem obwieszcza otwierając wiedeński kongres ,,pokoju'', że człowiek nauki na Zachodzie jest już w sidłach tej propagandy. Bezmyślna na ogół prasa antykomunistyczna pogłębia zamęt, drukując metrowe sprawozdania z obrad tego ,,kongresu'', rzadko zaopatrzone komentarzami, lub cudzysłowem przy nazwie : kongres pokoju. Wybór Eisenhowera i nominacja Foster Dullesa wywołały w pierwszej chwili uczucia zgrozy. ,,Europa głosowała za Stevensonem'' — wołała większość prasy, nie pytając o zdanie 150 milionów europejczyków, zmuszonych niewolą do milczenia. Później przyszła spekulacja na zwycięstwo ,,zdrowego rozsądku''. Może ona okazać się bardziej niebezpieczną niż otwarte wymysły, gdyby zawiodły charaktery.

Równie daleko poszło obezwładnienie Zachodu na odcinku gospodarczo-społecznym. Komunizm żeruje na rosnącym niezadowoleniu mas pracowniczych i na coraz bardziej widocznych objawach kryzysowych, którym słabe rządy nie potrafią zapobiec, zwłaszcza w krajach o ustroju wielopartyjnym. Po kilku

latach koniunktury powojennej zaczynają spadać wskaźniki produkcji i wartość nabywcza zarobków, szerzy się bezrobocie a razem z nim niezadowolenie, lub zobojętnienie mas. Od kilku miesięcy wiadomo, że Sowiety przygotowują cios psychologiczny o nieobliczalnych następstwach : ,,Chleb za darmo'', ale nie widać żadnych przygotowań dla odparcia tego uderzenia. Po niewczasie nastąpią uczone krytyki, że ten chleb za darmo będzie w złym gatunku i wymierzany w małych porcjach, ale masy ludowe potraktują te krytyki z tym samym niedowierzaniem z jakim ustosunkowują się dzisiaj do tabel, porównywujących siłę nabywczą zarobków robotniczych w Sowietach i na Zachodzie.

Opracowanie tematyki i metod działań psychologicznych na terenie obrony, na własnym terenie Zachodu, to także cały problem. Nie wiadomo, czy można go rozwiązać skutecznie. Specjaliści od amerykańskiej strategii psychologicznej uczynią dobrze, dokonywując oceny, jeżeli wyjdą z założenia, że jest to teren, w połowie stracony, który trzeba dopiero wyzwolić. Powstanie pytanie, czy istnieją środki i czas dla odebrania wszystkich straconych pozycji, czy nie należy się ograniczyć tylko do niektórych, najważniejszych. Ponad wszystkimi poczynaniami powinna unosić się świadomość, że celem sowieckiej strategii psychologicznej, wspomaganej przez dyplomatyczną, jest doprowadzenie do osamotnienia Ameryki w chwili, gdy będzie ona usiłowała zdobyć się na decyzje rozstrzygające.

X.

Narzędzia wojny psychologicznej mogą być jawne i tajne. Wśród jawnych mogą wchodzić w rachubę wszystkie, które są zdolne dosięgnąć umysł, uczucia, lub instynkt. Radio, telewizja, teatr, film, prasa, ilustracja, książka naukowa i popularyzująca wiedzę, literatura i poezja, dzieła sztuki, ale także pewne zbiorowe formy życia ludzkiego, jak : ruchy syndykalne, organizacje zawodowe, stowarzyszenia sportowe, instytucje dobroczynne, manifestacje zbiorowe, święta i rocznice religijne, narodowe, ogólno-ludzkie itd. Wszystkimi tymi narzędziami posługuje się już strategia sowiecka, wszystkie są, w zasadzie, do użycia w świecie wolnym, niektóre tylko mogą być zastosowane do działań psychologicznych wobec narodów ujarzmionych i wobec świata sowieckiego.

Wojna psychologiczna nie jest jednak celem samym w sobie, lecz jednym z narzędzi ogólnej strategii politycznej. Użycie wszystkich, czy części środków teoretycznie możliwych, jest najpierw funkcją czasu jaki zakreśli sobie strategia ogólna, a później dopiero kwestią kosztów i celowości użycia energii.

Powstanie także sprawa koncepcji organizacyjnej. Logika przemawiałaby za stworzeniem ośrodka kierowniczego na najwyższym szczeblu organizacji atlantyckiej, a więc przy O.T.A.N. W praktyce byłoby to rozwiązanie katastrofalne, obecnie przy-

najmniej, z uwagi na zły stan psychologiczny partnerów Ameryki. Stany Zjednoczone nie mają innego wyboru, jak wziąć na siebie całą odpowiedzialność za strategię psychologiczną. Będą wówczas zabezpieczone przed paraliżującym wpływem swych sojuszników przynajmniej w zakresie działań wobec świata sowieckiego i wobec narodów ujarzmionych. Inicjatywy polityczne wobec narodów ujarzmionych powinny być opracowywane tylko przy udziale kierowniczych ośrodków politycznych tych narodów, znajdujących się na Zachodzie. W obecnym stanie rzeczy tylko Ameryka zdaje się bowiem zdawać sobie sprawę z tego, że wyzwolenie nie jest misją dobroczynną, ani nawet krucjatą ideologiczną, lecz że jest koniecznością, warunkującą ocalenie wolności na całym świecie, wolności Stanów Zjednoczonych w pierwszym rzędzie.

Istnieją wreszcie możliwości tajnych działań psychologicznych. Były w ostatnich latach próby improwizowania w tej dziedzinie, które skończyły się, bo musiały się skończyć, niepowodzeniem. Jest to dziedzina może najtrudniejsza ze wszystkich : wymaga ona specjalnych studiów i dopełnienia szczególnych warunków politycznych, moralnych i technicznych. Rozważania publiczne na ten temat byłyby niecelowe, a nawet szkodliwe.

Paryż, w grudniu 1952.

Aleksander KAWAŁKOWSKI

POST SCRIPTUM

Niebardzo jeszcze wiadomo, jakie będą, na dłuższą metę, następstwa śmierci Stalina w państwie sowieckim, ale już wiadomo, jakie są na Zachodzie. Już wiadomo, że na pierwszą wiadomość o objęciu władzy przez grupę pięciu pod przewodnictwem Malenkowa, rozpoczęła się gwałtowna kontrofensywa obozu monachijskiego, w którym odżyły z nową siłą, ledwie zresztą zachwiane przez nowy kierunek polityki amerykańskiej, nadzieje na koegzystencję dwuch światów na podstawie zachowania status quo. Pierwsze skrzypce w tym ponurym koncercie zdaje się grać dyplomacja angielska. Nie ma w tym nic dziwnego ani nowego. Polityka angielska, oparta jak w ciągu całego XIX wieku, na przesłankach merkantylnych, skrajnie egoistyczna, pozbawiona jakichkolwiek zasad moralnych, nie umie dopatrzyć się w wielkich problemach światowych niczego poza ich aspektem kupieckim. Przed niebezpieczeństwem usiłuje bronić się propozycjami transakcji handlowej. Ten kupiecki sposób patrzenia na rewolucyjne wydarzenia w świecie, chociaż prowadzi Anglię od klęski do klęski, nie wywołuje najmniejszych objawów otrzeźwienia. Wyrzucona z rynków chińskich, pomimo uznania dyktatury Mao Tse Tunga, udziela nadal swego poparcia jawnemu i czarnemu handlowi, dostarczającemu Chinom komunistycznym wszystkiego, czego nie mogą dostarczyć im Sowiety. Przykład chiński charakteryzuje lepiej niż jakikolwiek inny krótkowzroczność polityki angielskiej, nie zdającej sobie sprawy z tego, że system komunistyczny może się skonsolidować i ustabilizować tylko w zupełnej izolacji od świata zewnętrznego i że dla osiągnięcia tego celu gotów jest zrezygnować z niejednego dobrego, lub nawet doskonałego interesu handlowego.

Z treści komunikatów i z komentarzy prasowych wynika, że przy okazji podróży dwóch angielskich ministrów do Waszyngtonu, akurat w ciągu tygodnia pogrzebowego, dyplomacja angielska usiłuje wywrzeć wpływ ,,moderacyjny'' na politykę amerykańską. Jeżeli ta wiadomość okazałaby się prawdziwa, należało by przypuszczać, że dyplomacja angielska pragnie za wszelką cenę zapewnić Maleńkowowi i jego wspólnikom czas i warunki dla spokojnego przywrócenia równowagi wewnętrznej państwa sowieckiego po wstrząsie, spowodowanym przez śmierć Stalina. Doskonale prowadzona, przeciwko Stanom Zjednoczonym, wojna psychologiczna, przedstawia już Maleńkowa, jako poczciwego technokratę, który o niczym innym nie marzy, jak tylko o dalszym, spokojnym uprzemysławianiu Rosji. ,,Nie trzeba mu w tym przeszkadzać, bo gotów się rozgniewać i stracić ochotę do rozmów na temat pokojowego współżycia'' — oto lejtmotyw, przyświecający ogólnemu tonowi prasy monachijskiej w świecie wolnym.

Gdyby te wiadomości się potwierdziły, komunizm sowiecki i światowy miałby wszystkie powody do wdzięczności dla Stalina za to, że odszedł w porę. Dopóki on żył, zdawało się, że złudzenia na temat porozumienia z Rosją zaczynały wygasać. Od ogłoszenia wyniku wyborów amerykańskich mogło się wydawać, że nadchodzi, może powoli, ale w sposób nieunikniony, czas rozstrzygnięć. Jego śmierć mogła być wielkim wydarzeniem, ale pod warunkiem, że Ameryka nie zwolni ani na chwilę swej presji na Sowiety i że świat wolny dochowa wobec niej solidarności. Rachuby na poróżnienie się przywódców Rosji przy biernym oczekiwaniu ze strony Zachodu świadczą tylko o bezgranicznej naiwności. Stalin zostawił po sobie nie płynną organizację rewolucyjną, lecz silnie zmontowane państwo sowieckie o ustroju, przemyślanym do najdrobniejszych szczegółów i o hierarchii, którą sam przygotował i ustalił. Oczywiście, różnice zdań wśród rządzących są zawsze możliwe, nawet w najsprawniej działającym organizmie państwowym. Mogą się one jednak przekształcić w walkę tylko pod wpływem presji z zewnątrz, gdyż tylko wtedy wytworzyć się mogą warunki dla starcia się odmiennych poglądów na sposób przeciwstawienia się tej presji i tylko wówczas różnice poglądów mogą przybrać charakter tak istotny, który usprawiedliwi walkę. Przyjmując postawę biernego oczekiwania i zachęcających gestów, Zachód zapewniłby nowym władcom Rosji warunki dla ostatecznego ustabilizowania się przed nowym etapem pochodu do władzy nad światem. Mówiąc brutalnie, chodzi o to, czy należy pozostawić Maleńkowowi i jego wspólnikom czas dla organizacji masowej produkcji bomby atomowej, jedynego sposobu wyeliminowania tej broni z użycia przez kogokolwiek na świecie.

Śmierć Stalina nie zmieniła istoty problemu. Sama przez się, nie zatrzyma ona Sowietów przed dążeniem do realizacji celów, które są istotną racją ich bytu. Stworzyła ona natomiast lepszą koniunkturę dla spowodowania rozstrzygnięć, ale pod warunkiem, że ani jeden dzień nie będzie stracony. Jest tylko jeden sposób zachwiania spoistością wewnętrzną régime'u sowieckiego, o ile ktoś uważa, że rozbicie tej spoistości jest koniecznym warunkiem wyzwolenia świata spod zagrożenia przez imperializm komunistyczny : przyśpieszenie tempa działań na wszystkich polach, spotęgowanie wysiłku psychologicznego, gospodarczego, dyplomatycznego i wojskowego w oparciu o olbrzymie i ciągle rosnące źródła naukowe i przemysłowe, którymi dysponują Stany Zjednoczone i których rozmiary nie są nieznane obecnym władcom Kremla.

Rozważania, którym daliśmy wyraz w artykule pt. ,,Wojna psychologiczna'', stały się, naszym zdaniem, bardziej aktualne obecnie, niż w czasie, kiedy były pisane.

20 marzec 1953 *Al. K.*

Fragmenty z dziennika

Wtorek. — Józefa Radzymińska dostarczyła mi wielkodusznie kilkunastu numerów ,,Wiadomości'' i ,,Życia'', a zarazem wpadło mi w ręce kilka egzemplarzy prasy krajowej. Czytam te polskie gazety jak opowieść o kimś doskonale i blisko znanym, kto jednak nagle wyjechał, na przykład do Australii i tam doświadcza dziwnych przygód... które o tyle już nie są rzeczywiste iż dotyczą kogoś innego i nowego, będącego jedynie w stanie luźnej identyczności z dawniej znaną nam osobą. Tak silna jest obecność czasu na tych stronicach, że odzywa się w nas głód bezpośredniości, chęć życia i niedoskonałej chociażby realizacji. Lecz życie jest jak za szkłem — oddalone — wszystko jakby nie nasze już, jakby widziane z pociągu.

Gdybyż dał się słyszeć w tym królestwie przemijającej fikcji głos rzeczywisty ! Nie — to albo echa sprzed lat piętnastu, albo wyuczone śpiewy. Prasa krajowa, śpiewając na obowiązującą nutę, milczy jak grób, jak otchłań, jak tajemnica, a prasa emigracyjna jest — poczciwa. Niewątpliwie, duch spoczciwiał nam na emigracji. Prasa emigracyjna przypomina szpital, gdzie rekonwalescentom daje się tylko lekkostrawne zupki. Po cóż rozdrapywać rany? Dlaczego dokładać jeszcze surowości do tej, którą namaściło nas życie i, zresztą, czyż nie powinniśmy zachowywać się grzecznie skoro dostaliśmy klapsa?... Panują więc tutaj wszystkie chrześcijańskie cnoty, dobroć, ludzkość, litość, poszanowanie człowieka, umiar, skromność, przyzwoitość, rozwaga, rozsądek i wszystko co się pisze jest przede wszystkim dobrotliwe. Tyle cnót ! Nie byliśmy tak cnotliwi gdyśmy mocniej trzymali się na nogach. Nie ufam cnocie tych, którym się nie udało, cnocie zrodzonej z biedy i cała ta moralność przypomina mi słowa Nietzschego : ,,Złagodzenie naszych obyczajów jest następstwem naszego osłabienia''.

W przeciwieństwie do głosu emigracji, głos Kraju rozlega się ostro i kategorycznie, aż trudno uwierzyć, aby to nie był głos prawdy i życia. Tu przynajmniej wiadomo o co cho-

dzi — białe i czarne, dobre i złe — tutaj moralność brzmi gromko i bije jak pałka. Ten śpiew byłby wspaniały gdyby śpiewacy nie byli nim przerażeni i gdyby nie czuło się w ich głosie drżenia, które budzi litość... W gigantycznym milczeniu kształtuje się nasza niewyznana, niema i zakneblowana rzeczywistość.

„Kraków. Posągi i pałace, które im wydają się bardzo wspaniałe — ale które, dla nas, są czymś bez znaczenia”.

Galeazzo Ciano „Dziennik”

Czwartek. — Artykuł Lechonia w „Wiadomościach” pt. „Literatura polska i literatura w Polsce”.

Jak dalece to może być szczere? Wywody te zmierzają jeszcze raz (ach, już tyle razy!) do wykazania, że równi jesteśmy najlepszym literaturom światowym — równi, ale zapoznani i niedocenieni! Pisze (a raczej mówi, gdyż to był odczyt wygłoszony w Nowym Jorku dla tamtejszej Polonii):

„Nasi uczeni w piśmie przez to, że przeważnie tylko polskiem zajęci, nie mogli spełnić zadania wyznaczenia naszej literaturze właściwego miejsca wśród innych, znalezienia światowej rangi dla naszych arcydzieł... Tylko wielki poeta, mistrz swej własnej mowy... mógłby dać swym rodakom pojęcie o poziomie naszych poetów, równych największym na świecie, przekonać ich że ta poezja jest z tego samego metalu, tej samej najwyższej próby co Dante, Rasyn i Szekspir”.

I tak dalej. Z tego samego metalu? To chyba niezbyt udało się Lechoniowi. Gdyż właśnie materia, z której zrobiono naszą literaturę jest inna. Porównywać Mickiewicza z Dantem lub z Szekspirem, to porównywać owoc z konfiturą, produkt naturalny z produktem przetworzonym, łąkę, pole i wioskę z katedrą lub miastem, duszę sielską z duszą, powiedzmy tak, skumulowaną, ze spiętrzoną i dramatyczną wiedzą o świecie rodzaju ludzkiego. Byłże Mickiewicz mniejszy od Danta? Jeśli już mamy oddawać się tym pomiarom, powiedzmy, że oglądał on świat z łagodnych wzgórz polskich podczas gdy Dante wyniesiony został na szczyt potężnej góry (z ludzi złożonej), z której inne otwierają się perspektywy. Dante, nie będąc może „większy”, wyżej był umieszczony: dlatego góruje.

Mniejsza z tym jednak. Idzie mi raczej o staroświeckość metody i niekończącą się nigdy powtarzalność tego krzepiącego stylu. Gdy Lechoń z dumą nadmienia, że Lautréamont „powoływał się na Mickiewicza”, zmęczona myśl moja wydobywa z przeszłości ileż, tej podobnych, dumnych rewelacji. Ileż to razy ten i ów, może Grzymała, albo i Dębicki, wykazywali urbi et orbi, że jednak sroce nie wypadliśmy spod ogona gdyż „Tomasz Mann uznał Nieboską za wielkie dzieło” lub „Quo Vadis tłumaczone było na wszystkie języki”. Tym to cukrem od dawna

się krzepimy. Ale chciałbym doczekać chwili, w której koń narodu rębami złapie za słodką rękę Lechoniów.

Rozumiem Lechonia i jego przedsięwzięcie. To, przede wszystkim, patriotyczny obowiązek, mając na uwadze moment dziejowy na przymusowej obczyźnie. To rola polskiego pisarza. A po wtóre, on zapewne w pewnej mierze wierzy w to co pisze — mówię ,,w pewnej mierze'' gdyż są to prawdy z gatunku wymagającego dużo dobrej woli. I, naturalnie, jeśli idzie o ,,konstruktywność'' to ten występ jest całkowicie konstruktywny i na sto procent pozytywny.

Dobrze. Ale mój stosunek do tych spraw jest odmienny. Kiedyś zdarzyło mi się uczestniczyć w jednym z tych zebrań poświęconych wzajemnemu polskiemu krzepieniu się i dodawaniu ducha... gdzie, odśpiewawszy Rotę i odtańczywszy krakowiaka, przystąpiono do wysłuchiwania mówcy, który wysławiał naród albowiem ,,wydaliśmy Szopena'', albowiem ,,mamy Curie-Skłodowską'' i Wawel, oraz Słowackiego, Mickiewicza i, poza tym, byliśmy przedmurzem chrześcijaństwa a konstytucja Trzeciego Maja była bardzo postępowa... Tłumaczył on sobie i zebranym, że jesteśmy wielkim narodem, co może nie wzbudzało już entuzjazmu słuchaczy (którym znany był ten rytuał — brali w tym udział jak w nabożeństwie, od którego nie należy oczekiwać niespodzianek) niemniej jednak było przyjmowane z rodzajem zadowolenia, że stało się zadość patriotycznej powinności. Ale ja odczuwałem ten obrządek jak z piekła rodem, ta msza narodowa stawała mi się czymś szatańsko szyderczym i złośliwie groteskowym. Gdyż oni, wywyższając Mickiewicza, poniżali siebie — i takim wychwalaniem Szopena wykazywali to właśnie, że nie dorośli do Szopena — a lubując się własną kulturą, obnażali swój prymitywizm.

Geniusze! Do cholery z tymi geniuszami! Miałem ochotę powiedzieć zebranym : — Cóż mnie obchodzi Mickiewicz? Wy jesteście dla mnie ważniejsi od Mickiewicza. I ani ja, ani nikt inny, nie będzie sądził narodu polskiego według Mickiewicza lub Szopena, ale wedle tego co tu, na tej sali, się dzieje i co tu się mówi. Gdybyście nawet byli narodem tak ubogim w wielkość, że największym artystą waszym byłby Tetmajer lub Konopnicka, lecz gdybyście umieli mówić o nich ze swobodą ludzi duchowo wolnych, z umiarem i trzeźwością ludzi dojrzałych, gdyby słowa wasze obejmowały horyzont nie zaścianka, lecz świata... wówczas nawet Tetmajer stałby się wam tytułem do chwały. Ale tak jak rzeczy się mają, Szopen z Mickiewiczem służą wam tylko do uwypuklenia waszej małostkowości — gdyż wy z naiwnością dzieci potrząsacie przed nosem znudzonej zagranicy tymi polonezami po to jedynie, aby wzmocnić nadwątlone poczucie własnej wartości i dodać sobie znaczenia. Jesteście jak biedak, który chwali się, że jego babka miała folwark i bywała w Paryżu. Jesteście ubogimi krewnymi świata, którzy usiłują imponować sobie i innym.

Nie to wszakże było najgorsze i najdotkliwsze, najbardziej upokarzające i bolesne. Najstraszniejsze było, iż poświęcano żywy, współczesny rozum na rzecz nieboszczyków. Gdyż tę akademię można by określić jako wzajemne otępianie się Polaków w imię Mickiewicza... i żaden z obecnych nie był tak niemądry, jak to zgromadzenie, które stanowili i które ziało kiepskim pretensjonalnym, fałszywym frazesem. Zgromadzenie zresztą wiedziało o tym, iż jest niemądre — niemądre ponieważ dotyka spraw, których ani myślowo ani uczuciowo nie opanowało — i stąd ten szacunek, ta skwapliwa pokora wobec frazesu, ten podziw dla Sztuki, ten język umówiony i nauczony, ten brak rzetelności i szczerości. Tu recytowano. Lecz zgromadzenie było nacechowane skrępowaniem, sztucznością i fałszem także dlatego, iż brała w nim udział Polska, a wobec Polski Polak nie umie się zachować, ona go peszy i manieruje go, onieśmieliła go w tym stopniu iż nic nie ,,wychodzi'' mu właściwie i wprawia go w stan kurczowy — zanadto chce Jej pomóc, zanadto pragnie Ją wywyższyć. Zauważcie, iż wobec Boga (w kościele) Polacy zachowują się normalnie i poprawnie — wobec Polski tracą się, to coś do czego się jeszcze nie przyzwyczaili.

Przypominam sobie herbatkę w pewnym argentyńskim domu, gdzie mój znajomy, Polak, zaczął mówić o Polsce — i znów, naturalnie, wyjechał na stół Mickiewicz, Kościuszko wraz z królem Sobieskim i bitwą pod Wiedniem. Cudzoziemcy grzecznie przysłuchiwali się gorącym wywodom i przyjmowali do wiadomości, iż ,,Nietzsche i Dostojewski byli polskiego pochodzenia'' i że ,,mamy dwie nagrody Nobla w literaturze''. Pomyślałem, że gdyby ktoś wychwalał w ten sposób siebie lub swoją rodzinę, byłby to gruby nietakt. Pomyślałem, iż ta licytacja z innymi narodami na geniuszów i bohaterów, na zasługi i zdobycze kulturalne, jest właśnie wysoce niezręczna pod względem taktyki propagandowej — gdyż z naszym półfrancuskim Szopenem i niezupełnie rdzennym Kopernikiem nie możemy wytrzymać konkurencji włoskiej, francuskiej, niemieckiej, angielskiej, rosyjskiej; więc ten punkt widzenia skazuje nas właśnie na podrzędność. Cudzoziemcy jednak nie przestawali słuchać cierpliwie, jak słucha się tych, co to, mając pretensję do arystokracji, co chwila przypominają, iż prapradziadek był kasztelanem liwskim. A wysłuchiwali z tym większym znudzeniem, że nic ich to nie obchodziło, ponieważ sami, jako naród młody i pozbawiony na szczęście geniuszów, byli poza konkursem. Ale słuchali z pobłażaniem i nawet z sympatią, gdyż ostatecznie wczuwali się w sytuację psychologiczną ,,del pobre Polaco''; ten zaś, przejęty swoją rolą, nie ustawał.

Ale moja sytuacja, jako literata polskiego, stawała się coraz bardziej drastyczna. Nie palę się bynajmniej do reprezentowania czegokolwiek poza własną swoją osobą, jednakże te funkcje reprezentanta narzuca nam świat wbrew naszej woli i nie moja wina, że dla tych Argentyńczyków byłem przedstawicielem współczesnej literatury polskiej. Miałem więc do wyboru : albo raty-

fikować ów styl, styl ubogiego krewnego, albo go zniszczyć — przy czym zniszczenie musiało by się odbyć kosztem wszystkich mniej lub więcej pochlebnych dla nas i korzystnych informacji, jakie zostały podane do wiadomości, i to byłoby zapewne z uszczerbkiem naszych, polskich, interesów. A przecież nie co innego, jak właśnie godność narodowa nie pozwoliła mi na żadne kalkulacje — gdyż jestem człowiekiem o zaostrzonym, niewątpliwie, poczuciu godności osobistej, taki zaś człowiek, gdyby nawet nie był związany z narodem więzami zwyczajnego patriotyzmu, będzie zawsze pilnował godności narodu, chociażby z tego tylko względu, że nie może od narodu się oderwać i wobec świata jest Polakiem — stąd wszelkie poniżenie narodu poniża i jego osobiście wobec ludzi. Te zaś uczucia, niejako przymusowe i niezależne od nas, są stokroć silniejsze niż wszystkie nauczone i oklepane sentymenty.

Kiedy opanowuje nas takie uczucie, silniejsze od nas, działamy niejako na oślep i chwile takie są ważne dla artysty, gdyż wówczas wyrabiają się bazy wypadowe formy, określa się postawa wobec palącego zagadnienia. Cóż powiedziałem? Zdawałem sobie sprawę, że tylko radykalna zmiana tonu może przynieść wyzwolenie. Postarałem się więc o to, aby w głosie moim przejawiło się *lekceważenie* i zacząłem mówić jak ktoś, kto nie przywiązuje większego znaczenia do dotychczasowych osiągnięć narodu, jak ktoś, czyja przeszłość mniej warta jest od przyszłości, lecz dla kogo najwyższym prawem jest prawo teraźniejszości, prawo maksymalnej swobody duchowej w danej chwili. Uwydatniając obce pierwiastki w krwi Szopenów, Mickiewiczów, Koperników (aby nie myślano, że mam coś do ukrywania, że cokolwiek może odebrać mi swobodę ruchów) powiedziałem, że przecież nie należy brać zbyt na serio metafory jakobyśmy my, Polacy, ich ,,wydali''; gdyż oni tylko urodzili się wśród nas. Cóż ma wspólnego z Szopenem pani Kowalska? Czy dlatego że Szopen napisał ballady wzrasta, choćby o szczyptę, ciężar gatunkowy pana Powalskiego? Czy bitwa pod Wiedniem może przysporzyć chociażby łut chwały panu Ziębickiemu z Radomia? Nie, nie jesteśmy (mówiłem) bezpośrednimi spadkobiercami ani wielkości przeszłej ani małości — ani rozumu, ani głupoty — ani cnoty, ani grzechu — i każdy za siebie tylko jest odpowiedzialny, każdy jest sobą.

Tu jednak doznałem wrażenia, że nie jestem dostatecznie głęboki i że (jeżeli ma być skuteczne, co mówię) należało by potraktować rzecz na szerszą skalę. Przyznając więc, że do pewnego stopnia — w wielkich osiągnięciach narodu, w dziełach jego twórców ujawniają się cnoty specyficzne, właściwe danej gromadzie, i te napięcia, energie, uroki, które rodzą się w masie i jej wyraz stanowią — uderzyłem w samą zasadę narodowego samouwielbienia. Powiedziałem, że jeśli naród prawdziwie dojrzały powinien z umiarem sądzić własne zasługi, to naród prawdziwie żywotny musi nauczyć się je lekceważyć, musi on koniecznie być *wyniosły* w stosunku do wszystkiego co nie jest

dzisiejszą, aktualną jego sprawą i jego współczesnym stwarzaniem się...

,,Destrukcja'' czy ,,konstrukcja''? Rzecz pewna — te słowa były burzące o tyle, że podkopywały pracowity gmach ,,propagandy'', a nawet mogły zgorszyć cudzoziemców. Ale jakaż rozkosz : mówić nie dla kogoś, a dla siebie! Gdy każde słowo utwierdza cię silniej w sobie, przysparza ci siły wewnętrznej, wyzwala z tysiąca strachliwych kalkulacji, gdy mówisz nie jak niewolnik efektu a jak człowiek wolny!

Et quasi cursores, vitae lampada tradunt.

Ale dopiero na samym końcu mojej filipiki, znalazłem myśl, która wydała mi się — w atmosferze owej mętnej improwizacji — najcelniejsza. A mianowicie, że nic własnego nie może człowiekowi imponować; jeżeli więc imponuje nam wielkość nasza lub nasza przeszłość, to dowód, że one w krew nam nie weszły.

Piątek. — Najbardziej charakterystyczne w ,,Wiadomościach'' są listy czytelników.

,,Do Redaktora Wiadomości : W ostatnim numerze Zbyszewski, jak zawsze, nieprzemyślany, Mackiewiczowi brak perspektywy, za to Naglerowa palce lizać. — Feliks Z.''.

,,Do Redaktora Wiadomości... Szkoda, że nasi pisarze tak mało pracują nad sobą, dobry mamy materiał, ale nieoszlifowany, jeden tylko Hemar jest prawdziwym europejczykiem. Trzeba pracować! Józef B.''.

,,Do Redaktora Wiadomości... W poprzednim liście pisałem, że pan Roman lepszy od Żeromskiego, teraz powiem, że w ogóle najlepszy, a niech Cię kule biją, panie Romanie, za ten ostatni wyczyn, toż to perełka!!! Tylko tak dalej! Całusy dla dzieci! Konstanty F.''.

Poczciwy kącik! Kącik gdzie i pan Wincenty może się wyjęzyczyć i pan Walery dać wyraz swemu oburzeniu i pani Franciszka popisać się swoją wiedzą : Cóż w tym złego? Nic, zapewne, nic. Wszak w ten sposób popularyzuje się literaturę i od tego rośnie oświecenie.

A jednak to pokątne wyżywanie się osób, które nie zdobyły sobie prawa do figurowania na innym miejscu, mniej poczciwym... otóż mówię, ta poczciwość mnie mierzi. Gdyż Literatura jest damą surowych obyczajów i nie należy podszczypywać jej po kątach. Cechą literatury jest ostrość. Nawet ta literatura, która dobrodusznie uśmiecha się do czytelnika, jest wynikiem ostrego, twardego rozwoju jej twórcy. I literatura dążyć musi do zaostrzenia życia duchowego, nie zaś do takiej pokątnej tolerancji.

Szczegół ten, w zasadzie bez znaczenia, jest jednak charakterystyczny, gdyż uwydatnia inwazję miękkości w dziedzinę, która powinna być twarda. Literaturze, zmiękczanej nieustannie przez rozmaite poczciwe ciotki, fabrykujące powieści lub felietony, przez dostarczycieli pośledniej prozy i poezji, przez mię-

czaków obdarzonych łatwością słowa, literaturze grozi to niebezpieczeństwo, iż stanie się jajkiem na miękko, zamiast być — co jest jej powołaniem — jajkiem na twardo.

Sobota. — Z artykułu p. B. T. w Wiadomościach : ,,Ośmielę się jednak wyrazić podejrzenie, że polski optymizm — wbrew pozorom — wywodzi się po prostu z lenistwa myślenia... Zawsze, ilekroć sytuacja staje się trudna, uciekamy się do tradycji ,,podnoszenia na duchu''...

A obok, na tej samej stronie, w artykule pana W. Gr. :

,,Zaczęliśmy zapominać, że wielkość literatury opiera się na jej samopańskości... Sztuka nikomu nie służy...''

Upał. Osłabieniu memu nie chce się czytać dalej... niemniej te zwroty budzą niepokój. Mógłbym podpisać się pod nimi, treść ich jest mi bliska. I właśnie dlatego, że bliskie pod względem treści, stają się niepokojąco wrogie. Gdyż treść pochodzi od kogoś innego, jest wynikiem innych światów, innego stylistycznego, duchowego zaplecza. Wystarczy, abym przeczytał któreś z dalszych zdań p. W. Gr. :

,,Fircyk w zalotach'' to literatura prawdziwa... cacko samowystarczalne, jak samowystarczalnym cackiem jest zdrowy człowiek w wesołym słońcu lub w przewiewnym cieniu''...

...a już ta kombinacja cacko-zdrowie, kojarząc się z tym co mi wiadomo o tym autorze z innych jego prac, oddala mnie od niego i sprawia, że tamta jego wypowiedź staje się niesympatyczna. Jak wiele zależy od tego, na czyich ustach jawi się opinia, która jest i naszą, którą popieramy. I myślę, że ideom w Polsce zawsze brak było ludzi... to znaczy, że ludzie nie byli w stanie zapewnić ideom nie tylko dostatecznej siły, lecz i tej magnetycznej atrakcyjności jaką dysponuje dusza dobrze ,,rozwiązana''. Co jest tym dziwniejsze, iż mieliśmy wyjątkową ilość szlachetnych a nawet wzniosłych pisarzy. A jednak osobowość Żeromskiego, czy Prusa lub Norwida, ba, nawet Mickiewicza nie była zdolna wzbudzić (przynajmniej we mnie) tego zaufania, jakim wypełnia po brzegi Montaigne. Wygląda to tak jak gdyby pisarze nasi na drogach swego rozwoju coś w sobie zataili i, w następstwie tego zatajenia, nie byli zdolni do wszechstronnej szczerości, jak gdyby ich cnota nie wszystkim gatunkom grzechu zdolna była spojrzeć w oczy.

Lecz powyżej cytowane zdania także z innego powodu mnie rażą. Autodydaktyczne ,,my''... My, Polacy, jesteśmy tacy a tacy... Nam, Polakom, zdarza się to a to... Wadą nas, Polaków, jest że... Ten styl jest męczący, gdyż jest nagminny, któż z nas dzisiaj nie poucza w ten sposób narodu ? Oto jedna z tych pułapek stylistycznych, jakie czyhają na piszącego i którym — sądzę po sobie — niesłychanie trudno się wymknąć.

I, jak zawsze, to stylistyczne poślizgnięcie jest objawem poważniejszej choroby. Błąd tego ujęcia zamyka się w aforyzmie : medice, cura te ipsum. Rzeczywiście, to ,,my'' jest grzecznoś-

ciowe — gdyż tu autor przemawia jak wychowawca, jak ten, który konfrontuje nas z Europą i nie bez bólu stwierdza nasze niedociągnięcia. Czai się więc za taką pozornie skromną uwagą wcale spory ładunek zarozumiałości, nie mówiąc już o tym że ciężka dosyć pedagogia takich sformułowań jest z tych co to przychodzą zbyt tanio, zbyt łatwo... na które każdy może sobie pozwolić, robiąc minę ,,europejczyka''. Ale główny i fundamentalny korzeń tego błędu tak głęboko sięga dna naszego, że trzeba by nie lada operacji abyśmy mogli mu powiedzieć na zawsze : żegnaj.

Jak to określić ? To kwestia energii i żywotności. To sprawa samego stosunku naszego do życia. Ach, Adaś w szkole wciąż zastanawiał się jakie ma wady i jak je wyplenić, pragnął on być pobożny, jak Zdziś, praktyczny, jak Józio, rozumny, jak Henryś, dowcipny, jak Wacio... za co bardzo chwalili go nauczyciele. Ale koledzy go nie lubili i chętnie go tłukli.

Witold GOMBROWICZ

Notatki z lektury

LISTY OD NIEMCÓW

Zdarzyło się, że w grudniu ub. r. wygłosiłem odczyt w Nord-West-Deutsche Rundfunk. ,,Wygłosiłem'', to za dużo powiedzieć. Nie znam niemieckiego. Tekst napisałem, a raczej podyktowałem, po francusku, został on przełożony i odczytany przed mikrofonem. Nie występowałem oczywiście jako polityk, bo nim nie jestem. Starałem się natomiast dać słuchaczom niejakie pojęcie o tym jak czuje się człowiek w skórze poety polskiego, z jakiej tradycji czerpie, na jakich elementach przeszłości się opiera. Intensywność reakcji słuchaczy dała mi sporo do myślenia. Potwierdzałaby ona spostrzeżenia wielu osób które, porównując atmosferę we Francji, w Anglii i w Niemczech Zachodnich, zapewniają, że po okresie apatii, Niemcy są krajem szczególnie żywych zainteresowań umysłowych i że dyskutuje się tam na różne współczesne tematy więcej niż gdziekolwiek. Poza tym namiętny raczej ton listów pozwalał podejrzewać, że nie często, jeżeli nie wcale, zdarza się, że przez radio mówi tam gość równie egzotyczny. Zupełnie jakby przemawiał Tybetańczyk.

Nigdy chyba przepaść między dwoma narodami nie była równie głęboka. Przepaść ta jest oczywiście bardzo groźna, bo Niemcy i Polacy są skazani na życie obok siebie. W Niemczech Wschodnich i Polsce dużo się dzisiaj robi, aby zatrzeć wzajemne narodowe nienawiści, kierując uwagę ku wspólnym celom podboju świata. Co zresztą nie może całkowicie wyplenić z umysłów przeświadczenia, że naprawdę chodzi tylko o pomost z Moskwy do Berlina. Natomiast większość Niemców mieszka na zachód od Elby i ci nie dostają o Polsce innych wiadomości niż te, które umieszczają ich sąsiada w wielkim a groźnym konglomeracie ,,barbarzyńskiego wschodu''. Polacy, którzy lubią rozprawiać o swojej ,,zachodniości'', dla których Ukraińcy i Białorusini to już ,,dziki wschód'', dobrze by zrobili, gdyby się zastanowili, że dla przeciętnego Niemca oni z kolei są tym ,,Wschodem''. Polak może, przy odrobinie dobrej woli, przekonać się,

że nie wszyscy Ukraińcy to ,,rezuny'', jak również, że wersja historii jaką dał Sienkiewicz jest całkiem daleka od prawdy. Języki są pokrewne, jest wiele związków kulturalnych. Ale co ma począć Niemiec, jeżeli szuka informacji? Nikt, prócz Polaków, nie potrafi mu ich dostarczyć, natomiast ci nie kwapią się do tego. A może nie umieją. W drogich im koncepcjach ,,cywilizacji zachodniej'' jest coś z prawdy, ale są to koncepcje mgliste, zbyt łatwo wpadające w utartą koleinę ,,misji cywilizacyjnych'' (,,misja'' Niemców wobec Polaków, Polaków wobec Białorusinów i Ukraińców itd.).

Więc listy. Nie brak wśród nich głosów najżywszego oburzenia. Dopuszczenie Polaka do mikrofonu jest dla niektórych ,,skandalem''. Pewna słuchaczka zapewnia, że radio francuskie ani angielskie nie udzieliło by głosu Niemcowi (?), choć Niemcy nie zrobili Francuzom ani Anglikom ani części tych krzywd, jakie Polacy zrobili Niemcom. Inna rozdziera szaty, że ,,w przewrotny sposób'' bronię granicy Odra-Nysa. Są i opisy ,,bezprzykładnych'' okrucieństw popełnionych przez Polaków w r. 1945. Opisy te nie są szczególnie przekonywujące. Żadne masowe ekspulsje ludności nie są godne pochwały i uznawać ich słuszność jest to otwierać szeroko bramę nieskończonemu pasmu nieszczęść w przyszłości; jednak to, że Polacy szukali ukrytych klejnotów nawet we włosach ekspulsowanych Niemek nie daje się jeszcze zaklasyfikować do rzędu zbrodni. Młody Polak, który popchnął wtedy starą kobietę tak że upadła i stłukła okulary pozostał w jej pamięci jako wcielenie wszelkich sił zła. Nie ma co się dziwić. Dziwne tylko że w świadomości starej kobiety nie istnieją miliony mężczyzn, kobiet i dzieci wymordowanych w Polsce z rozmysłem i według planu przez nazich. Stąd przykry wniosek, że skoro zbrodnia osiąga apokaliptyczne rozmiary, usuwa się spoza zasięgu wyobraźni. Ta wyobraźnia wypełniona jest całkowicie obrazami demonicznych Polaków z nożami w zębach. I tak, dowiedziałem się dość ciekawych rzeczy o własnej przeszłości, które wzbogaciły pokaźną kolekcję faktów z mego życia, znanych doskonale innym, niestety nie mnie samemu — mianowicie, że byłem ,,Anfuehrer der Polnischen Partisanengruppe Graudenz'' i że rozstrzelałem pewną ilość czyichś przyjaciół i znajomych.

Nie te jednak oburzone listy są najbardziej zastanawiające. W listach przyjaznych a nawet serdecznych, można znaleźć tę kombinację dobrej woli i niewiedzy, która przejmuje, woła o akcję. Pewna młoda dziewczyna, która była dzieckiem w czasie wojny i mieszkała w Płocku pisze, że postępowanie władz okupacyjnych wobec Polaków zdawało się jej wtedy słuszne, bo Polacy zachowywali się okropnie. Teraz wie, że zachowywali się jak każdy naród uciemiężony i że władze okupacyjne były w błędzie, gdyż karały nie tylko ,,Untermenschen'' ale cierpieli również inni. Podział na ,,Untermenschen'' i innych zdaje się być głęboko zakorzeniony w jej — i nie tylko w jej — umyśle. Tu taj dochodzimy do zagadnienia niewinności, które nie jest by

najmniej problemem tylko niemieckim. Człowiek, aby mieć czyste sumienie, potrzebuje przekonania, że władze jego narodu są sprawiedliwe. Jeżeli są szczególnie okrutne wobec pewnych ludzi, dzieje się to ponieważ ludzie owi należą do g r u p y wyłączonej poza nawias. Zewnętrzne znamiona świadczą o przynależności do tej grupy : brud, niepiśmienność, podarte ubranie, spojrzenia spode łba, cechy rasowe itp. — jak kto woli. W polityce kolonialnej grupa ,,natives'', ,,tubylców'' podlegała specjalnej, ,,dobrej dla nich'' sprawiedliwości — a nazizm zastosował tylko tę zasadę do podbitych narodów europejskich. Innym sposobem wyniesienia grupy poza nawias jest przyjęcie kryterium politycznego : powstaje wtedy ,,grupa demoniczna''. Zresztą obie kategorie łączą się ze sobą. Wystarczy ,,grupę demoniczną'' traktować przez pewien czas w specjalny sposób, niszcząc ją ekonomicznie, poddając terrorowi, a składające się na nią jednostki nabiorą odpowiednich cech zewnętrznych (służalstwa, brudu, nierozgarnięcia, braku solidarności) ,,usprawiedliwiających'' okrutne traktowanie, jednym słowem dostarczą racji dla pogardy, tak niezbędnej systemom współczesnego rządzenia. Młoda dziewczyna niemiecka już pojmuje, że rażące, ,,brzydkie'' zachowanie się jakiejś grupy ludzkiej (dla jednych to Polacy, dla innych Żydzi, Murzyni, etc.) nie jest wynikiem ,,cech wrodzonych'', bo te same jednostki w innych warunkach, zapewniających im pełną godność ludzką, zachowywałyby się zupełnie inaczej. Nie może jednak pozbyć się nieszczęsnego obciążenia i zakłada istnienie jakichś ,,Untermenschen'', a więc tkwi wciąż w świecie totalitarnym który nie obywa się bez takich czy innych (za każdym razem inaczej nazywanych) ,,podludzi''.

Prawie wszystkie listy są zgodne w podkreślaniu praw niemieckich do terytoriów Odry-Nysy i do Prus Wschodnich. Autorzy zakładają jako pewnik, że Polacy, przesiedleni zza Bugu, bardzo tęsknią do powrotu w swoje okolice rodzinne, równie tęsknią jak Niemcy zrzeszeni w swoje Związki Pomorzan i Związki Ślązaków. Autorzy ze współczuciem odnoszą się do tej ekspatriacji i wyrażają nadzieję, że Polacy wrócą do siebie za Bug, a Niemcy za Odrę i Nysę. Zdziwiliby się, gdyby im powiedzieć, że podobne tęsknoty są u Polaków znacznie słabsze niż u Niemców. Być może Polacy odznaczają się większą zdolnością adaptacji czy improwizacji. Poza tym wielomilionowa polska ludność na wschodzie żyła przemieszana z innymi narodowościami. Granice polskości na wschodzie były płynne. Już traktat ryski 1921 r. dał w wyniku masowy exodus Polaków na zachód znad Dniepru czy Berezyny. Niemcy nie wiedzą też o dość silnym wpływie tradycji federacyjnej czy unijnej na Polaków — choć błędem byłoby tę tradycję idealizować, bo często służyła ona za przykrywkę klasowym apetytom, jednak istniała. Na dnie przekonania o ,,idealnym'' wyjściu jakim ma być wędrówka Niemców na wschód i Polaków na wschód, kryje się obraz pustki którą trzeba zapełnić, pustki zamieszkałej na wschodzie

przez „natives”. Ale co jeżeli się uznaje, że te terytoria są zamieszkałe nie przez „natives” ale przez zwyczajnych ludzi, ani lepszych ani gorszych od innych i że Białorusini czy Ukraińcy mają też tutaj coś do powiedzenia, równie jak Polacy?

Listy nie mogą dawać podstaw do zupełnego pesymizmu. Zważmy są one całkowicie szczere i że widać w nich znaczny wysiłek wczucia się w obcą mentalność. Nikt nie kazał przecież tym ich autorom, którzy byli w Polsce w 1939-45, podkreślać, że na szczęście znaleźli się tam jako żołnierze a nie członkowie administracji cywilnej, że „ze ściśniętym sercem mijali mury ghetta”, albo opisywać (w obronie honoru Wehrmachtu) tarcia pomiędzy władzami cywilnymi i wojskiem. Jeżeli dzisiaj, zwłaszcza we Francji, mówi się wiele o neo-nazizmie, to warto chyba pamiętać również o pracy wielu Niemców dobrej woli — dziennikarzy, nauczycieli, pisarzy — którym ośmiomilionowa rzesza uciekinierów ze wschodu nie ułatwia zadania. Ileż to tysięcy starych kobiet pamięta o brutalnym Polaku, który je popchnął — a tamto — wielka zbrodnia nazizmu pozostaje niemożliwa do przyswojenia, bo jest abstrakcyjna, bo popełniona wobec ludzi egzotycznych, których przeszłości i kultury — jak pisze jeden z autorów — nie mogli poznać, gdyż byli w Polsce żołnierzami okupującej armii i pomiędzy nimi a ludnością istniała nieprzekraczalna przegroda.

Jak odpisać na te listy? Temu choremu w szpitalu, który pisze, że męczą go różne pytania, na które nigdzie nie może znaleźć odpowiedzi. Temu pastorowi, który chce wiedzieć jak układało się współżycie Polaków z mniejszościami. Tej dziewczynie z jej „Untermenschen”. Czy istnieje książka w języku niemieckim, która by była relacją w rodzaju *Culture and life in Poland* Lednickiego, ale zawierała również informacje (prawdziwe, nie propagandowe) o mnóstwie zagadnień współczesnych? O istnieniu takiej książki nie wiem.

ŁADNE KPINY

O książce Witolda Gombrowicza *) pisać recenzji nie powinienem, bo uważam że lepiej jest nie mówić o niej nic, niż za mało. Sądzę, że najbezpieczniej dla czytelnika będzie jeżeli potraktuje ją jako „zabawne dziwactwa”, w najlepszym razie jako satyrę (do którego to określenia „Ślub” niestety już nie przylega). Dzieje Hamleta, królewicza duńskiego, dostarczyły przecież pewnych przyjemności również tym widzom i czytelnikom, którzy treść dramatu łowili tylko od strony wątku czy akcji. W istocie sens książki Gombrowicza jest przerażający. Dwa rodzaje osobistości byłyby powołane do dyskusji o tej książce, ze względu na swoje umysłowe uzbrojenie: teolog ka-

---

*) Witold Gombrowicz *Transatlantyk* i *Ślub*, Instytut Literacki, Biblioteka „Kultury”, T. I, Paryż, 1953.

tolicki i filozof-marksista. Pierwszy natknąłby się w niej na bolesny dla niego problem ulatniania się, wyparowywania s u b s t a n c j i w dwudziestym wieku. Jeżeli nie ma Natury Ludzkiej, jeżeli człowiek istnieje tylko dzięki temu, że odbija się jak w lustrze w innych ludziach (patrz rozpaczliwy monolog bohatera ,,Ślubu'' kiedy jest sam) — gdzież ostoja? Filozof-marksista miałby chwilę triumfu, bo teza Gombrowicza o ludziach kształtowanych przez ludzi zdaje się być innym językiem wyrażoną tezą marksistowską, która neguje pojęcie Człowieka, zastępując je pojęciem człowieka w takiej a takiej chwili, grupie, klasie, ustroju. Ten triumf byłby jednak bardzo zawodny, bo autor podrywa powagę władzy i siły, dokonując bolesnej operacji na wzajemnie się ,,pompującej'' hierarchii politycznej. Dla ludzi w Polsce, zwłaszcza dla klanów ideologiczno-literackich, równa się to obudzeniu podejrzeń że cały czas się ,,pompują'' wielkością i realizmem, że przebywają w atmosferze gorączkowego snu, determinując przez swoje zachowanie się gesty i słowa innych, a z kolei sami dostrajają się do tych, wywołanych przez siebie, gestów i słów. Ich dzieła literackie swoje istnienie zawdzięczają zbiorowemu rytuałowi w większym zdaje się o wiele stopniu niż działo się to w jakiejkolwiek epoce minionej. Spostrzegam, że wbrew zamierzeniu, piszę recenzję. Aby więc przerwać, ograniczam się do kilku punktów.

1. Książka należy do okresu który odkrył, że człowiek może zrobić wszystko z człowiekiem. Kiedy ktoś bije kogoś po twarzy, rzecz się na tym nie kończy, bo bijący staje się coraz bardziej bijącym, a bity staje się coraz bardziej bitym — to znaczy bijący rośnie, potwierdza się w biciu, ponieważ bity staje się coraz nikczemniejszy, coraz żałośniejszy, coraz bardziej z a s ł u g u j ą c y na ciosy. Kto zdobywa pełną władzę, zdobywa jej usprawiedliwienie — bo głosił że przeciwnik jego jest nikczemny a sprowadzając go do stanu nikczemności, udowadnia co głosił. Pozostaje zastanowić się jakie są warunki p e ł n e j władzy, to znaczy takiej, przy której żaden bunt nie jest już możliwy. Nawiasem : w przypowieści o panu i niewolniku Hegel zapewniał, że niewolnik wzmacnia się dzięki trudnym warunkom życia a pan niewieścieje, rozkłada się, mięknie i niewolnik wreszcie bierze go za gardło. Co oznacza ta częsta dziś tendencja do podkreślania miękkości człowieka wobec innego człowieka, który go modeluje jak glinę?

2. Należy zapytać, jeżeli książka jest rewoltą przeciwko poniżeniu człowieka, gdzie szukać nadziei, za jaką bramą przebywa owa autentyczność, do której tęskni autor. Przypomnijmy stary grecki argument : jeżeli powiadasz, że wszyscy Kreteńczycy kłamią i to jest prawdą, to i ty, ponieważ jesteś Kreteńczykiem, kłamiesz, a więc to co powiedziałeś nie jest prawdą. Wyrażając to inaczej : jeżeli wszystko jest wytworem międzyludzkim, jeżeli każde zdanie, każda postawa, każdy gest są odpowiedzią na zdania, gesty, postawy innych ludzi, to teza Gombrowicza o ,,kościele międzyludzkim'' też jest odpowiedzią, też

jest sprowokowana przez szczególną sytuację autora. Na to autor może odpowiedzieć, że właśnie dzięki zrozumieniu jak sprawy naprawdę stoją, osiąga się zwycięstwo i wywalcza się sobie wolność. Tak, ale co w człowieku każe mu sięgać po tę świadomość do kwadratu, po wolność, po prawdę, czy jak to nazwać? Czy nie dochodzimy tutaj znów do substancji, do Ludzkiej Natury („Jestem dumny, że jestem ssakiem!" wykrzyknął pewien znany biolog-materialista angielski).

3. „Transatlantyk" odnawia polską prozę, wskrzeszając język diariuszów Polski przedrozbiorowej. „Ślub" natomiast jest utworem poetyckim. Mimo wielu usiłowań w ciągu ostatnich dziesiątków lat, nikomu nie udało się dotychczas napisać po polsku wartościowej sztuki wierszem, bo wiersz w sztuce musi być naturalny, a nie „poetyczny". Natomiast sposób użycia wiersza (bo to jest wiersz) przez Gombrowicza wskazuje, że jego rozczytywanie się w Szekspirze nie było powierzchowne. Jeżeli taki ma być skutek ataków Gombrowicza na poezję, to każdy z jego atakami się zgodzi. Można ubolewać, że to znakomite rzemiosło nie posłużyło do napisania utworu o mniejszej jadowitości traktowanych problemów (np. coś o budowie elektrowni) i o bardziej realistycznej scenerii (tu mówię poważnie), ale rozpęd do rzetelnej literackiej pracy dają zawsze nie te motywy, które przez otoczenie są dobrze widziane.

Czesław MIŁOSZ

Uwagi o poezji

Tyle zmian zaszło i nie przestaje zachodzić w coraz większym, otaczającym nas świecie. Wiersze, książki pisane wierszem zmalały wobec ogromnych wydarzeń, wobec zbiorowych wysiłków i namiętności, w których bierzemy udział. Każda audycja radiowa przywiązuje nas do historii. Każdy strajk, proces polityczny, katastrofa czy odkrycie, wstrząsają nami, każąc myśleć i czuć. Ale w jazgocie dnia poeci, jak przed wiekami, chcą aby słuchano ich głosu. Jesteśmy świadkami ciekawych zmian, zachodzących w kondycji poety. Stracił wielką część swego, kapłańskiego prestiżu, pracuje w biurze, w szkolnictwie, w redakcjach lub zajmuje się handlem, a oprócz tego pisze wiersze. Nie jest już wybrańcem, nad głową którego nieustannie krążą anioły, a stał się rzemieślnikiem słowa. Zamiast odkręcać kurek, z którego poleje się poezja, ślęczy jak drukarz nad mnóstwem znaków i w żmudnej radości układa wiersz. Na ogół na całym świecie można zauważyć, że ilość osób zainteresowanych poezją nie wzrosła proporcjonalnie wraz z upowszechnieniem książki. Pozostaje nadal jedynie garść intelektualistów, którzy są stałymi odbiorcami poezji. Dotyczy to przede wszystkim krajów Europy Zachodniej i Ameryki Płn.

W Polsce sytuacja przedstawia się inaczej. Z wielu przyczyn, historyczno-politycznych przede wszystkim, poezja w naszym społeczeństwie cieszy się wielkim uznaniem. Wszyscy ją lubią i rozumieją, gdyż jest to poezja stara, której symbole, odkrycia, rytmy i sposób widzenia rzeczy zostały przyswojone i przeszły od dawna na własność ,,maluczkich''. Wincenty Pol, Teofil Lenartowicz, Maria Konopnicka, żeby nie iść dalej, naśladowcy swych wielkich poprzedników, korzystają z szacunku i sympatii, na które zasłużyli tamci.

O wiele gorszy jest los poetów nie piszących ,,po linii'' tzw. tradycji narodowej ; w tym wypadku chodzi nie tyle o narodową treść, ile o uświęconą wiekami poetykę. Stosunek przeciętnego czytelnika, stosunek ogółu jest niechętny, a nawet iro-

nicznie wrogi. Norwid cudem uniknął zapomnienia. Leśmian, nieznany ogółowi, nawet u przysłowiowych dziesięciu tysięcy inteligentów miał opinię kogoś, kto odbiegał od ,,normy''. Inność jego poezji próbowano nawet utożsamiać... z niepolskością !

Nie więcej szczęścia mieli poeci Awangardy, chcący wprowadzić nowe formy. Proponowali czytelnikom wiersze o innej, bardziej zwartej konstrukcji wzruszenia, utwory, przy czytaniu których wysiłek myślowy nagradzany był radością odkrywania. Ogół wolał jednak poezję Skamandra. Sprawy potoczyłyby się może inaczej, gdyby skamandryci nie mieli w swym gronie Tuwima, którego talent dominował w poezji naszego dwudziestolecia. Oprócz tego fakt ,,okupowania'' stolicy zapewniał skamandrytom wiele korzyści. Trzymali się razem, okręceni złotym sznurem ,,Wiadomości Literackich'' i, co tu dużo mówić, chcąc nie chcąc, byli poetami oficjalnymi.

Rzecz zastanawiająca, iż pomimo pozornej klęski Awangardy, młode pokolenie poetów powojennych zwróciło się właśnie w tę stronę, unikając słowolejstwa. Nie było też rzeczą przypadku, iż dwa najpoważniejsze tomy wierszy jakie ukazały się tuż po wojnie były to właśnie wiersze zebrane Miłosza i Przybosia. ,,Twórczość'' drukowała awangardowe wiersze Jachimowicza, Różewicz dał się poznać jako spadkobierca zwartego zdania i obrazu Awangardy ; podobnie próbowali swych sił młodzi poeci warszawscy. Ukazywały się dziesiątki tomików. Gromady nowych, po raz pierwszy drukujących poetów wstępowały do młodej, piszącej się literatury.

Również na emigracji poeci ogłaszali wiersze, ale w większości wypadków byli to pisarze starszego pokolenia. A jeśli pojawiały się nowe talenty, emigracyjność życia, rozproszenie po krajach Europy (i nie tylko Europy) nie pozwalało na jakąkolwiek dyskusję, na zawiązanie się życia artystycznego.

I w czasie, kiedy poeci w Kraju toczyli spór po sporze o to co pisać i jak wyrażać — poeci emigracji deklarowali... że nigdy, za żadną cenę nie ogłoszą niczego w Kraju. Zajmowali się postawą moralno-polityczną poety a cierpiała na tym poezja. Mówiąc inaczej, poeci emigracyjni, przez nikogo nie zmuszeni, dobrowolnie podporządkowali formę i jakość wiersza aktualnej tematyce i znaleźli się w takiej sytuacji, w jaką udało się reżimowi warszawskiemu zapędzić poetów krajowych po ośmiu latach, przy użyciu dwu wymownych środków, wysokich honorariów i terroru.

Ale i w kraju poeci nie długo cieszyli się bujnym życiem literackim. Po roku 50-ym resztki swobody zostały zniszczone. Najlepiej będzie, jeżeli oddamy głos redaktorowi ,,Twórczości'' Ważykowi : ,,Zwalczenie gomółkowszczyzny i rozbicie burżuazyjnego estetyzmu w poezji dało ten wynik, że zapanowały w niej właściwe idee, że powiało w niej socjalizmem''. ,,W istocie dominują idee budowy socjalizmu, proletariackiego

internacjonalizmu, walki o pokój przeciw zamysłom imperialistów amerykańskich" *).

Niestety ocena Ważyka pokrywa się z rzeczywistością. Od Różewicza po Gałczyńskiego, od Iwaszkiewicza po Tuwima, nie mówiąc już o masie polskich majakowszczyków, wszyscy zaczęli pisać w stylu i według ważykowych sloganów. Nastąpiło jak gdyby tragiczne wyrównanie poziomów dwu środowisk z lekką przewagą na rzecz poetów emigracji, którzy mogliby podjąć walkę o nowy kształt poezji, gdyby nie błogostan skamandryckiej muzyczki, w którym tkwią zadowoleni, gdyby nie brak zainteresowań tym co dzieje się w poezji innych narodów.

Przyjrzyjmy się teraz, choćby pobieżnie, nie tyle postępowi, bo trudno mówić w sztuce o postępie, ile bogactwu zmian, jakie zaszły i zachodzą we współczesnej poezji francuskiej. Wybraliśmy tę poezję a nie inną, ponieważ sztuka francuska jest awangardą awangard, i poeci tamtejsi, jak nigdzie indziej, roztrząsają świadomie problemy tworzenia.

Na początku współczesnej poezji europejskiej był Baudelaire **). O ile romantycy francuscy, z Wiktorem Hugo na czele, należą dziś już tylko do literatury, w tym ujemnym, pożółkłym znaczeniu tego słowa, o tyle sztuka Baudelaire'a nie przestaje zachwycać i uczyć coraz to nowych pokoleń poetów. „Ze dwojej złożony natury" dał początek *wizjonerskiej* linii Rimbauda, Jarry'ego, Apollinaire'a i nadrealistów — i spod tego samego, jak Barbakan sklepionego czoła, wywodzą się *poeci-artyści :* Mallarmé i Valéry.

Pierwsi, z Rimbaudem na czele, rzucali przed siebie poezję jak most, który pozwoliłby im zajść dalej niż zaszedł dotychczas człowiek. Chcieli rozwinąć w umyśle nowe zdolności, ustokrotnić wrażliwość, aby w ten sposób wejść w kontakt z prawdziwą rzeczywistością, od której oddaliła nas kultura. Próbowali mocą słowa odbudować utracony raj człowieczy ; tęsknota za Arkadią kazała im rzucać się na wiatraki rzeczywistości. W stuleciu pary i elektryczności usiłowali wieść żywot Robinsona, odkrywającego pierwszy i prawdziwy urok rzeczy. Dzisiaj nadrealiści, skupieni wokół Bretona, przedłużają linię poezji wizjonerskiej, ale to co u Rimbauda było życiem u nich jest tylko literaturą.

O ile wizjonerzy usiłowali wyrwać się poza marną, ludzką kondycję, rozwijając uśpione pod czołem siły, o tyle dla poetów-artystów słowo, tworzywo poetyckie, stało się przedmiotem kultu. W chaosie mowy szukali idealnego ładu, chcieli odkryć nie-

---

*) Adam Ważyk : „Uwagi o kryteriach poezji", Twórczość" nr 8, 1952.

**) Przy pisaniu niniejszego rozdziału autor korzystał z następujących opracowań literatury krytycznej : Marcel Raymond *De Baudelaire au Surréalisme*, Thierry Maulnier *Introduction à la Poésie Française* i Paul Valéry *Variété*, T. I, II.

znane prawa, którym poddana była ich twórczość i z poszukiwań tych wysnuć przepisy, które by im zapewniły nieomylność tworzenia. Wierzyli, iż uda im się stworzyć Książkę, Dzieło, godne Boskiego Stworzenia. Sięgając wysoko, stworzyli istną wiedzę doświadczalną o wartości słów, o ich ładunku wzruszeniowym, o ich wzajemnych stosunkach. Chcieli w ten sposób przywrócić dawne życie wyblakłym obrazom i dawną moc zaklinającą resztkom kapłańskich słów, scodzienniałych. Według nich język składa się z dwu rodzajów słów, *bezpośrednich* i *istotnych*. Pierwsze mają jedynie wartość komunikatywną i rola ich kończy się w chwili gdy idea, którą przenosiły, dotarła do świadomości naszego rozmówcy. Drugie posiadają moc wzruszania ; wstrząsają naszymi czuciami, oddalając natarczywie cisnące się skojarzenia. Valéry pisze : ,,Mówię : kwiat, a już zza brzegów pamięci... podnosi się muzycznie sama idea, słodka, wyzbyta wszelkich bukietów".

Mallarmé i Valéry nie objawili niczego spoza brzegów człowieczeństwa. Pozostawili po sobie poezję, często hermetyczną, będącą szyfrem intymnych doznań. Doszli do granic możliwości słownego tworzywa. Jest rzeczą pewną, że z biegiem czasu granice te ulegają przesunięciu, nie mniej poezja każdej epoki posiada swoje minimum czytelności — poniżej którego wiersz jest czeredą znaków, wołających każdy swoim głosem. Tutaj dotykamy sprawy hermetyzmu w poezji. Zamiast wyliczać wszystkie za i przeciw, powiedzmy jedno : hermetyczny wiersz utalentowanego poety jest sztuką i podoba się pomimo swego ,,dziwnego" sensu. Utwór zbudowany, jak mówili poeci Awangardy, ze ,,zdań rozkwitających", napięty wewnętrznym rytmem, może zawierać treść nieracjonalną — taką jest bowiem prawdziwa poezja, zastępująca nową, dziewiczą więzią dawne, ,,ustalone" stosunki pomiędzy rzeczami.

Osobne miejsce pomiędzy dwoma powyżej naszkicowanymi kierunkami zajmuje René Char, spadkobierca Lautréamonta, który już osiemdziesiąt lat temu widział poezję przyszłości jako ,,chłodne maksymy". I poematy Chara mają jędrność maksym, dalekie są jednak od chłodu. Męski, patetyczny liryzm cechuje tę poezję oczu szeroko otwartych, poezję serdecznego uścisku ręki. Posłuchajmy. ,,Zapadała noc. Garnęliśmy się w gromadę pod wielkim dębem łez. Świerszcz zaśpiewał. Skąd wiedział, samotny, że nie umrze ziemia, i że my, synowie pozbawieni światła, przemówimy wkrótce?" (Seuls demeurent). Czyż można było lepiej oddać noc okupacji hitlerowskiej? Charowi, jak rzadko któremu z poetów, udaje się pogodzić w wierszu dwa przeciwstawne elementy tworzenia : natchnienie i rzemiosło, wzruszenie i refleksję.

Prymat natchnienia dał w wyniku ,,styl automatyczny" nadrealistów. Wszystko co ściekało z ich piór miało być poezją. Zresztą już romantycy grzeszyli brakiem wyboru. A sztuka jest właśnie wyborem ! Jest nieustannym mierzeniem i celnością ! Prymat rzemiosła doprowadził do kataryniarstwa.

Obok Chara wymieńmy Francis Ponge'a, poetę, który stara się pojąć (w dwojakim znaczeniu tego słowa) coraz to nowe przedmioty. I tak powstają utwory, pisane prozą poetycką, z których każdy odkrywa i przywraca nam pierwsze, ,,barbarzyńskie'' widzenie i pojmowanie świata.

Niestety nikłe są u nas wpływy *tej* poezji francuskiej. Trudno było dotychczas o dobrych tłumaczy, łączących w jednej osobie celność filologa i dar poety, który potrafiłby oddać równowartość przenoszonego w inną mowę tekstu. Przekładano więc poezję łatwiejszą, przede wszystkim Verlaine'a, najbardziej ,,polskiego'' spośród poetów francuskich. Z drugiej strony Polacy znający francuski rzadko kiedy znali go na tyle, aby móc korzystać z awangardowej poezji francuskiej.

Jeżeli piszemy o wpływach nie chodzi nam oczywiście o przejmowanie, jak to czyniono dotychczas, pewnych formuł czy chwytów, np. à la Eluard. Chodzi o próby stworzenia własnego sposobu wyrażania, różnego od poetyki poprzednich pokoleń. Trzeba zaatakować czytelnika poezją podaną inaczej, aby w ten sposób odświeżyć jego percepcję. U poetów francuskich należy szukać nie gotowego stylu, ale raczej brać przykład z ich nieustających poszukiwań.

A teraz przyjrzyjmy się współczesnej poezji polskiej, i spośród wielu tomów postarajmy się wydobyć wartości, które by można było nazwać nie tylko poezją ale i sztuką. Może w powodzi gładkich zwrotek, nuconych na swojską nutę, były i utwory wzbogacające tzw. spuściznę wieków, ukazujące nowy, indywidualny styl, będący jedynym sprawdzianem wartości artystycznej dzieła? Naszym zdaniem w obecnym stuleciu jedynie poezja Leśmiana, Tuwima i Awangardy (Przybosia i Miłosza) wznosi się na wysokość sztuki.

Leśmian stworzył nowy i pozostający wyłączną jego własnością styl. Odkrywcze słowotwórstwo, bogactwo szukanych i znalezionych rytmów, dających wierszowi moc zaklinającą, a przede wszystkim niepospolity talent, złożyły się na to niezwykłe wydarzenie jakim jest poezja Leśmiana. Do świata wyobraźni, z którego bogactw korzystali pospołu wszyscy poeci polscy, od Kochanowskiego począwszy, a na Staffie i skamandrytach kończąc, do świata tego przyłączył nowe ziemie, pokryte ciżbą podzwrotnikowych zieloności. Styl autora ,,Łąki'' odcina się tak wyraźnie od pozostałej twórczości poetów polskich, że nie ma mowy o tym, aby któryś z młodych mógł skorzystać z okruchów spadających z warsztatu wielkiego poety. ,,Leśmianizm'' w skamandryckiej strofie odbija i razi jak skrzydlata orchidea wetknięta między stokrótki.

W bogatej twórczości Tuwima rozróżnimy wiersze będące odkryciami i inne, ,,tuwimowskie'', pisane pod swój własny styl, a będące nierzadko gładkim uwierszowieniem jakiegoś lirycznego ,,och!'' Tuwim słowotworzył na pewno nie mniej od Leśmiana, jednak cele wysiłku obu poetów były krańcowo od-

mienne. Leśmianowi jego pasja słowotwórcza pomagała „uinniać" już i tak nietutejsze treści. Dla Tuwima język był celem w sobie. „Zieleń" oraz niektóre fragmenty „Kwiatów Polskich" są sztuką najwyższej próby. Spośród wierszy Tuwima te właśnie, napisane w imię radości władania mową, urzekają swym pięknem.

Poeci Awangardy byli pierwszymi Polakami w tym stuleciu, którzy pojęli poezję jako sztukę. Nie brakło i przedtem tego słowa w tekstach poetów młodopolskich, ale było ono wynikiem nieporozumienia. Pisano Sztuka, a myślano: Dusza, Absolut, Piękno, Dobro i Prawda...

Dzięki twórczości Przybosia, Miłosza i pomniejszych zaczęto u nas rozumieć, że wylewność uczuć była dobra w czasach ponurego Gustawa z IV-ej części „Dziadów", że łzy Młodej Polski wzruszały w latach 1890 — 1914, a teraz śmieszą swą konwencjonalnością. Poeci Awangardy odrzucili świadomie bogate i niezawodne chwyty, dzięki którym autor „bierze za gardło" lub „rozdziera serce". Zmniejszyli przez to krąg czytelników, przyzwyczajonych do tego rodzaju utartych wzruszeń. Dlatego twórczością Awangardy interesowali się jedynie ludzie oczekujący od sztuki polskiej odskoku od banału i łatwizny.

Pisząc o poezji współczesnej, nie można pominąć zagadnienia, które zaprząta dziś umysły wielu artystów. Jest to zagadnienie *współczesności* sztuki. Liczni poeci deklarują swą współczesność, uważając, że objawia się ona jedynie w aspekcie politycznym życia. Chcąc zajmować się sprawami „ludzi żyjących", zwężają swe zainteresowania do spraw politycznych. Powstała psychoza zaszczepiająca w artystach kompleks winy i strach przed nienadążeniem za tempem, w jakim politycy uszczęśliwiają świat. Obawy, aby nie wypaść poza burtę mknącego czasu są równie śmieszne jak pragnienie ucieczki w pozaczasowość, jak stwierdzenie na piśmie, że się jest z innej epoki niż obecna!

Artysta może pisać na każdy temat i zawsze będzie człowiekiem czasu, w którym żyje. Nawet w wypadku ucieczki od rzeczywistości tysiąc szczegółów zdradzi jego przynależność do epoki: język, forma, upodobania i podejście do rozmaitych, nawet urojonych zagadnień, wszystko to pozwoli nam bez wahania umiejscowić artystę w środowisku i historii. Fantastyczno-prasłowiańską „Balladynę", wzorowaną na szesnastowiecznym Szekspirze, z łatwością można umieścić w czasie, nawet nie znając Słowackiego. Romantyzm i 19-ty wiek obecne są w każdym słowie dramatu. Podobnie „Świat Poema Naiwne" jest utworem współczesnym i nikomu nie przyszło by na myśl, iż mógłby być napisany kiedyindziej niż obecnie.

Sądzimy, iż współczesność poezji winna przejawiać się raczej w unowocześnieniu wiersza, od strony formalnej, pozostawiając indywidualnej ocenie wybór tematów. I wystarczy, aby

poeta miał talent a da sobie radę z najmniej ,,poetyckim'' tematem. Bo sztukę tworzą jednostki obdarzone talentem. Z tysięcy sentymentalnych wierszopisów, po latach prób zostaje zaledwie kilkunastu, najlepszych. Ci, którzy mają coś do powiedzenia. Niech nikt nie powie, że pochwalamy prawo dżungli. O ile wszyscy muszą jeść i wszyscy powinni chodzić do szkoły — o tyle artystą trzeba się urodzić. W eliminacjach odpadają jednostki, dla których pisanie wierszy było modą, jeszcze jednym więcej bridgem czy inną kanastą, a pozostają ludzie, dla których twórczość jest z wewnątrz płynącą koniecznością.

Artysty nie można wyhodować, uwarunkować szkołą ni dyskusjami. I nie ma doktryny, która by mogła zagwarantować lub podnieść jego jakość. Zaczął tworzyć, gdyż zachwyciły go dzieła wielkich mistrzów. Marząc, aby im dorównać, zaczął ich naśladować, a dziś szuka własnej drogi. Twórca jest człowiekiem szczęśliwym, gdyż on jeden może przekroczyć dzień własnej śmierci. I zna tylko jedną odpowiedzialność — wobec samego siebie. Przez całe życie musi bowiem pracować nad swym talentem i dopiero kiedy zbuduje coś swego, indywidualnego, dopiero wtenczas ma prawo do wielkiego imienia artysty.

W stawaniu się poety wielką rolę odgrywa twórcza krytyka. Ta, która nie mając przed oczami żadnego, dogmatycznie skostniałego ideału, pomaga pisarzowi w szukaniu osobistego sposobu wyrażania. Zwraca uwagę na słabe strony, jak np. nawyki składniowe, przeładowanie obrazami strofy itp., lecz przede wszystkim wartościuje utwory rozwijającego się poety, umożliwiając mu spojrzenie zzewnątrz na swe osiągnięcia i błędy.

O tego rodzaju krytyce nie mogą, rzecz jasna, marzyć poeci piszący w Kraju. Kazano im zajmować się wszystkim innym tylko nie zagadnieniami sztuki. W każdym numerze ,,Nowej Kultury'' coraz to inny poeta, ustawiony twarzą na zachód, wypluwa wyznaczoną mu ilość haseł ,,antyimperialistycznych'', grozi Trumanowi, a na koniec w imieniu narodu polskiego dziękuje Zw. Radzieckiemu za słońce. I jeżeli potrafi urymować te błazeństwa partia zapewnia go o ,,sympatii mas pracujących'' a ,,Czytelnik'' zbiera w tomik owe rymowane wiadomości agencji Tass. A jeśli młody, świetnie płacony i hołubiony poeta miałby pomimo to jakieś wątpliwości, red. Ważyk uspokaja go w lot : ,,Poetyka wyrasta z ideologii i spełnia funkcje ideologiczne... Zwalczając błędną poetykę, dopomagamy poecie do pełniejszego rozbudowania swojej świadomości ideologicznej''. Dobrze, ale co mu pomoże rozbudować świadomość poety? Ideologia !

...,,i właśnie ta
kołowacizna mnie przestrasza,
mieszanie duchów z B.G.K.''...

Biada śmiałkom próbującym przemycić jakiś wiersz, napisany sobie a Muzom. Natychmiast spada na nich grad wyzwisk i pogróżek. Według oficjalnej krytyki wiersze ich zdradzają : ,,ciągoty burżuazyjnego estetyzmu'', ułatwiają ,,nacisk wroga'' itp. Podpadł Różewicz, którego pouczył Braun jak ma unikać ,,stylu szczurzo-beznadziejnej poezji angielskiego dekadenta'' (Eliota...) Podpadł ostatnio Ficowski, którego poezja to ,,stylizatorstwo'', ,,pozaczasowe obrazy walki klasowej na wsi'', ,,obrazy z makabrycznego kalejdoskopu inteligenta''.

Można by cytować stronicami wyjątki z ważykowego artykułu, tyle w nim mimowolnego humoru i karzełkowatego tupania nogą. Za to zgadzamy się z redaktorem ,,Nowej Kultury'', gdy pisze : ,,Wiele utworów cechuje niewysoki poziom artystyczny''... To co pisze Ważyk jest bilansem klęski. Dotychczas reżim warszawski nie posiada swoich poetów, którzy pisaliby dobre wiersze na tematy wskazane przez partię. Od czasu do czasu Tuwim czy Gałczyński dają lekcję pokazową, udowadniając, że prawdziwy artysta potrafi na każdy temat pisać wiersze na poziomie. Ale młodzi są w sytuacji godnej pożałowania. Krytyka podrzuca im coraz to nowe tematy. Na zebraniach Związku Literatów Polskich zaproszeni hutnicy lub robotnicy przetwórni rybnej wyrażają swoje zdanie o wierszu przedstawiającym ich pracę. Czujna krytyka i ,,lud'' zajmują się, jak widzimy, jedynie tym co pisać. Nikt zaś nie zajmuje się tym jak pisać, nic też dziwnego, że młodzi piszą byle jak, tzn. źle.

Kończymy niniejsze uwagi, mając nadzieję, że nie przejdą bez echa. Wierzymy, że obudzą liczne i żywe reakcje u poetów tworzących w innych środowiskach, mających inne niż my doświadczenie. Dyskutując, brońmy prawa do sztuki żywej i niepodległej. Tam gdzie sztukę upaństwowiono, odbierając artyście swobodę twórczą, miejsce utworów dobrych czy złych, ale autentycznych, zajmuje tępa, smutna miernota.

Marian PANKOWSKI

O budowie obrazu

W sztuce tylko jedna rzecz ma znaczenie : to czego nie można wytłumaczyć.

G. BRAQUE

Tak samo jak w miłości — dodaje znakomity filozof polski. Więc po co pisać o sztuce ? Jedno jest pewne : nie po to, by zrobić ze słów ekwiwalent opisywanego dzieła sztuki. A to właśnie robi się najczęściej, i niestety nie tylko w tzw. „krytyce artystycznej", ale — co gorsza — w filozofii sztuki. Trzeba pogodzić się z tym, że wszystkiego się nie wytłumaczy, że zawsze pozostanie coś, co jest niesprowadzalne nie tylko do słów i nie tylko do wzruszeń, ale nawet do myśli. Nie ma jednak powodu składać broń. Dwa zadania pozostają mimo wszystko: rozproszyć nieporozumienia, które naturalną samotność artysty zamieniają w samotność nieludzką — i ograniczyć pole niewytłumaczalnego. Jeżeli zrobimy te dwie rzeczy, przywrócimy solidarność widza z artystą i ustawimy się w szeregu, który idzie ku jednemu celowi. Ten cel jest nieosiągalny; życie i świat polegają zapewne na tym, by do tego celu zmierzać a nie dochodzić — ale ileż będzie osiągnięte, jeżeli publiczność i artysta przestaną przypominać rzesze ludzkie pod wieżą Babel w chwili, gdy uderzył w nią gniew Boży, a zaczną przypominać wiernych, słuchających mszy w katedrze !

Estetyka romantyczna, którą wykłada w swojej Psychologii Sztuki Malraux, wyciąga zarówno z samotności artysty jak i z niewytłumaczalności sztuki fałszywy wniosek. Jeżeli mówię fałszywy, to chcę przez to powiedzieć, że jest to wniosek niewspółczesny. W gruncie rzeczy Malraux nie godzi się z niewytłumaczalnością sztuki. Skoro w sztuce jest tajemnica — ktoś ją p o s i a d a i rozumie. Malraux chce, by tym kimś był artysta. Czuje, że tajemnica ta jest siłą, która może przemienić życie i świat. W i d z i, że je przemienia, ale niecierpliwi się, że ich nie przemienia w artyście, tylko w jego dziele. Michał Anioł

jest Michałem Aniołem tylko w swoich pracach, w rzeczywistości pozostaje panem Buonarotti. Tajemnica sztuki była ideałem, trzeba, by stała się rzeczywistością. Gdy ,,wyzwolony'' został absolut malarski, tj. gdy forma wzięła ostatecznie górę nad treścią, zaczęła świtać nadzieja. Dziś wszyscy wiedzą, żę sztuka jest formą. Jutro ta forma przestanie być tajemnicą, a stanie się zasadą organizacyjną cywilizacji. I wtedy skończy się sztuka, a zacznie się życie *w posiadaniu tajemnicy*. To jest sens ,,Głosów Ciszy'' i to jest nonsens estetyki romantycznej w dwudziestym wieku.

Nonsens polega na tym, że Malraux kopie dalej już i tak dość głęboką przepaść między artystą a publicznością. Artysta tworzy sztukę, a *razem z nią* jej tajemnicę. Musi wiedzieć co robi ! Malraux nie chce być ofiarą artysty : nóżki na stół ! Bezradności artysty wobec tajemnicy, którą przez swą sztukę *odkrywa* — Malraux nie przyjmuje do wiadomości. Jest to dla niego poza : dawniej poza ta była usprawiedliwiona, bo w swej istocie sztuka stanowiła zaprzeczenie kultury, w której wyrastała. Tę kulturę kolektywną artysta podminowywał na rzecz ,,przyszłej'' kultury : właśnie indywidualnej. Dziś jego poza jest fałszywą skromnością i skandalem. Artysta musi ją porzucić. Powinien zdjąć ze swych ramion płaszcz tajemniczości i wystąpić przed światem z podniesioną przyłbicą, bo kultura indywidualna wyszła z podziemi i staje się kulturą panującą. Niech artysta pokaże co ma w ręku ! Artysta otwiera ręce : są puste. Ten widok Malraux nie przeraża. Artysta wydał tajemnicę, gdy historia zrobiła z niej zasadę cywilizacji. Nic za tym nie przemawia, ale Malraux uśmiecha się : zobaczycie, gdy wstanie dzień, gdy skończy się koszmar nocy, która przesłania kształty rzeczy, ujrzymy się w nowym świecie, w świecie cywilizacji uniwersalnej.

Oczywiście, Malraux jest wzruszający, ale jest zarazem oburzający. Czapski dziwi się, że Malraux używa terminologii religijnej i chciałby go nawrócić na katolicyzm. Malraux *rozdziera* religię — żąda, by Bóg zasiadł na tronie *widzialny*. Sztuka jest w ręku Malraux młotem do rozbijania katedr — wszystkich katedr. Komunia w obliczu Tajemnicy jest dla niego szarlatanerią ; pragnie komunii rzeczywistej, *w posiadaniu Tajemnicy*, która wtedy przestanie być tajemnicą. Nie spostrzega się jednak, że gdy druzgocze katedrę, pęka mu w ręku młot. Malraux jest fałszywym prorokiem. Jego książka jest najrozpaczliwszym dotąd aktem nihilizmu europejskiego. Kto zachował jasną głowę, musi Malraux wziąć za rękę i poczuć puls. W chwili, gdy zamykają się wrota technokratycznego więzienia, ten szaleniec woła : nie bójcie się, to przedświt ! To przedświt, po którym nie nastąpi żaden dzień — oto prawda, której Malraux się domyśla. Ale ta prawda go łamie. Jego książka jest krzykiem tonącego.

Całą sprawę trzeba przemyśleć na nowo, bez nerwów. Nie bójmy się tragedii. Świat nie musi być przytulny. Życie robi z nas

inwalidów, ale jest w nas coś, co na tej ruinie rośnie. Po to jesteśmy na świecie, w którym wszystko wciąż się kończy, opada, marnieje — nie by ten proces zatrzymać, nie by zwyciężać śmierć (ratuj się, kto może) — ale by świat razem ze śmiercią zamienić w materiał budowlany budowli trwałej. Palec śmierci kładzie się także na dziełach sztuki. Ten triumf nad śmiercią jest w najlępszym razie pyrrusowym zwycięstwem. Wielkość nie jest w pysze. Nikt nie jest bardziej niewolnikiem niż człowiek pyszny. I cokolwiekby myślał Malraux, sztuka wszystkich czasów nie przemawia do nas językiem pychy — nawet sztuka, która ,,wyzwoliła'' absolut malarski. Artysta nie jest najbardziej uprzywilejowanym człowiekiem — jakże Malraux, plebejusz tragiczny, tego przywileju mu zazdrości ! — artysta jest człowiekiem, obciążonym największą odpowiedzialnością. W tym jest jego przywilej — nie w pustym triumfie nad ,,gwiazdami, które człowieka negują''. Nie oddamy artyście i jego dziełu sprawiedliwości zazdroszcząc mu, ale oddamy ją współczując mu, współczując z nim.

Jest coś szatańskiego w tym podkreślaniu przez Malraux samotności artysty i w tym wyszydzaniu niewytłumaczalności sztuki. W jego oczach, artysta nie odkrywa tajemnicy (a odkrywać tajemnicę, to stwierdzać, że jest i że jest tajemnicą), tylko ,,zwycięża los''. Ta forma solidarności z artystą jest formą zdrady. Artyście trzeba wierzyć, trzeba go wziąć na serio, nie wolno go dowolnie interpretować. Artysta odkrywa to co najważniejsze, zamyka je w swojej sztuce, ale nie bierze go w posiadanie. Dzieło sztuki jest sposobem pokazania tajemnicy, nie jest wytłumaczeniem. Taki jest sens aforyzmu Braque'a, który stanowi motto tych uwag. Twórczość jest d r o g ą artysty — póki żyje, będzie tą drogą szedł kładąc ją przed sobą metr za metrem, odkrywając krok za krokiem. Wszyscy robimy to samo, jeśli nie jesteśmy głusi na nasze powołanie. Gdyby sztuka była zwycięstwem nad losem — a nie losem, jak świat i życie — artysta mógłby poprzestać na jednym dziele, a pierwsze tchnienie człowieka mogłoby być ostatnim. Ale artysta dodaje dzieło do dzieła, sztuka dodaje styl do stylu i w każdym dziele, w każdym stylu jest to odwracanie głowy od ziemi ku niebu, od rzeczywistości ku ideałowi, od prawd posiadanych ku tajemnicy, ten wieczny wysiłek, który jest przekleństwem i szczęściem równocześnie. Malraux chce, by ten wysiłek był trudem syzyfowym, ale chce równocześnie, by Syzyf się zbuntował. Lucyfer uśmiecha się melancholijnie : zna tę pokusę.

◆

Eestetyka romantyczna była narzędziem romantyzmu i zużyła się. Malraux ma rację, gdy niecierpliwi się psychologizmem, który do estetyki wprowadził pozytywizm. Ale ten psychologizm jest konsekwencją romantyzmu, jego formą minimalistyczną. To jednak nie powód, by wracać do pierwotnego maksyma-

lizmu. Romantyzm był źle maskowanym biologizmem, pozytywizm — biologizmem bez maski. Nie wystarczy zrywać z psychologizmem, trzeba zerwać z biologizmem. Świat nie jest zbiorem rzeczy, myśl nie jest reprodukcją ich struktury. Biologowie szukają związku między materią a życiem. Chcą, by życie brało swój początek w materii. Laboratorium ma usprawiedliwić ich nienawiść do metafizyki. Nie będą poszukiwali Boga — poszukują Pierwszej Komórki. Nie mogła powstać na ziemi? — więc musiała na ziemię spaść! Przeklęta transcendencja! Znów patrzymy w niebo, ale jesteśmy uparci : szukamy na nim m a t e r i i. Wszystko, tylko nie poddać się. Żadna siła nie odwróci nas ku wnętrzu : w i e m y, że jest puste. Zapewne, coś się tam dzieje, dusza coś mówi, ale jest miejscem, w którym przecinają się czas i przestrzeń — jest ich produktem, niczym więcej. To trzeba w y k a z a ć — całe nasze przedsięwzięcie od tego zależy. Jeżeli tu poniesiemy klęskę — katedra powstanie jak Feniks z popiołu.

Malraux jeszcze boi się tego Feniksa. Przyszłość należy do tych, którzy pokonali ten lęk. W tym miejscu zaczyna się rola fenomenologii. ,,Zastępując metafizyka psychologiem, filozofia postąpiła roztropnie''. Co za moment! Maszyna stanęła, filozof wysiada i zagląda do motoru. Motor zepsuł się w samą porę : jazda nie miała sensu, droga prowadzi nad krawędź przepaści. Udawajmy, że to wina motoru, a nie kierunku jazdy. Schowajmy głowę w masce motoru; gdy ją znów podniesiemy — zobaczycie! — przepaść okaże się fata morganą. Pojedziemy dalej nie zmieniając kierunku! Pochylonego nad maszyną strusia klepie ktoś po ramieniu : fenomenolog. Nie każe zamykać maski, tylko radzi przyjrzeć się motorowi uważniej. Motor stanął, bo przepaść nie jest fata morganą. Filozof chciał pod maską p r z e t r w a ć, przeczekać aż przejdzie kielich goryczy, ukryć swój wstyd, nie widzieć szatańskiego figla, jaki sobie wypłatał obierając t e n kierunek jazdy. Filozof oddaje fenomenologowi kierownicę. Motor działa. Rzecz w tym, by na wąskiej ścieżce wykręcić.

,,Właśnie w psychologizmie, tak na pozór dbałym o pozytywność, Husserl wykaże znieprawienie autentycznego sensu filozofii'' — pisze Jean Beaufret. ,,Czyż tekstem fundamentalnym nie jest od czasów Kartezjusza sam człowiek, jego doświadczenia, wspomnienia, przedsięwzięcia, osiągnięcia, a więc coś, co może przeniknąć tylko psychologia, dostatecznie czujna dla przeżyć, by kartezjuszowemu ,,Cogito'' przywrócić jego bogactwo, pluralizm, odcienie, wieloznaczność, które sam Kartezjusz — wciąż jeszcze za bardzo metafizyk — w gruncie rzeczy zaniedbywał?... Kartezjusz słusznie skupił filozofię na świadomym podmiocie, ale nie zauważył jego charakteru zasadniczo t r a n s - p s y c h i c z n e g o. W ten sposób umożliwił błędy psychologizmu, który świadomość mającą swój sens zaświatowy, poza-psychiczny czy, jak powie Husserl — t r a n s c e n d e n t a l n y — w swej naiwności sprowadza do w ś r ó d-

ś w i a d o m o ś c i a p a r a t u p s y c h i c z n e g o. Zmienność tego aparatu, zależnie od indywiduum czy zbiorowości, sprawia, że ulega on fluktuacjom i zboczeniom, które nie tylko mogą interesować psychologa, ale wymagają opieki psychiatry... Życie powszednie jest naiwne. Konstrukcje nauki są tylko „naiwnościami wyższego rzędu". Naiwna jest wszelka myśl, która zmierzając wprost ku rzeczom uważanym za obecne, ukrywa w implikacji i domyślności misterium obecności, które już się dokonało, skoro r z e c z i s t n i e j e. Ujawnić i uświadomić wreszcie tę stałą domyślność, w której żyjemy nie myśląc o niej, ale która jedna otwiera nam dostęp do rzeczy w tej formie, w jakiej naprawdę się objawiają — oto pierwsze zadanie, jakiego podjąć się musi filozofia, o d p r o s z c z o n a w fenomenologii. Tylko w ten sposób możemy usunąć nieporozumienie polegające na myleniu świadomości z solipsyzmem podmiotu, który nas dzieli od świata i między rzeczami a nami ustawia parawan. Uzyskamy w ten sposób bardziej autentyczne doświadczenie samej świadomości, która stanie się wreszcie tym, czym jest naprawdę, to znaczy, jak mówi Husserl — „uniwersalnym zespołem zjawisk w sensie fenomenologii"... Większość uczniów i następców Husserla wyminęła zręcznie, a w każdym razie złagodziła radykalizm „redukcji transcendentalnej" na rzecz rozrzedzonej metafizyki lub prowizorycznego psychologizmu. Być może Heidegger, którego pewnego dnia trzeba będzie oddzielić od wszelkich egzystencjalizmów, jest jedynym współczesnym, którego myśl — daleka od regresji w stosunku do myśli Husserla — stanowi jej przezwyciężenie".



Oto dlaczego myślę, że psychologizmu filozofii sztuki nie należy zastępować estetyką romantyczną — która, jak to widać u Malraux, z rozważań o sztuce robi poezję — ale fenomenologią, która z niej na powrót uczyni filozofię. Można nie przeceniać książki Ingardena „Das literarische Kunstwerk", można mieć sztubacki sceptycyzm wobec jego wysiłku, zwłaszcza jeżeli było się jego uczniem (jak to, zdaje się, ma miejsce u jednego z moich łaskawych korespondentów), ale nie można zapominać, że książka ta była czytana przez wielkich filozofów (cytuje ją m.in. Nicolai Hartmann) i że — niezależnie od wartości osiągniętych rezultatów — jest ona przedsięwzięciem, które ma przynajmniej tę zasługę, że pokazuje, gdzie na fenomenologa czyhają ślepe uliczki. Zapewne, fenomenologia nie może zastąpić ani myślenia ani odczuwania, nie jest to maszynka, która się za Tybetańczyka modli. Ale jest to metoda filozofowania — styl, który myśli porządkuje i oczyszcza. Złudzeniu, że fenomenologia jest psychologizmem, ulega wciąż jeszcze bardzo wiele osób; artykuł Jana Beaufret, który zacytowałem, świadczy jednak o tym, że Husserl jest czytany także we Francji i że gdy ktoś się na Husserla powołuje, nie zawsze jest modnisiem. Nawet lwow-

scy studenci mogą się od czytelników Husserla „za Renem" dowiedzieć czegoś nowego o husserlizmie.

Niestety, broszurka Ingardena „O budowie obrazu" *) nie jest odpowiednikiem malarskim „Das literarische Kunstwerk"; ten odpowiednik wciąż jeszcze czeka na swoje napisanie. Broszurka ta jest właśnie owym rozdziałem o malarstwie, który do „Das literarische Kunstwerk" nie został włączony. Po piętnastu latach Ingarden dodał do niego kilka słów i wydał go drukiem pod tytułem, który musi czytelnika rozczarować. Mowa w tej broszurze raczej o literackiej budowie obrazu, niż o jego budowie malarskiej. Nie odświeżyłem znajomości z książką Ingardena (bo nie znalazłem jej w Paryżu) i nie wiem, czy nie wyzbyłbym się swego przedwojennego entuzjazmu dla niej, gdybym ją teraz przeczytał. Może Ingarden tak samo źle rozumie literackie dzieło sztuki, jak obraz. Pragnąłbym jednak zwrócić uwagę na zasługę, jaką Ingarden oddaje swoimi pracami zarówno filozofii sztuki, jak i fenomenologii.

Oto Ingarden wychodzi od p o t o c z n y c h p o g l ą d ó w na sztukę. W tym wypadku np. wychodzi z założenia, że malarz chce „oddać rzeczywistości" i to nie tylko jej wygląd, ale także jej znaczenie. Cytuje co prawda „Estetykę" Lalo, ale tylko po to, by ją odrzucić : pogląd, że „tzw. forma dzieła malarskiego jest estetycznie doniosła, natomiast tzw. treść jest estetycznie obojętna", wydaje mu się „fałszywy" — nie „nieścisły", ale fałszywy. Toteż myśl jego porusza się po tych samych bezdrożach, po jakich tak swawolnie hasał pół wieku przedtem pogromca Nietzschego, warszawski pozytywista Struve. W końcu jednak okazuje się, jak nieomylnym narzędziem jest metoda fenomenologiczna, a zarazem, jak logiczna jest struktura sztuki. Metoda fenomenologiczna jest nie tylko „analityczna" (w sensie kantowskim), tj. nietylko rozbiera myśl, z którą filozof przystępuje do problemu (a która jest jego osobistym uprzedzeniem, choćby była poglądem pospolitym), ale jest „syntetyczna", tzn. naprowadza na myśli nowe. Bo oto pod koniec swych rozważań, gdy jeszcze próbuje ratować swoją koncepcję obrazu jako sposobu przedstawiania anegdoty i dostrzega „stosunkowo największe pokrewieństwo" obrazu z... „widowiskiem teatralnym" — Ingarden zaczyna odkrywać niespodziewane aspekty fenomenologiczne obrazu, które skłaniają go do kilku konstatacji, prowizorycznych niewątpliwie, ale absolutnie „walentnych". Pisze np. : „widzenie obrazu jest bardzo złożonym zabiegiem przede wszystkim poznawczym, wymagającym znajomości rzeczy, subtelności, umiejętności konkretyzowania jakości estetycznych walentnych i nadbudowanych jakości wartościowowych (dla zecera, korektora i czytelnika : nie „wartościowych"!) i reakcji uczuciowej". A dalej : „Nie ma dowolności oceny estetycznej lub estetyczno-emocjonalnego reagowania na jakości wartościowowe". A w końcu : „Percypowanie obrazów i ocena

*) Kraków 1946, Rozprawy Wydziału Filologicznego Polsk. Akad. Umiej.

wymagają kultury artystycznej. Tylko ludzie z taką kulturą mają prawo wypowiadać oceny o dziełach sztuki. Niestety, w praktyce ignorancja i barbarzyństwo estetyczne zwykło najgłośniej swe oceny wypowiadać i starać się je innym narzucać". To już nie Struve ! Miało by się ochotę zamówić u Ingardena projekt ustawy, która by to „prawo" skodyfikowała i pozwalała raz na zawsze zamknąć usta wszystkim Struvem świata ! Słowem, pod koniec swych rozważań Ingarden jest wreszcie przygotowany do lektury formalistycznej „Estetyki" Lalo, którą z tak lekkomyślną pogardą odrzucił kilkadziesiąt stron przedtem.

Od broszurki Ingardena nie możemy wymagać, by dotrzymywała obietnicy zawartej w jej tytule. Zamiast zaczynać swoje rozważania od „obrazów z tematem literackim", musiałby Ingarden zacząć od obrazu Mondriana, który przedstawiał biały kwadrat w białym kwadracie, albo od owego „idealnego obrazu", jakim dla Witkiewicza był jednobarwny krążek na jednobarwnym tle. Tylko w ten sposób mógłby dojść do sensownej teorii obrazu, ale wtedy byłaby to estetyka systematyczna, idąca od małej ilości elementów do coraz większego ich bogactwa, a nie fenomenologiczna „redukcja", zaczynająca od chaotycznego bogactwa pospolitych uprzedzeń, by dojść do surowego ładu filozoficznych prawd. Ingarden jest związany planem swojej pracy o literackim dziele sztuki i cały rozdział o obrazie pisze tylko po to, by rozstrzygnąć wątpliwość, czy fakt, że dzieło literackie staje się „aktualne" tylko przez „konkretyzację" (tj. w drodze lektury, w której czytelnik je „odtwarza") i że istnieje ogromna wielość tych konkretyzacji (każdy czytelnik może je rozumieć inaczej i za każdą nową lekturą coraz to inaczej) — czy to wszystko rzeczywiście właściwe jest tylko literaturze i muzyce, czy też obejmuje również malarstwo, rzeźbę i architekturę. Na pozór bowiem obraz „dany jest" od razu, bez konkretyzacji : widz nie potrzebuje go „odtwarzać", wystarczy, by nań patrzał (czy zgoła spojrzał). Toteż gdy dochodzi do wniosku, że obraz również nie staje się „aktualny" dopóki nie jest przedmiotem „konkretyzacji" i że tych konkretyzacji ma tyleż co utwór literacki — przestaje się obrazem interesować. Ogólne uwagi, z których kilka zacytowaliśmy, Ingarden dodał zapewne dopiero, gdy zdecydował się ten rozdział wydać jako osobną broszurkę. Nie nadał co prawda w ten sposób swojej pracy cech estetyki malarstwa, owszem, przekreślił tymi dodatkami całą swoją pracę, ale... pokazał ślepą uliczkę, w którą filozof sztuki nie powinien się zaawanturować. Równocześnie jednak potwierdził sensowność fenomenologicznej metody filozofowania.

Tej metodzie Ingarden pozostał wierny i w dalszych swych pracach. Monumentalne dzieło pt. „Spór o istnienie świata", napisane w czasie wojny i wydane już po wojnie *), jest nową lekcją metody fenomenologicznej. Ingarden wychodzi tu ze swego poczucia, że idealizm Husserla jest hipotezą błędną. Anali-

*) Kraków 1947, Wyd. przez Polską Akademię Umiejętności.

zując to poczucie, autor odkrywa „spór o istnienie świata" i dziewiętnaście sposobów rozwiązania go, które udaje mu się sprowadzić prowizorycznie do dwóch, ale w końcu dochodzi do wniosku, że „dotychczasowy spór o istnienie świata realnego zaczyna się w sposób nieodparty przemieniać w spór o naturę świata, a w szczególności o naturę i istotę już to przedmiotów występujących w jego obrębie, już to przedmiotów, od których byt jego ma być pochodny". Co więcej, napisawszy tysiąc stron, by podważyć husserlowski idealizm, Ingarden nabiera poważnych wątpliwości, czy idealizm nie jest przecież jedyną prawdziwą hipotezą filozoficzną i w pewnym sensie rad jest, że fizycy, natknąwszy się w zasadzie ograniczoności Heysenberga na trudność, której materializm nie może rozwiązać, sami skłonni są skapitulować przed idealizmem.

Ingarden jest poważnym filozofem, zapewne jedynym, jakiego dziś mamy, a na pewno jedynym, który myśli polskiej przynosi zaszczyt. Nie znaczy to, byśmy z niego musieli robić nieodwołalny autorytet, a już na pewno nie, byśmy jego formę husserlizmu musieli uznawać za ostatnie słowo fenomenologii. Jeżeli kontynuatorem Husserla jest Heidegger, to fenomenologia ma przyszłość.

Jan ULATOWSKI

Do prenumeratorów „Kultury"

Przypominamy, że każdorazowa zmiana adresu pociąga za sobą dodatkową opłatę w wysokości 35 frs. (bądź równowartości), którą należy przekazywać do Redakcji w międzynarodowych kuponach pocztowych lub do przedstawicielstwa za pośrednictwem którego „Kultura" jest prenumerowana — w znaczkach pocztowych.

Najnowsza historia Polski

Rubens heroiczny

„A gentleman is calm and spacious; the small man is always frettin".

CONFUCIUS

„...Panie,
ONI się przecież obrażą"

MARIAN HEMAR
„Marchewka"

Brak źródeł jest mi pomocą raczej aniżeli zawadą w pisaniu niniejszego. W połowie roku 1942-go zawadziwszy o polskie garnizony w Szkocji, zostałem odkomenderowany, przydzielony czy raczej oddany w pacht z dobrodziejstwem inwentarza Armii Brytyjskiej, po społu z paru setkami innych młodszych oficerów, zbytecznych w Armii Polskiej przy ówczesnym stanie szeregowca.

Przez następnych osiem lat, obfitujących w bardzo ciekawe przeżycia, nie stykałem się ani z polskimi formacjami ani z Kwaterą Główną. Przez Londyn przejeżdżałem rzadko i do Rubensa prawie że nie zachodziłem. Moi przyjaciele i znajomi stamtąd przekoczowali już do odrodzonego MSZ na Queen's Gate, i do Strattonu. Stąd zamierzchła epoka „blitzu" i początków reorganizacji Wojska Polskiego na Wyspach Brytyjskich, przywalone złożami dalszych przygód tak odmiennych od niej, nabrały ostrości i precyzji zarysu przedhistorycznego komara uwięzionego raz na zawsze w skamieniałym odłamku bursztynu. Podobnie jak komar w stosunku do świata zwierzęcego swojej epoki, są one ułamkowe i jak najbardziej niekompletne. Z ważności wielu zdarzeń i osób nie zdawałem sobie sprawy dlatego po prostu, że nic o nich nie wiedziałem. Obijając się przez pół-

---

Materiały drukowane w tym dziale są zamieszczane na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

tora roku po ,,Rubensie'' ani razu nie widziałem np. płk. Cazaleta, brytyjskiego oficero łącznikowego przy gen. Sikorskim, który miał rzekomo odegrać przy nim specjalnie złowieszczą rolę i zginął z nim razem w gibraltarskiej katastrofie. Podobnie też, stosunkowo niedawno dowiedziałem się o ,,zamachu stanu'', niedoszłym czy też poronionym w zalążku, na gen. Sikorskiego w sierpniu 1940 roku. Dopiero wówczas mogłem skojarzyć z tym wypadkiem mało wojenne postacie gen. Modelskiego czy płk. Skupskiego czy też Skrupskiego, z ogromnymi rewolwerami przytroczonymi na brzuchach, nerwowo biegającymi na pierwszym piętrze ,,Rubensa'', przed gabinetem Generała. Zresztą ,,zamach'' odbywał się w Dorchesterze, gdzie generał Sikorski wówczas mieszkał.

W ciągu niniejszych wspomnień wypowiadam o ludziach i wypadkach cały szereg sądów, bardzo często ujemnych. Nie oznacza to bynajmniej, iż sadzę się na autorytet i z wyżyn plutonowego-podchorążego czy podporucznika, którym wówczas byłem, rozdzielam pochwały i nagany ludziom starszym wiekiem i doświadczeniem, a nade wszystko obciążonym znacznie odpowiedzialnością. Gdybym jednakże dziś te sądy łagodził w druku, fałszowałbym atmosferę okresu, który opisuję. Tak, a nie inaczej, myślało się, a przede wszystkim gadało na moim szczeblu i wśród moich znajomych w Coëtquidan po klęsce wrześniowej i w ,,Rubensie'' na przełomie 1941-go roku. Poza tym jeżeli chodzi o socjologiczną czy raczej ,,ludzką'' stronę polskiego dowództwa we Francji, Norwegii i Wielkiej Brytanii na początku Drugiej Wojny Światowej to perspektywa i doświadczenie następnych dwunastu lat skorygowały bardzo niewiele, i prawie nic w sensie przychylnym, z tego co piszę tutaj o polskiej kaście wojskowej.

Zwycięzcom, rzekomo, należy wszystko wybaczyć. Dzisiaj oficerowie, wyśpiewani na lutniach różnych biur propagandy, i ci autentyczni bohaterowie, i ci od kasztanów, z minami zawodowych płaczek zmywają talerze u Lyonsa czy rozwożą mleko. Ma to im rzekomo dawać dalszy indygenat nietykalności. Zgoda narodowa działa w formie towarzystwa wzajemnego ubezpieczenia. Zapuszczajmy, mości panowie, woal smutku nad tym co było. A było wiele. Że zacytuję z pamięci : błazeński sąd polowy nad Karolem Zbyszewskim o brak miłości ojczyzny i podrywanie zaufania do oficera, ,,Wyspa Wężów'' i demoralizacja materiału ludzkiego w Szkocji, zmarnowanie Brygady Podhalańskiej w 1940-tym roku. Oczywiście osoby odpowiedzialne za ten ostatni kryminał, mają mnóstwo przekonywujących wariantów tłumaczeń, usprawiedliwień, dokumentów i Bóg raczy wiedzieć czego. Fakt są inaczej wymowne. Dnia 14 czerwca, PO UPADKU Paryża, Brygada Podhalańska, powracająca z Norwegii została wyładowana w Brest, wówczas kiedy nie było ani możliwości oporu przeciw Niemcom, ani nie istniała armia francuska jako siła walcząca. Istniała natomiast możliwość natych-

miastowej ewakuacji do Wielkiej Brytanii w zwartych oddziałach. Zasłanianie się wyższymi rozkazami nie jest tłumaczeniem. Brygada była wówczas jedyną zorganizowaną wielką jednostką Wojska Polskiego, dość dobrze uzbrojoną i która przeszła pomyślnie chrzest bojowy. Liczyła ona około pięciu tysięcy oficeców i szeregowych. W ówczesnej sytuacji, kiedy dla obrony Anglii przed inwazją sprowadzano pistolety maszynowe skonfiskowane bandytom w Chicago, mogła i powinna była stać się pierwszorzędnym atutem politycznym. Na pewnych stopniach dowodzenia i w pewnych sytuacjach głupota i brak odwagi cywilnej są zbrodnią. Anglicy, bardzo słusznie, rozstrzelali Admirała Bynga za to, że mu się ,,nie udało''; jak śmiał się Voltaire, ,,pour encourager les autres''. Generał Szyszko-Bohusz natomiast zakończył drugą wojnę światową jako zastępca dowódcy korpusu, odznaczony orderem ,,Virtuti Militari'' klasy czwartej.

Nie można powstrzymać się w tym miejscu od wspomnienia fascynujących wendett Dwójki. Znowu istnieją prawdopodobnie tony przekonywujących papierków wszelkiego rodzaju ale dla niewtajemniczonych wyglądało to mniej więcej jak następuje : w drugim i dalszych latach wojny kilka grup oficerów służby wywiadowczej, major Żychoń z jednej strony a major Nowiński i kapitan Niezbrzycki z drugiej strony, publicznie i wielokrotnie wyzywali siebie od szpiegów, zdrajców, s. synów, obcych agentur i nie wiadomo jeszcze czego. I co? — I nic. Ani jednej ani drugiej grupie włos z głowy nie spadł. Major Żychoń zginął na froncie w 1944 r., major Nowiński ziejąc nienawiścią pojechał do wojska Żymierskiego a kapitan Niezbrzycki żyje do dziś dnia zagranicą i czuje się, chwała Bogu, jak najlepiej. Tyle że za rubensowskich czasów oficerowie poszczególnych koterii siadali przy oddzielnych stolikach w kasynie, nie witali się z sobą zamaszyście na schodach i nie całowali z dubeltówki po parumiesięcznym niewidzeniu się.

I to wszystko ma niby pójść w niepamięć? A niedoczekanie. Dziś sprawy te nie mają posmaku aktualności. Kiedy go miały, jeszcze w 1945, alternatywą milczenia była działalność Ksawerego Pruszyńskiego albo książka ,,Gwiazda Generała Sikorskiego'' typa w rodzaju Stanisława Strumf-Wojtkiewicza. Należało więc milczeć. Ale nie aż do grobu.

Ślamazarność uczuciowa i czułostkowość należą do gorszych cech polskiego charakteru. Tymczasem o przykrych sprawach należy mówić na emigracji chociażby po to, by zdać sobie sprawę jak często skromna kamieniczka na Ealingu, źle opłacana ale pewna posadka, czy nawet tylko Assistance Board są aż nazbyt szczodrobliwą i niezasłużoną łaską Opatrzności.

A co do nieszczęść narodowych to spalenie się domu nie zwalnia pana Iksińskiego od odpowiedzialności za to, iż podczas pożaru zachował się jak łobuz i bałwan. Pamięć należy kultywować, chociażby ,,pour encourager les autres''.

— A podchorąży czego?

Wysoki porucznik kawalerii o bladej i nieregularnej twarzy siedział niedbale w małym foteliku. Po drugiej stronie hotelowego pokoju, w podobnym foteliku, siedziała piękna blondynka o majestatycznych kształtach. Na łóżku rozmieszczał się rasowy spaniel. Jego tragiczne oczy patrzyły w górę znad łap, na których położył głowę; setki pokoleń dworskich lizusów mokro przeświecało w tych oczach bezgranicznym przywiązaniem do pana i władcy. Lewy palec wskazujący porucznika był głęboko umieszczony w nozdrzu. Porucznik dłubał w nosie; na twarzy jego malował się głęboki, prawie że kosmiczny smutek. W pokoju panował półmrok. Przed wojną Hotel Clifton był godną i zaciszną rezydencją oficerów armii indyjskiej w stanie spoczynku, średnio uposażonych proboszczów anglikańskiego kościoła oraz starych panien z dobrych rodzin o niesprecyzowanych, ale pewnych źródłach dochodu. Jeden fronton hotelu wychodził na Queen Ann Str., a drugi na Bullstrode Street. Obie ulice stanowiły część linii obronnych, osłaniających umiarkowany wykwint i spokój, o poważnym finansowym zapleczu, regularnej siatki ulic pomiędzy Harley Street i Devonshire Place. O kilkaset yardów od Clifton Hotelu rozpoczynał się gminny zgiełk Marylbone Road a jeszcze nieco dalej potok autobusów płynął już zupełnie niemożliwą, handlową Baker Street.

Czerwcowy dzień, jeden z ostatnich w miesiącu, dochodził do południowego upału. Mimo to, dookoła wejścia do hotelu kręciło się o wiele więcej osób niżby można było oczekiwać i o tej godzinie i porze roku. Byli to prawie wyłącznie wojskowi w dość wygniecionych mundurach, nie angielskiego kroju.

Od kilku dni hotel był miejscem przejściowego postoju Głównej Kwatery Polskich Sił Zbrojnych, napływających właśnie nieregularnymi partiami z Francji na Wyspy Brytyjskie. Działo się to w roku 1940-tym.

— Szukam majora Bogusławskiego, od Wojskowej Propagandy.

— Po pierwsze nie „Majora" a „Pana Majora". Po drugie w wojsku nie „szuka się", tylko się „melduje". I niech podchorąży stanie na baczność kiedy zwraca się do szarży.

— To może pan porucznik też będzie łaskaw wstać.

Wysoki oficer poczerwieniał z lekka i podniósł się z fotelika. Jego kremowe bryczesy były niewątpliwie angielskiego pochodzenia a długie buty wywodziły się od Hiszpańskiego. Piękna blondynka obojętnie przeniosła wzrok z niebieskiej perspektywy na wpół zasłoniętego okna, obramowanej zrębem dachów po przeciwnej stronie ulicy, na mnie i na wysokiego oficera. Pies na łóżku zaniepokoił się, podniósł głowę i zaczął nerwowo merdać ogonem. Zanosiło się na awanturę.

W tejże chwili drzwi od łazienki otworzyły się i do pokoju wszedł oficer niewielkiego wzrostu, bodajże przedmiot moich parugodzinnych poszukiwać : odznaki majora, proporczyki ułań-

skie na kołnierzu, szpakowate włosy i rasowy profil zmęczonej twarzy.

— Pan...? — Major uśmiechnął się pytając w moim kierunku.

— Panie Majorze, podchorąży Jeśman melduje się posłusznie...

Major przerwał.

— To bardzo pięknie. Czym mogę Panu służyć?

— Właśnie polecono mnie... To znaczy major L. kazał, żebym się stawił u Pana Majora. Miał telefonować. Z Podhalańskiej Brygady. Oczywiście nie telefonować z Podhalańskiej Brygady, tylko major L. z...

— A naturalnie. Proszę, niech Pan zachodzi.

Łazienka była tymczasowym gabinetem Majora. Stolik do kart na cienkich nogach uginał się pod stosem papierów. Stał on w wannie. Krzesełko o delikatnej konstrukcji przykrywało sedes. Major robił honory domu.

— Okropny ścisk. Ale to tylko prowizorium. Proszę, niech Pan siada. W każdym razie może Pan przysiąść na brzeżku wanny. Doskonale. Więc to Pan jest tym podchorążym mówiącym po angielsku?

— Tak jest.

— Zna Pan Londyn?

— Tak jest.

— To świetnie. Proszę Pana, tymczasem zostanie Pan przydzielony... raczej nie — „nieoficjalnie zatrzymany" przez nas, Wojskowe Biuro Propagandy; nie mogę Pana zapotrzebować na stałe. Liczba pracowników Kwatery Głównej została ustalona w wysokości stu dwudziestu oficerów i podchorążych. Potem to się wyjaśni. Major L. obiecał mi Pana odstąpić tymczasem. Jak długo był Pan w Szkocji?

— Tydzień.

— Wystarczy jak na pierwszą wizytę. Czy ma Pan jakieś pieniądze przy sobie, i w ogóle?

— Pięć szylingów.

— Hmmm. Nie bardzo. Ile by Pan potrzebował na konieczne wydatki w ciągu, powiedzmy tygodnia czy dziesięciu dni, zanim techniczna strona pańskiego czasowego przydziału zostanie załatwiona?

— Dziesięć do dwunastu funtów.

— Powiedzmy dziesięć. — Major lekko skrzywił się. — Ja Panu dam kartkę do płatnika. Oni Panu wypłacą zaliczkę, najprawdopodobniej, niestety, zwrotną. Mieszkanie Pan ma?

— Tak jest. Pokój na Bedford Square.

— Wspaniale.

Major wstał z krzesełka i wyciągnął rękę na pożegnanie.

— Ogromnie się cieszę, że Pana poznałem. Mam nadzieję, iż będzie się nam mile współpracować. Pan zapewne chce ro-

zejrzeć się trochę po mieście. Proszę być z powrotem o piątej. Odprawa.

Niewymuszona uprzejmość majora Bogusławskiego po sześciu miesiącach podchorążówki w Coëtquidan i czterech miesiącach Brygady Podhalańskiej w Bretanii i Norwegii zrobiła wstrząsające wrażenie.

W pokoju cisza panowała w dalszym ciągu. Major przedstawił mnie obecnym. Okazało się, iż blady porucznik kawalerii nazywał się Ludomir Cieński. Dama, o pięknych włosach była jego małżonką, Pauliną. Pies nazywał się Kleks.

Płatnik był ciałem kolegialnym, składającym się z czterech grubawych kapitanów w okularach. Wszyscy czterej ubrani byli w źle dopasowe mundury francuskiego pochodzenia o jasnoniebieskich wypustkach intendentury, obramowanych ciemnowiśniowym szlaczkiem ich rodzaju broni.

Kartka zaliczkowa Majora została poddana wnikliwym oględzinom, po czym komplet w okularach przyglądał się mi przez kilka minut w zupełnym milczeniu. Jeden z członków kolegium usiłował, bezskutecznie, połączyć się telefonicznie z majorem Bogusławskim. Po dłuższej przerwie kolegium coś poszeptało pomiędzy sobą, po czym dowiedziałem się, iż pieniędzy jeszcze nie ma, umowa z Anglikami nie podpisana i w ogóle zaliczki są wykluczone. No, ale w drodze wielkiego wyjątku, dostanę trzy funty, zwrotne czyli potrącalne z pierwszych poborów.

— Proszę tu podpisać. W tryplikacie.

— Pan major Bogusławski obiecał, że dostanę dziesięć funtów. Mam prace zlecone do wykonania i muszę być w Londynie.

Kolegium zarechotało.

— Niech podchorąży stanie do raportu ze skargą na nas.



W Ambasadzie R.P. panował chaos. Nawet od Portland Place, przez ceremonialne drzwi, można było wejść do środka nie zwracając niczyjej uwagi. Podwoje były otwarte. Podobnie boczne wejście do aneksu. W wąskich korytarzach kłębiło się od oficerów i osób cywilnych. Generał Sosnkowski zwolna posuwał się poprzez tłum z oczyma utkwionymi w nieskończoność. Dookoła niego i sięgając mu zaledwie do ramion, plątał się i przepychał jego oficer ordynansowy czy też adiutant, major Jawicz. Do złudzenia przypominał on z rysów twarzy i głosu zaaferowaną i kłótliwą białoruską niańkę, pilotującą w nowym ogrodzie publicznym nad podziw wyrośniętego i nieruchawego panicza, powierzonego jej opiece. Garbaty Litauer miał sztywny, krochmalony kołnierzyk na szyi i słodki uśmiech na twarzy. Antoni Baliński i Wacio Zbyszewski rozmawiali stojąc we framudze okna. Odcinali się zarówno linią swoich londyńskich ubrań jak i wielkim spokojem, od raczej podnieconego i zmiętoszonego otoczenia. Na schodach natknąłem się na Ambasadora Raczyń-

skiego. Słaby jego wzrok choć raz w życiu musiał mu być błogosławieństwem. Wprawdzie wyglądał — i musiał się czuć — jak człowiek który dla wygrania zakładu przechodzi nago przez zatłoczoną ulicę, ale dzięki opasce na oczach przynajmniej może nie uzewnętrzniać cierpień moralnych, nieodłącznych od sytuacji.

W dużym salonie na pierwszym piętrze koczowało Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Panie — a poza przedwojennym MSZ-tem — tym autentycznym — mało jaka grupa maszynistek, stenografek i sekretarek zasługiwała na tę nazwę w równej mierze, i jej pełny moralny i towarzyski wydźwięk — popłakiwały po kątach. Ktoś usiłował dyktować raport. Śmierć Pawła Morsztyna po drodze do Anglii przygnębiła personel Ministerstwa chyba bardziej, przynajmniej chwilowo, aniżeli narastanie katastrof dziejowych. Trudno się było temu dziwić. W zawsze uprzejmym i nienagannie wytwornym, a jakże nikczemnej postaci, zastępcy dyrektora Protokółu Dyplomatycznego odszedł i autentyczny hrabia i autentyczny dyplomata. Nie chodzi tutaj o szkic biograficzny, ale o ściśle ludzki aspekt. W zagęszczeniu słabo zakamuflowanych a krzepowatych łapsów, ubogich acz autentycznych półhrabiów udających legunów, legunów podszywających się pod magnackie koneksje i niefałszowanie chamowatych radców o jawnie proletariackich antecedensach, zaludniających wyższe regiony Pałacu Brühlowskiego, hrabia Paweł Morsztyn był białym krukiem nieodmiennej uprzejmości i życzliwości wobec sekretarek, szoferów, personelu administracyjnego, praktykantów oraz kontraktowych kandydatów na tychże.

Dwaj bliżej nieznani radcy Departamentu Administracyjnego poszukiwali szyfrów w stosie pak z najniezbędniejszymi aktami, zawalającymi środek salonu. Za parawanem z chińskiej laki odbywała się konferencja, podobno personalna. Ktoś jadł kanapki z serem i dopytywał się o herbatę. Zaledwie trzy lata temu zastanawiałem się akurat w tymże samym miejscu co powiedzieć Ambasadorowi przy okazji Trzeciomajowego przyjęcia dla kolonii polskiej, wchodząc na salę i witając się z nim : ,,Winszuję niepodległości ?'' ,,Najlepsze życzenia z okazji Trzeciego Maja ?'' Głupio.

Tadzio snuł się w bałaganie z krzywym półuśmieszkiem triumfu na twarzy. Nareszcie jego będzie na wierzchu. Nareszcie ci wszyscy durnie, którzy zarabiali dziesięć razy więcej od niego, muszą się zdać na jego łaskę. Bo tutaj to właśnie on jest zadomowiony, to on jest na swoich śmieciach. On zna Anglię i Anglików, on będzie tym niezastąpionym podmurowaniem nowego, zreformowanego MSZ-tu.

Uważałem, iż w nastroju apokalipsy dziejowej delikatność finansowo-towarzyska nie obowiązuje mnie, bądź co bądź, już jeżeli nie bohatera to w każdym razie uczestnika wyprawy narwickiej. Tadzio skrzywił się jeszcze kwaśniej ale czule przywitał się i dał dwa funty. Szanse zaczepienia się w Londynie zwiększyły się. Brakujące pięć dalszych funtów i brunatny sweter da-

ła mi w pół godziny później pani Ksawerowa Zaleska, moja „marraine'a" z Coëtquidan. Mało jaki podarunek w moim życiu był równie na czasie, równie wielkodusznie dany i równie wdzięcznie przyjęty. Materialna podstawa do „wyczekania" u Majora Bogusławskiego została nareszcie stworzona.

Wychodząc o mały włos nie przewróciłem się o rozłożystą pannę X. o puszystych włosach. Nie widziałem jej od wileńskich czasów i ogromnie się ucieszyłem.

— Tylko proszę do mnie mówić „Pani X" a nie „Panno X"...

— Najlepsze życzenia. To Pani wyszła za mąż? Kiedy? Kto jest szczęśliwcem?

Panna X. poczerwieniała.

— Właściwie... Nazywam się Y.

— ??? Przecież on ma żonę w Wilnie, ekspedientkę w sklepie z obuwiem na Dominikańskiej. Pani doskonale wie o tym.

— Pan tego nie rozumie. Unieważnienie było już w Kurii. Teraz jest wojna, no i tak jest najlepiej.

Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, iż rozmawiałem z pierwszą jaskółką romantycznego babiego lata „polskiego" Londynu.

Wacio Zbyszewski poznał mnie mimo mojego munduru i paroletniego niewidzenia się. Zresztą znał mnie wówczas bardzo przelotnie. Mimo to zaprosił na kolację do Schmidta na Charlotte Street; tanio, smacznie i nie traci się twarzy w towarzystwie pozbawionym wagi gatunkowej. Zaproszenie przyjąłem z wdzięcznością.

Na odprawę w „Cliftonie" zeszli się ci sami, tzn. major Bogusławski, małżeństwo Cieńskich, Kleks i ja. Przyszedł również kapitan T. Kiełpiński. Wyglądał jak Stieńka Razin przebrany za ułana, z grubsza wprawdzie ostrzyżony ale zdecydowanie niedomyty. Jako jeden z członków-założycieli „Morżowego frontu" nosił się górnie. Mówił o „Frącji" i o tym, że kapitulacja jest zjawiskiem przejściowym i że „Frącuzi" są wielką siłą duchową. Po francusku mówił ohydnie. Dowiedziałem się, iż rząd w komplecie przedostał się z Angers do Anglii. Będziemy wszystko tworzyć od nowa. Wielkie jednostki zostały już zrekonstruowane, szkieletowo, w Szkocji. Naczelny Wódz odwiedzi je lada dzień. Umowa z Anglikami zostanie podpisana również lada dzień.

Wieczorem Wacio był bardzo serdeczny. Wypytywał o Jasia, Adufę i innych wspólnych przyjaciół. Po kolacji poszliśmy na piwo do Cafe Royal. Przysiedliśmy się do miniaturowego, melancholijnego bruneta, znajomego Wacia. Mówił długo i bardzo ciekawie, po rosyjsku o Romanowych, o tym, że świat tym razem wezmą diabli, że Hitler będzie próbował inwazji na jesieni i że chyba mu się to uda. Potem Wacio mi powiedział, iż nasz rozmówca jest angielskim pisarzem i nazywa się George Solo-

veytchik. Kiedy wyszliśmy na ulicę noc była ciepła i rozgwieżdżona. Łuk Regent Street o zgaszonych latarniach odcinał się czarną bryłą na ciemno granatowym tle nieba. Cicho było i nie czuło się żadnego zdenerwowania w powietrzu. Tak rozpoczęła się moja półtoraroczna służba w Kwaterze Głównej Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych na Wyspach Brytyjskich.



,,Polski'' Londyn był bardzo niewielki w 1940 roku. Terytorialnie pokrywał się prawie bez reszty z niewielką i ostro później zbombardowaną dzielnicą pomiędzy Ambasadą z przyległościami, Euston Road i British Museum. Z widzenia przynajmniej znało się wszystkich luminarzy. W księgarni ,,Kolin'' Antoni Słonimski podpisał mi swój ,,Alarm''. Tamże Zygmunt Nowakowski uprzejmie udał, że mnie poznał. Zresztą nic innego nie mógł zrobić : byłem w mundurze i obszernej pelerynie podhalańskiej, zasalutowałem bardzo sprężyście i poprosiłem o autograf na jednej z jego książek, którą kupiłem ostentacyjnie w jego obecności. Chyba nie może pamiętać tego epizodu po tylu latach ale chcę mu jakoś zrewanżować się za ,,Przylądek Dobrej Nadziei''. W imię tej książki darowałem mu potem i kazania Skargi dla niezamożnych i ,,konflikty'' ze Stolicą Apostolską w duchu i stylu Père Cardinal.

W ogóle w tamtych czasach firma ,,Kolin'' była nie tylko księgarnią ale i ośrodkiem towarzyskim. Nie było jeszcze ani ,,Ogniska'' ani ,,Białego Orła'' ani Jóźwiaka, w sensie gastronomicznym oczywiście a nie politycznym. Poza tym u ,,Kolina'' siedziała, mniej więcej w charakterze maszynistki, śliczna panna Karwowska, bohaterka pierwszej ,,dworskiej'' historii miłosnej polsko-londyńskiej. Zalecał się do niej ogniście ppor. ,,Teddy'' Chłapowski, syn śp. Alfreda i adiutant gen. Sikorskiego. Arystokracja i ziemiaństwo już wówczas zaczynało fagasować na potęgę przy wodzach różnego kalibru. Nawet gen. Głuchowski, ,,dowodząc'' w rok później zbiorowiskiem przeważnie niezatrudnialnych oficerów w tzw. brygadach szkieletowych w Kirckaldy, we Wschodniej Szkocji, miał za adiutanta hrabiego Łosia.

Gen. Sikorski był przeciwny małżeństwu. Generałowa za to, osoba wielkiej dobroci, i Retinger, członek legionu wielbicieli gwiazdki polskiego filmu, uknuli intrygę romantyczną i ślub się odbył.

Ksawery Pruszyński pisał ,,Drogę'' wiodącą przez Narwik, którą jego durny szwagier Janek M. reklamował z góry jako prozę godną Żeromskiego, a właściwie lepszą. Ambicje żarły Ksawerego i już wtedy twierdził, że posiada wpływy polityczne, chociaż jednocześnie był bardzo miły dla starych znajomych mimo nikczemnej rangi i nieistniejącej pozycji urzędowej. Mieszkał wówczas w pensjonacie na Bedford Place, gdzie zresztą

później o mały włos nie zginął podczas nalotów : hotelik zosta
trafiony przez bomby średniego kalibru.

Wszystko to są mało ważne fragmenciki wielkich zdarzeń
Całość niniejszych wspomnień nie jest zresztą niczym innym. Je-
dyną wartość jaką będą mogły ewentualnie posiadać dla przy-
szłego historyka jest ich wierność. Charakter wspomnień wyni-
ka w pierwszym rzędzie z rodzaju mojego ówczesnego stano-
wiska. Właściwie go nie było. Plątałem się, o ile pamiętam a
do końca bez oficjalnego przydziału, najpierw przy majorze Bo-
gusławskim a potem przy Wojskowym Biurze Propagandy
i Oświaty. Szefem jego był major Morbitzer, podlegający z ko-
lei gen. I. Modelskiemu, ówczesnemu wice-ministrowi Spraw
Wojskowych. Niekiedy bywałem potrzebny tej czy innej wyso-
ko postawionej figurze. Czasami chodziło o kupno szelek a cza-
sami o przekład artykułu z angielskiej gazety. Częściej musia-
łem komponować wybielające raporty dowódców średniej do-
niosłości o tym jak i dlaczego porzucili swoich żołnierzy we Fran-
cji, opierając się na niepowiązanych i niegramatycznych mono-
logach nowoprzybyłych, nerwowo palących papierosy i przecha-
dzających się po mrocznych pokojach sypialnych ,,Rubensa".

Z dawnych lat znałem parę osób na Fleet Street i dzięki te-
mu udało mi się pomóc Zygmuntowi Lityńskiemu w ukazaniu
się serii jego artykułów w ,,Evening Standard". Były to bo-
dajże pierwsze opisy naocznego świadka upadku Francji, jakie
wydrukowała prasa londyńska. Zygmunt, bardzo poczciwie i zu-
pełnie niewojskowo, dał mi za moje wysiłki dziesięć funtów ze
swojego honorarium.

Kilka razy asystowałem przy funkcjach bardziej oficjalnych
Raz musiałem coś komuś tłumaczyć po polsku i po angielsku
kiedy Generał Sikorski dostał w podarunku od Brygady Podha-
lańskiej niemiecki pistolet maszynowy, zdobyty czy znaleziony
pod Narwikiem. Akt wręczenia został uznany za poważny mo-
ment propagandowy i wielokrotnie odfotografowany przez E.
Cękalskiego. Nie pamiętam czy fotografie te ukazały się w pra-
sie.

Raz jeździłem ze świtą generała do Northolt i raz, jako tłu-
maczowi, kazano mi iść na wystawną kolację do ,,Ecu de Fran-
ce" na Jermyn Street. Nazywało się to urabianiem miejscowe
opinii publicznej w sensie przychylnym dla Sprawy Polskiej
Przy stole prezydował Rettinger a z Anglików byli obecni W. H
(,,Trilby") Ewer, dyplomatyczny korespondent ,,Daily Herald"
i George Slocombe, olbrzym z ryżą brodą i kudłatym łbem, ,,po-
stępowy" dziennikarz wolontariusz i przyjaciel Retingera. Ex-
posé w imieniu Polaków wygłosił płk. Skupski czy też Skrupski
maleńki oficer o smagłej twarzy i siwych włosach. Ja tłumaczy-
łem. Przemówienie zostało wygłoszone przez pułkownika z su-
rowo natchnionym wyrazem twarzy, przy deserze, Crepe Suzette
Składało się ono wyłącznie z beznadziejnych banałów, o tym, że
się nie damy, że pokażemy, że zwyciężymy, że zawsze wierni

Patriotyczna pogadanka do rekrutów. Anglicy okolicznościowo i poważnie kiwali głowami a Retinger kręcił się cały czas w krześle ze znudzoną miną i bębnił palcami po stole. Koniak przy kawie był wspaniały.

Odtąd nigdy nie przydzielano mnie do tego rodzaju przyjemnych funkcji. Pocieszałem się myślą, że nie korzystano z moich talentów dlatego, iż Retinger nie znosił w swojej obecności mówiących biegle po angielsku nie-Anglików. Była to naturalnie bzdura. Adiutanci Naczelnego Wodza władali angielskim bezbłędnie, niby więc po co miano jeszcze dokooptowywać do obiadów jakiegoś obszarpanego podchorążego. Zresztą Retinger był bardzo życzliwy dla sztabowego proletariatu. Sekretarz generała śp. A. Kułakowski rzeczywiście wietrzył wrogów i intrygantów nawet w dyżurnych żandarmach ale z nim nigdy nie miałem nic do czynienia.

Podobnych do mnie pokątnych podchorążych było zresztą więcej w Kwaterze Głównej. Niemalże każdy wydział czy biuro posiadały swojego. Feliks Bocheński był ,,człowiekiem'' Dwójki, co bynajmniej nie oznaczało, iż był wtajemniczony w wywiad czy kontrwywiad, Staś Grocholski, o twarzy archanioła cierpiącego na ciężką grypę, należał do wydziału szóstego, ,,krajowego'', podch. Toczyłowski wysługiwał się łączności a bombardier Leopold Koziebrodzki, zaledwie dziewięć miesięcy przed tym radca M.S.Z. i chargé d'affaires R. P. w Madrycie, wymienił stanowisko dojeżdżacza czyli hajduka przy Gen. Sikorskim na stanowisko kancelisty w referacie orderowym Kancelarii Wojskowej Naczelnego Wodza. Główną jego funkcją odtąd było znoszenie głupich docinków majora Borkowskiego, tzw. ,,przystojnego'' Borkowskiego, który celował do chwały emigracyjnego Lasalle'a albo zgoła Wieniawy, nowego, morżowego, Generalnego Inspektoratu. Nie cierpieliśmy go serdecznie.

Życie pokątnych podchorążych pełne było niepewności. Co kilka miesięcy grożono nam wylaniem do Szkocji. Aż do umowy z Sowietami olbrzymia większość polskich oddziałów lądowych w Wielkiej Brytanii składała się z oficerów i podchorążych. Szeregowi byli na wagę złota i dowódcy większych jednostek stale ich sobie nawzajem podkradali. Niebezpieczeństwo zsyłki wisiało nad każdym. Pamiętam nawet tak niezbędne filary cywilnej administracji jak W. A. Zbyszewskiego jako artylerzystę a T. Lutosławskiego jako ułana. W obu wypadkach zresztą maskarada nie trwała długo i angliści zostali wyreklamowani; Lutosławski nawet z rentą inwalidzką. Sterczenie w zimie na operetkowych pozycjach obronnych nad morzem i służenie jako popychadło dla sadystycznych pomysłów takiego np. płk. Bogorji-Zakrzewskiego, zwanego ,,Klipą'', były znacznie bardziej ponurymi ewentualnościami aniżeli conocne bombardowania Londynu przez Niemców.

Następną trudnością były sprawy materialne. Płacono nam grosze, wedle posiadanego stopnia podoficerskiego, bez żadne-

go względu na podchorążowską dostojność. Podobnie mikroskopijne były dodatki na mieszkanie i wyżywienie. Ppłk. Leski, komendant Kwatery Głównej, trochę nam pomagał, ale nie rozwiązywało to sprawy, gdyż podoficerska kuchnia w ,,Rubensie" była obrzydliwa nad podziw : żylaste mięso w burym sosie, szare kartofle i niedogotowane marchwie. Wspaniale jadło się w tymże ,,Rubensie" w kasynie oficerskim, ale na to trzeba było mieć pieniądze.

Pokątni podchorążowie musieli wobec tego dorabiać na stronie. Źródła pobocznego dochodu były przede wszystkim dwa : znajomi oficerowie, którzy po paru tygodniach unikali nas jak ognia, i różne chałupnicze robótki pisarsko-propagandowo-wydawnicze, za które nam płacono trochę. Raz udało mi się dostać do B.B.C. W ramach słuchowiska ,,In Town To-Night" zrobiłem, zgodnie z prawdą zresztą, bohatera ze Stefana Zamoyskiego pod Narwikiem. Dostałem za to sześć gwinei.

Karol Zbyszewski i Józek Natanson wydali książkę o Narwiku po angielsku, ja też o Narwiku ale po polsku i tylko broszurę. Zachęcony dziesięcioma funtami, które mi za nią zapłacił kapitan Kiełpiński, puściłem się na szersze wody z czego wynikły potem wielkie komplikacje o których poniżej.

,,Polska Walcząca" ukazywała się w dalszym ciągu. Redagował ją T. Terlecki. W tym okresie wyglądał dziwnie półżywo i nieszczęśliwie, zachudzony i zabiedzony, we francuskim gumowym płaszczu i z wiecznym szalikiem na szyi. Ale po parę funtów od ,,kawałka" płacił.

Na jednym z niekończących się przednówków sytuację Feliksa Bocheńskiego i moją uratowało zamówienie na polityczno-wojskowo-statystyczny opis Afganistanu. Dostaliśmy, już nie pamiętam od kogo, królewską sumę siedemnastu gwinei. Tzw. ,,prace zlecone", w późniejszych latach szanowana i dochodowa instytucja tylu polskich ministerstw w Londynie, nie były jeszcze znane.



W pierwszym okresie istnienia ,,Rubensa", aż do wiosny 1941-go roku pokątni podchorążowie byli w gruncie rzeczy wolontariuszami w pełnym i starożytnym tego słowa znaczeniu. W miarę jak sztab krzepnął powymianowywano nas na podporuczników i zaczęto brać w cugle. Złośliwi twierdzili, iż nasze nominacje oficerskie odbyły się przed portretem Hitlera. W myśl jednego z tramtadrackich edyktów Ministerstwa Wojny w Paryżu awanse mogły być nadawane tylko w obliczu wroga. Zresztą to oblicze wroga miało pewne specyficzne znaczenie dla nas. Przeważnie byliśmy wychowankami podchorążówki w Coëtquidan i — cokolwiek by się nie działo na frontach Drugiej Wojny Światowej — naszym prawdziwym, wewnętrznym wrogiem byli oficerowie zawodowi. Coëtquidan był dziwną i pod wielu względami symboliczną, instytucją, szczególnie w pierwszym okresie,

do wiosny 1940-go roku. Z początku nie była to nawet szkoła, a li tylko bataliony szkolne Armii Polskiej we Francji, odradzającej się po klęsce wrześniowej. Nieoficjalnie był to i ostatni zajazd na Litwie, i obóz powstańców Langiewicza pod Małagoszczą, i obóz Piławiecki i ostatnie pospolite ruszenie z bronią Rzeczpospolitej. Historii o Coëtquidanie krążyło mnóstwo dopóki nie zaczęły zacierać się one pod zwałami dramatów narodowych następnych lat. Właściwie szkoda, iż do tej pory niczego o nim nie napisano. Podrwiwaliśmy z siebie jako z przyszłej, elitarnej, ,,morżowej'' Pierwszej Brygady, ale byliśmy chyba autentycznym wspólnym mianownikiem Drugiej Rzeczpospolitej i Rzeczpospolitej *tout court*. W jednej kompanii tylko diapazon rekruta sięgał od kleryków z Lille, *fine fleur* polskiego uchodźtwa we Francji, poprzez zwały radców MSZ, nauczycieli ludowych, żydowskich krawców, cichych agentów defensywy z Małopolski Wschodniej, ziemian, Kawalerów Maltańskich i rzezimieszków, po hrabiów i profesorów uniwersytetu, i aż po Rowmunda Piłsudskiego-Giniatowicza.

Na temat tej mieszanki śp. Jerzy Paczkowski, zresztą sam Coëtquidańczyk, ułożył odpowiedni poemat. Niestety zapamiętałem tylko jego początek. Zaczynał się on od listy imiennej : ,,Pluta, Pieczka, Battaglia, Konieczka, Chowaniec, Bocheński Adolf (powiedzmy) Zaskroniec itd.''. Jerzy skomponował poza tym słowa pieśni 3-ciej Kompanii Karabinów Maszynowych, zaczynającej się od słów : ,,Każdy lis swój ogon chwali, każdy żołnierz swoją broń''. Pieśń była uznana przez dowództwo za tendencyjnie podejrzaną, jeżeli nie wręcz godzącą w zasady subordynacji. Śpiewaliśmy ją z wielkim wrzaskiem przy każdej okazji.

Kpiliśmy z mitycznych osiemdziesięciu trzech sztabowych oficerów W. P., którzy rzekomo mieli przysięgać w ,,Reginie'', iż Niemców w ogóle pobić nie można, ale ze starymi Maximami na plecach chodziliśmy na ćwiczenia jak Żydzi z Arką Przymierza w procesji.

,,Po owocach ich poznacie je''. Apel poległych Coëtquidańczyków nie wymaga komentarzy : Adolf Bocheński, Jerzy Paczkowski, Jan Rostworowski, Jan Szeliski, że wymienię tylko osoby znane mi i bardzo bliskie. Wszyscy oni zeszli z tego świata w sposób nie pozbawiony ,,panache'', podczas drugiej wojny światowej. Ksawery Pruszyński też do nich w pewnym sensie należy. Zdrada jest rzeczą plugawą i niewybaczalną. W stosunkach polsko-rosyjskich posiada ona dodatkowe piętno hańby. Intryganctwo i megalomania, przesadne ambicje i żądza rozgłosu nie należą do ozdób charakteru. Ale wszystko to nie przekreśla zasług bojowych, a te Ksawery Pruszyński miał i pod Narwikiem w 1940-tym roku, i w Normandii w cztery lata później.

Pruszyński pod wielu względami był reprezentacyjnym podchorążym z Coëtquidan, w ujemnym i dodatnim znaczeniu tego

słowa. Posiadał, jak my wszyscy i zasób kpiarskiego entuzjazmu, i zmysł krytyczny i, użyjmy zdeprecjowanego określenia, pewną ilość idealizmu. Oczywiście istniała i odwrotna strona medalu. Coëtquidańscy podchorążowie a później oficerowie, musieli być cierniem w boku każdej armii. Byliśmy wprawdzie na serio gotowi iść z nożem w zębach na Linię Zygfryda, robił coś bardzo podobnego zresztą śp. Adolf Bocheński pod Tobrukiem, ale byliśmy niesubordynowani w codziennym życiu garnizonowym, pyskaci, skaczący dla zasady do oczu starszym stopniem o byle głupstwo i z góry zakładający równość towarzyską z generałami. Nawet major Bogusławski, człowiek anielskiej cierpliwości i nieposzlakowanych manier postawił mnie raz do raportu karnego. Co prawda po raporcie zaprowadził na wódkę. Gdyby nasi zawodowi dowódcy i ci z Coëtquidan i ci późniejsi zechcieli czy umieli już jeżeli nie skanalizować to w każdym razie wziąć pod uwagę specyficzne zalety i wady swoich ambarasujących podwładnych — losy świata i wojny nie uległyby żadnej zmianie ale stosunki w Wojsku Polskim w Wielkiej Brytanii byłyby znacznie lepsze, uniknęło by się wielu indywidualnych tragedii i morza rozgoryczenia.

Niestety w wojsku spotykaliśmy przeważnie stupaje, wprawdzie różnych stopni, ale jednakowo tępe, podejrzliwe, chamowate i wrogie. Nie zawsze skutki bywały przykre dla nas. ,,Wy'' — zwrócił się do Karola Zbyszewskiego pewien wyższy oficer WP. na dworcu w Glasgow. — ,,Co tak stoicie. Zanieście moją walizkę do pociągu. Tylko biegiem''.

Workowaty Karol wyprężył się służbiście. ,,Tak jest, Panie Pułkowniku''. Walizkę zaniósł biegiem do pociągu idącego do Aberdeen. Pułkownik jechał do Londynu.

◆

Hotel Rubens jest dużą, pięciopiętrową kamienicą na Buckingham Palace Road w Londynie. Wychodzi ona na wjazd do stajni Pałacu Królewskiego. Przed wojną był on solidną przystanią dla średnio zamożnej burżuazji prowincjonalnej, zjeżdżającej na tydzień czy dwa do Londynu podczas sezonu letniego, anglikańskiego kleru i komiwojażerów. Jako jedyny zabytek z tych spokojnych czasów, za polskiego panowania w hotelu zachował się główny portier Albert. Wegetował on w stanie nieustającej rozpaczy. Zadaniem jego była opieka nad nienaruszalnością ruchomych i nieruchomych dóbr właścicieli hotelu pod polską okupacją. Zabawa w komórki do wynajęcia, w której brały udział wszystkie wydziały, przenoszenie się i przeinstalowywanie biur i gabinetów nie ustawało ani na chwilę i Albert, stale protestujący, siwiał na oczach. Tylko żandarmi ochrony Kwatery koczujący przy wejściu za ladą loży portierskiej i gabinety na pierwszym piętrze od ulicy nie zmieniły swojego pierwotnego przeznaczenia. Na tym bowiem piętrze, na lewo od klatki scho-

dowej, mieścił się pokój szefa sztabu, gen. Klimeckiego, pokój płk. Mikulicz-Radeckiego, który był — o ile pamiętam — attaché wojskowym przy rządzie belgijskim *) i pełnił jakąś bliżej nieokreśloną funkcję przy szefie sztabu, a poza tym, i co najważniejsze był czarującym gentlemanem, zawołanym koniarzem i znawcą sztychów. Dalej siedzieli porucznicy Reychan i Podoski. Obydwaj wyglądali na poprzebieranych w mundury miłych inżynierów, którymi zresztą byli.

Na prawo od schodów, w wielkim narożnym apartamencie mieścił się gabinet generała Sikorskiego, z rzadka tylko zresztą przez niego używany. Od świata zewnętrznego był on z jednej strony odgrodzony pokojem majora Borkowskiego a z drugiej dwoma pokojami generała brygady dr Izydora Modelskiego, gnieżdżącego się w nich ze swoim otoczeniem, czyli jak zwykł był mawiać — ,,sztabem ścisłym''.

Gen. Modelski niewątpliwie zasługuje na szersze omówienie, raczej nawet na studium. Niestety tego ostatniego zadania nie mogę się podjąć nie będąc psychiatrą i muszę poprzestać na omówieniu.

Czy już w ,,Rubensie'' był on podwójnym szpiegiem i prowokatorem, jak to wynika z jego wspomnień z okresu sługiwania u Żymierskiego, ogłoszonych w St. Zjednoczonych **), nie mogę oczywiście niczego powiedzieć. Niewątpliwie jednak nawet wówczas robił wrażenie człowieka nie spełna zmysłów.

,,Sztab ścisły'' Modelskiego składał się z majora K., artylerzysty ciężkiego, ponurego podchorążego o silnie semickim wyglądzie i zmiennego kompletu krewnych i zauszników, zarówno w mundurach jak po cywilnemu.

Funkcje generała Modelskiego w Kwaterze Głównej były raczej natury biernej, wówczas naturalnie, kiedy nie zajmował się intrygami personalnymi, co się nazywało ,,zwalczaniem sanacji''. Dla wzmocnienia prestiżu usiłował też stale przeszmuglowywać pod swoje skrzydła różne mniej ważne przybudówki

---

*) Tygodnik *The New Statesman and Nation*, jadowicie i aż patologicznie wrogi Polsce i Polakom wszelkiego rodzaju, wydrukował podczas wojny kąśliwy artykuł o siedemdziesięciu polskich attaché wojskowych. Nazwał to skandalem. Przesady liczbowej było w tym dużo ale sam znałem sześciu attaché wojskowych w Kwaterze Głównej, którzy poza tym piastowali tam inne stanowiska. Nie wiem czy pobierali z tytułu attachowania jakieś dodatki funkcyjne.

**) *Exposing Stalin's Spies in America* by Lt. General Izydor Modelski, Former Military Attache of the Polish Embassy — ,,The National Police Gazette'' vol. 157, No, No 3 & 4, March and April 1952. Autor pisze w nim : ,,I was no ordinary Red agent. I was high in the Stalin espionage network''. Po czym opisuje jak po nominacji na attaché szybko pobiegł do angielskiej i amerykańskiej ambasady w Warszawie, jak owocnie służył w Waszyngtonie przez dłuższy czas, jak uniemożliwił pożyczkę amerykańską dla rządu warszawskiego, jak zdemaskował Alefa-Bolkowiaka. Nie pisze oczywiście ani słowa dlaczego Żymierski i jego mocodawcy posłali właśnie jego do Waszyngtonu i jakim sposobem, i po co, znalazł się w Warszawie.

Sztabu, do których, niestety, należało Biuro majora Bogusławskiego, przechrzczone na Wojskowe Biuro Propagandy i Oświaty. Zmiana pociągnęła za sobą zmianę zwierzchnika i major Bogusławski wkrótce potem został przeniesiony do siedziby rządu, tzw. Strattonu, w charakterze łącznika Kwatery Głównej przy Ministerstwie Informacji i Dokumentacji, o którym tak wnikliwie pisze Hemar w „Marchewce".

Istniały oczywiście różne tabele rozdzielcze funkcji i zakresu działania ale cokolwiek by na nich nie figurowało głównym zadaniem Modelskiego było trwanie w wierności i oddaniu Generałowi Sikorskiemu, i jako Naczelnemu Wodzowi i personalnie. Nie wiem czy naturalna uczuciowość, czy długa praktyka, czy przebyte cierpienia sprawiały, iż ilekroć wspominał, nawet pośrednio, nazwisko albo urząd Generała Sikorskiego, jego jasno błękitne, wodniste i wyłupiaste oczy zamazywały się nieodmiennie męsko wstrzymywanymi łzami. Poza tymi okolicznościami wyrażały one podejrzliwą, nadsłuchującą czujność i chytro a porozumiewawczo uśmiechały się bez wyraźnego po temu powodu. Olbrzymie odstające uszy w połączeniu z wyłysiałym czołem i siwiejącymi włosami robiły wrażenie niepokojące. Czasami oczy gen. Modelskiego stawały w słup a on sam, nieomal pieniąc się, piszczał przeraźliwie. Następowało to o ile rozmowa w jego obecności czy przy jego udziale zaczepiała o Marszałka Piłsudskiego, Legiony, Legionistów, Pierwszą Brygadę i sanację.

Pewnego wieczora musiałem odnieść jakieś papiery do mieszkania Modelskiego na Sloane Street. Kolejny nalot niemiecki osiągnął właśnie najwyższe natężenie i Luftwaffe waliło w samo śródmieście Londynu, dookoła Hyde Parku. Byłem tym bardzo nieprzyjemnie poruszony i idąc po schodach na górę powtarzałem półgłosem formułę zameldowania się : nie chciałem, żeby głos mi się załamał ze strachu, a wystraszony byłem mocno. Właśnie grzmotnęło gdzieś bardzo blisko. Okazało się potem, że w róg Piccadilly. Generał otworzył drzwi osobiście. Ubrany był w liliowe szarawary od piżamy i kurtkę generalskiego munduru, z brzękającymi krzyżami „Virtuti Militari" i „Walecznych". Na nogach miał futrzane pantofle. Był rozczochrany ale uprzejmy. Rzuciwszy okiem na przyniesione akta i na mnie, zaproponował, żebym zaszedł i napił się czegoś gorącego. Na ulicy kotłowało się. Artyleria przeciwlotnicza grzała ze wszystkich dział w parku, o kilkaset yardów odległym zaledwie, i wydawało się, iż Niemcy tego wieczora usiłują ją specjalnie zniszczyć. Generał był zupełnie nieczuły na pandemonium. Rozmowa zeszła trafem na pocztę i telegraf. Wyraz nadsłuchującej czujności zamroził mu uprzejmy dotąd wyraz twarzy. Uśmiech znikł.

— A, tak. Poczta. To mi przypomina Boernera. Panie, to przecież był nikczemnik. Pamiętam go ze Lwowa. Spotkałem po raz pierwszy w 1912-tym roku. Skompromitował się wówczas doszczętnie.

Głos przeszedł w krechcenie mechanicznego śmiechu, przypominał terkocący budzik pod poduszką.

— Nikczemnik. Wszyscy oni nikczemnicy. Ojczyznę zgubili. Sanacja...

Dalej nie mogłem dokładnie zrozumieć o co chodziło. Urywane strzępy nieznanych mi wspomnień; klątwy, pokrzykiwania. Jak się zdaje dotyczyło to jakiegoś zebrania strzeleckiego czy ,,drużyniackiego'' studentów lwowskich. W pewnej chwili Modelski zaczął chrypieć, po czym zsiniał na twarzy, zesztywniał i upadł na podłogę wywracając krzesło, na którym siedział. Na ten odgłos we drzwiach prowadzących do dalszych pokoi ukazała się kobieca głowa, która krzyknęła :

— Ach, Izydor, oni ciebie męczą.

Drzwi się otworzyły i kobieta w szlafroku przypadła do leżącego.

— Panie — krzyknęła klęcząca dama w szlafroku — niech pan przyniesie szklankę wody.

Upłynęła dłuższa chwila zanim zorientowałem się o co chodzi. Byłem tak zaskoczony nieprzewidzianym zakończeniem rozmowy, iż zapomniałem i o bombardowaniu i o niedopitym kieliszku koniaku, który trzymałem w ręku. Nie zdążyłem przynieść szklanki wody. W parę minut później w pokoju pełno było akolitów generała, cywilnych i wojskowych. Wobec tego wyniosłem się niepostrzeżenie.

◆

Izydor Modelski był niecierpiany w ,,Rubensie'' gruntownie, wszechstronnie i solidarnie. Niecierpieli go wszyscy oficerowie, zarówno zawodowi jak rezerwy, ,,Piłsudczycy'' jak ,,Sikorszczycy''. I w służbie i poza służbą był w gruncie rzeczy bojkotowany przez całą Kwaterę Główną. Nie wiem jakie były powody tego stosunku, poza intryganckim, mściwym i jak się mówiło na Białejrusi, ,,wrednym'' charakterem wice-ministra, oczywistym dla każdego. Zresztą na własnym karku, jako podchorąży czy podporucznik nigdy go nie odczułem. Gen. Modelski — o ile mnie pamięć nie myli — dowodził 30-tym pułkiem piechoty na Cytadeli Warszawskiej podczas zamachu majowego. Podobno zbłaźnił się zupełnie i został przeniesiony w stan spoczynku. Potem sprzedawał gipsowe popiersia bohaterów narodowych i ,,był prześladowany przez sanację''.

O tym ostatnim fakcie dowiedziałem się, dziwnym zbiegiem okoliczności, za lat młodości w Wilnie od jego bratanic, trzech wyjątkowo przystojnych panien Modelskich, córek brata generała, profesora historii Uniwersytetu Stefana Batorego a potem Jana Kazimierza. Za rządów ,,pułkownikowskich'' Izydor Modelski wieszał się klamki generała Sikorskiego i żerował na jego wyjątkowo dobrym sercu, co, uwzględniwszy wszelkie inne arcy-polskie cechy charakteru, było piętą Achillesową Na-

czelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych, urzędującego w Wielkiej Brytanii.

W ,,Rubensie'' Modelski ,,dowodził'' właściwie tylko Biurem Propagandy i Oświaty. Po odejściu majora Bogusławskiego utraciło ono w znacznej mierze miłą atmosferę klubu. Przybyło za to personelu i sprawności : Marian Walentynowicz, krechowiecki ułan i karykaturzysta, por. Z. Socha, kpt. Stojek, śp. kpt. Sadowski, sekretarki, z panną Lalą Święcicką na czele, pracownicy administracyjni i podchorążowie, których nazwisk poza Wojtkiem Meyerem i Tadziem Lipskim, rzeźbiarzem w kartonie, nie pamiętam. Wczesną wiosną 1941-go roku pojawił się Stanisław Strumpf-Wojtkiewicz, rotmistrz, niestety, Pułku Ułanów Krechowieckich. Znałem go poprzednio; przez kilka tygodni dowodził moją kompanią w Coëtquidan. Został stamtąd wyrzucony za burdy i ,,sprawy honorowe'' z podkomendnymi z tzw. cenzusem.

E. Ligocki, fullblut ,,morżowy'', nigdy nie należał do londyńskiego Wojskowego Biura Propagandy i Oświaty. Moje dzieciństwo upłynęło pod jego urokiem. Do dziś dnia pamiętam, niemal dosłownie ,,Sambrę i Mozę'' i tych angielskich oficerów — mój Boże — oddających wygraną w karty na Czerwony Krzyż i króla Alberta nad kanałem we Flandrii a nade wszystko kota, Pana Bazylego. Pamiętam dziś, w Centralnej Afryce, iż Pan Bazyli gustował w cielęcych płucach. Pamiętam również ,,Gdyby pod Radzyminem'' i pamiętam dalszy ciąg raczej pastiche ,,Pana Tadeusza'' drukowany swojego czasu w ,,Kurierze Warszawskim''.

Książki Ligockiego, podobnie jak książki zapomnianego dziś alkoholika Jerzego Bandrowskiego posiadały dla mnie autentyczny smak i urok Pierwszej Wojny Światowej.

Trochę się wstydziłem, iż tak bardzo chciałem Ligockiego poznać osobiście. Major Bogusławski na tę intencję zaprosił mnie na śniadanie. Rozczarowanie było jednym z ostrzejszych jakie przeżyłem w życiu. Nie o to chodziło, że zobaczyłem przed sobą starego, poszarzałego i zmiętego człowieka, w zbyt obszernym z angielska ułańskim mundurze. Ligocki pił głębszą wódkę, którą mu w lansadach podawał p. Mrówczyński, kierownik kasyna w ,,Rubensie'' (też swoiście historyczna postać) podnosząc kieliszek drżącą ręką, marszcząc jednocześnie brwi, żeby utrzymać monokl w oku. Nie o to chodziło. Chodziło o coś bardziej nieuchwytnego — o ogólną atmosferę. Nie mogłem zrozumieć jak, nawet trzydzieści lat wcześniej, człowiek ten mógł napisać ,,Historię o Panu Bazylim''. Przede mną siedział zrzędliwy ramol, zajęty wyłącznie sobą i, ot, chociażby kieliszkiem wódki, który trzymał w ręku, z pominięciem reszty wszechświata. Mimo iż był, czy raczej musiał być w łaskach morżowej epoki, powodzenie wyrażało się w pełnych uszczypliwości, nienawistnych przycinkach wobec każdego, w jakichś bzdurnych opowiadaniach o świeżo odkrytych koligacjach ze szkocką rodziną

nazwiskiem Elgon. Wynikało iż jeden z Elgonów i Ligocki albo wzajemnie siebie adoptowali, czy coś w tym rodzaju, albo lali wodę przez szable albo ,,wysysali sobie krew nawzajem z serdecznego palca lewej ręki''. W każdym razie podczas wojny Ligocki zaczął podpisywać się Elgon-Ligocki. Pewnego wieczora, podczas średnio-ciężkiego nalotu major Bogusławski znalazł go pod balkonem na jednej z zacisznych ulic w okolicy Belgrave Square. Ligocki wpatrywał się jak urzeczony w kolorowe i promieniste girlandy oświetlających rac, jakie rzucali Niemcy, w nizane jak czerwone korale serie przeciwlotniczej artylerii i trząsł się ze strachu.

— Co ty tu robisz? — zapytał go major Bogusławski.

Dopiero po dłuższej chwili słowa te doszły do świadomości walecznego ongiś kawalerzysty.

— A bo widzisz, tu jest przykrycie od odłamków...

— No, to chodź do domu. Co będziesz tutaj wystawał.

— Kiedy nie mogę się ruszyć...

Major Bogusławski zostawił go na ulicy.

Conocne naloty na Londyn nie dadzą się porównać ani z okropieństwami zniszczenia Warszawy ani z porządną bitwą. Rzeczywiście przykre ataki jak 7-go września 1940 roku na doki, 31-go grudnia na City, i kilka na wiosnę 1941-go roku były wyjątkami.

Tym niemniej nękające odwiedziny niemieckich bombowców były bardzo nieprzyjemne. Najgorszym aspektem ich była nieuchronność i regularność. W ciągu dnia urzędowano, konferowano, pracowano i flirtowano oraz zbawiano Ojczyznę na odległość i przez radio. O zmroku wyły syreny i rozpoczynały się akustyczne efekty artylerii, bomb i silników samolotowych, które ustawały dopiero nad ranem. ,,Blitz'' londyński miał w sobie coś z atmosfery epidemii o której pisze Camus. Wszyscy ci, którzy musieli siedzieć w mieście wiedzieli z doświadczenia, iż szanse oberwania czegoś są względnie niewielkie. Tym niemniej były one realne. Żadna logiczna argumentacja nie potrafiła wyeliminować skurczu żołądka, kiedy hałasy na zewnątrz stawały się tak bezpośrednie, że aż dotykalne. No i od czasu do czasu zdarzało się wyciągać pokiereszowane trupy i rannych z zawalonych domów i przyduszonych schronów. Jeszcze cywilnych ofiar wojny nie liczono wówczas na miliony i robiło to duże wrażenie. Nieuniknioną przeciwwagą była brawura w podziemnej restauracji Kempińskiego na Piccadilly. Rzeczywiście niczego się tam z ulicy nie słyszało. Zasługa w tym była śpiewaka-pianisty ,,maison'' o niezwykle silnym, ochrypłym barytonie.

,,Blitz'' działał mniej więcej tak samo na wszystkich. Nieliczne wyjątki tylko, jak T. A. Lutosławski czy pani Teresa Jeleńska, były nań zupełnie nieczułe. Podobnie w wojsku, absolutna odwaga fizyczna jest niezwykle rzadkim i cennym zjawis-

kiem. Osobiście znałem tylko jeden jej przykład, nie obliczony na efekt zewnętrzny i niepodmurowany histerią czy neurastenią. Był nim śp. Adolf Bocheński. Zresztą Adolf był wyjątkiem od ogólnie przyjętych reguł nie tylko pod tym względem. Zdawał sobie z tego sprawę. Zwykł był mawiać : ,,Mój dhrogi, ehrudycja pohżarła we mnie inteligencję'' i wygłaszać inne podobnie niesprawiedliwe samosądy. Tym niemniej zwykłe cechy ludzkie były w nim zamieszane w innej proporcji aniżeli u reszty śmiertelników. Był on ,,obok-człowiekiem'' raczej aniżeli geniuszem. Olbrzymie talenty i zasób wiedzy łączyły się nieoczekiwanie z dziwnymi uproszczeniami, zaskokami umysłowymi i białymi plamami. Szlachetność charakteru i franciszkańska czy wincentyńska zgoła uczynność z dziecinnym plotkarstwem i śmiesznymi złośliwościami. Za to nie było wątpliwości co do jego odwagi fizycznej i cywilnej. Obie były ponad wszelki osąd i pochwałę. On raczej a nie setki ,,wodzów'' Drugiej Wojny Światowej zasługuje na wszechstronną biografię, oczywiście niekoturnową. Oby jej się doczekał.

Skądinąd wyjątki tylko bez cienia wstydliwości przyznawały się w Londynie do paniki na odgłos alarmu i układały o sobie wierszyki w stylu :

,,Noc nadchodzi; ja truchleję''

Znakomita większość wojskowych i cywilnych oscylowała pomiędzy momentami bohaterskiej zimnej krwi i starannie ukrywanymi na wszelkie sposoby chwilami załamania. Odwalano robotę codzienną i nocną, a od zmroku do świtu radzono sobie jak się dało. Płacono słony czynsz za obskurne pokoje w dużych blokach mieszkaniowych, które uchodziły za bezpieczne, kładzono się spać pod stołem i wymyślano bezpieczne punkty w mieszkaniach np. pod schodami, co było nonsensem szczególnie rozpowszechnionym.

Osobiście do ,,Blitzu'' ani rusz nie mogłem przyzwyczaić się. Raczej wprost przeciwnie. Przez pierwszych kilka miesięcy mogłem zasnąć jeżeli tylko zdołałem rozebrać się w przerwie kilkunastominutowej pomiędzy poszczególnymi falami niemieckich nalotów. Jakoś w końcu listopada niewypał ciężkiej bomby o kilkanaście metrów, wydmuchnął mnie z łóżka bez żadnych zresztą przykrych konsekwencji. Kołdra została pocięta we frendzle przez szkło sąsiednich okien. Odtąd przeważnie grywałem w bridge'a wieczorami w podziemnej sali balowej Park Lane Hotel.

W schronie hotelowym otuchy dodawał przede wszystkim skład towarzystwa. Wszyscy udawali, iż znaleźli się tam przypadkiem — należało to do dobrego tonu. Następną konwencją było zaabsorbowanie grą. Widywało się w Park Lane Hotel (bardzo taniej instytucji wówczas, pokój ze śniadaniem kosztował około trzech funtów tygodniowo) wyorderowanych genera-

łów i pilotów z Battle of Britain z wysokimi i autentycznymi odznaczeniami bojowymi i oficerów marynarki wojennej.

Zachowanie się w nagłym a niespodziewanym niebezpieczeństwie jest zawsze wypadkową nieprzewidzianych czynników. Pewnego wieczoru grałem w bridge'a z Waciem Zbyszewskim, pewnym generałem WP i jego żoną. Przegrywaliśmy z Waciem bardzo ciężko. Nareszcie karta odwróciła się. W tej chwili garaż hotelowy został trafiony półtonową bombą. Generałowstwo zzielenieli; mnie odebrało głos. Wacio tymczasem zalicytował spokojnie dwa bez atu na pierwszym ręku. Generałowa spasowała na migi a ja milczałem nie mogąc odróżnić dwójki pikowej od asa, na co Wacio zirytowanym tonem zwrócił się do mnie :

— Możebyś wziął udział w licytacji. Gramy o pieniądze. Spojrzyj na zapis.



Marian Walentynowicz, ciągle jeszcze wachmistrz-podchorąży mimo przekroczonej pięćdziesiątki i Krzyża Walecznych z ,,tamtej'' wojny, został przydzielony do Biura Propagandy w listopadzie 1940-go roku. Wkrótce potem doszlusowała Fala Lwowska. Jej niewielkiego wzrostu i pękaci bohaterowie o zdecydowanie południowym typie urody męskiej byli błogosławieństwem niebios i ówczesnej sytuacji. Kilkanaście tysięcy Polaków w mundurach tkwiło bezczynnie w Szkocji. Znajomość angielskiego wśród nich równała się zeru. Lało prawie bez przerwy. Do romantycznych powiązań z tubyłkami jeszcze nie doszło, chociaż wobec dostania się do niewoli dwóch szkockich dywizji, pod Mont St. Valery i na Malajach było to nieuchronnym przeznaczeniem. Tymczasem wojsko polskie w północnym królestwie było zdemoralizowane bezczynnością, znudzone i wydane na łup różnorodnych ,,sztabów wielkich jednostek'' wśród których rej wodził wspomniany już płk. ,,Klipa'' Bogorja-Zakrzewski, jedna z bardziej złowieszczych postaci polskiej emigracji wojennej po wrześniu, jaką spotkałem. Nie mam żadnej skali porównawczej do wypowiadania ogólnie przyjętych łatwizn na temat poziomu polskiej kasty oficerskiej. Wedle tych założeń najlepszy element spośród niej pozostał w kraju, został zmasakrowany w Katyniu, zaginął itd. Jakby nie było w Szkocji, ,,Klipę'' i podobnych jemu dowódców cechowała przede wszystkim nieoczekiwana głupota. Ludzie ci, aż przejrzali wiekiem w 1940-tym roku, przez ćwierć wieku przynajmniej zajmowali wysokie stanowiska w hierarchii wojskowej i cywilnej. Pokończyli jakieś kursa, studia i szkoły, a co najważniejsze, mieli pod swoimi rozkazami tysiące ludzi. W wielu wypadkach chlubili się, zasłużenie, piękną przeszłością bojową a nade wszystko musieli się stykać i obcować z najróżniejszymi odmianami ludzkimi. Zdawało by się, iż przeszłość tego rodzaju daje duże wyrobienie, mądrość życiową a nade wszystko życzliwość wobec podwładnych.

Pewien balast intelektualny należało by też założyć. Rzeczywistość przedstawiała się wprost przeciwnie. Zresztą nie tylko w Szkocji. Na małej stacyjce w Bretanii zdarzyło mi się raz usłyszeć monolog gen. Szyszki-Bohusza wygłoszony ku zbudowania otoczenia na tematy ogólne i astronomii. Było późno w nocy, wyjątkowo przejrzyste niebo i konstelacje błyszczały jak zapalone żyrandole. Generał stał dekoracyjnie udrapowany w podhalański płaszcz w niebieskawym świetle latarki i głośno rozważał, że to jednak ilość gwiazd jest olbrzymia, tysiące lat świetlnych i w ogóle, że życie jest krótkie ale gwiazdy są wieczne itd. itd. Ot, tak, na poziomie pogadanek jakiegoś Burdeckiego. W Szkocji było znacznie gorzej. W ówczesnych warunkach najważniejszym zadaniem było utrzymanie morale, czy też jego odrodzenie po dwukrotnej klęsce; zapoznanie na kursach specjalistów z nowoczesną bronią, kształcenie się w zawodach, przedwojennych czy nowoobranych, tak długo przynajmniej jak wojna znajdowała się w stanie odczekiwania. Politykę tego rodzaju z dużym powodzeniem stosowali nie tylko Czesi ale i wszyscy inni Alianci, przycupnięci na Wyspach. W Wojsku Polskim dowództwo weszło na tę drogę dobrych parę lat później, kiedy młodzi oficerowie mieli już i czas i okazję dość skutecznie zdemoralizować się. W końcu 1942-go roku werbowano ochotników w Oficerskich Brygadach do obsad pociągów pancernych w południowej Anglii. Służba była mało pociągająca ale w każdym razie nieco frontowa i przy pewnym wysiłku można było przy tej okazji i dużo zrobić i dużo nauczyć się. Do Kinghorn, w hrabstwie Fyfe, miejsca zakwaterowania jednego z oficerskich batalionów przyjechał major Szystowski, z Broni Pancernej, poszukując kandydatów. Urządzono zebranie ogólne. Major wygłosił przemówienie uzasadniające. W odpowiedzi jeden z podporuczników wstał z miejsca i poinformował obecnych, iż nazywa się Pryszczyk, iż dziąsła mu gniją i że ani mu się śni gdziekolwiek sługiwać na froncie. Sala podtrzymała mówcę postękiem zrozumienia i sympatii. Oczywiście dochodzenia o defetyzm i potencjalną dezercję nie było i w kilka lat po wojnie dowiedziałem się, iż ppor. Pryszczyk, syt wczasów szkockich, jako jeden z ostatnich, pojechał do Polski Bieruta.

Większość wyższych szarż składała się w oficerskich formacjach albo z niedźwiedziowatych mruków, bez innych zainteresowań poza sylabizowaniem ,,Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza'' od deski do deski, kartami i robieniem oszczędności, albo z upadłych wodzów, pewnych siebie, wiecznie obrażonych i snujących rozważania filozoficzno-polityczno-społeczne o swoistym i wstrząsającym wdzięku jeżeli się pamiętało, iż autorzy ich, na różnych szczeblach odpowiedzialności, kierowali jednak losami trzydziesto-paro milionowego państwa. Siadywałem często w klubie oficerskim w Dunfermline i przysłuchiwałem się homeryckim bojom tamecznego kapelana O. Inocentego Bocheńskiego z eks-starostami i eks-dowódcami pułków, których każde zda-

nie nieomal nadawało by się do rycia w marmurach ale nie na pomniku chwały. O. Inocenty nie rzadko i całkiem nie po dominikańsku, tracił panowanie nad sobą. Doskonałe biblioteki publiczne należą do chlubnych tradycji prowincjonalnych miast Szkocji. Nie wiem czy nawet tak wspaniałe księgozbiory jak biblioteka miejska w Dundee czy Fundacja Carnegie w Dunfermline miały więcej niż biblijnych dziesięciu sprawiedliwych oficerów WP, w stopniu od majora w górę jako stałych klientów przez całą wojnę. W karty za to rżnięto bez przerwy. I żeby chociaż w bridge'a. Grywano przeważnie w uproszczoną formę ginrummy czyli w klipę. Ekskluzywność nie istniała. Osiwiali majorowie i kapitanowie ogrywali z zimną krwią poruczników i podporuczników z ich ostatnich groszy. Jeden z omszałych podpułkowników ukuł nawet powiedzonko na ten temat : twierdził, iż najchętniej grałby z lustrem, gdyby lustro płaciło.

•

Przeciętny Polak około czterdziestki nie należy do najpiękniejszych przedstawicieli rasy indo-europejskiej. Niewysoki wzrost, gruby kark, szerokie siedzenie, kwadratowa, płaska twarz i kaczy nos są raczej regułą aniżeli wyjątkiem. Jedynie generałowie przedwojenni przeważnie odcinali się od swoich sztabów zarówno urodą jak dbałością o wygląd zewnętrzny. Aż czasami trudno było oprzeć się smutnej refleksji, iż musiały to być jedne z ważniejszych kryteriów ich doboru.

Arystokracja polska, jako pod-grupa antropologiczna, wyjątkowo przystojna, w męskiej swojej części przynajmniej, była niestety zbyt nieliczna, żeby zmienić ogólny przygnębiający obraz. W Wielkiej Brytanii należało jeszcze dodać do tego, w pierwszym okresie, niechlujstwo fantazyjnie zindywidualizowanych mundurów. Kiedy patrzyło się na te pasy francuskie ledwo dopinające się nad brzuchami, te zołnierskie, darmowe płaszcze, przez oszczędność poprzerabiane u wojskowych krawców, te zasmolone i toporne berety, z orzełkami, gwiazdkami i pałeczkami, komiśne buty do wyjściowych mundurów i kiedy z drugiej strony przypominało się jak przed wojną cała prasa lewicowa na świecie grzmiała na ,,polskich landlordów'' rządzących armią i krajem to litość brała i śmiać się chciało i było bardzo wstyd.

Oficerowie młodsi wiekiem i stopniem wyglądali lepiej wprawdzie, ale małomiasteczkowy szyk unicestwiał najczęściej chwalebny efekt czystych mundurów i wyczyszczonych butów. Ich siatki do włosów, nie wiem dlaczego, były wśród tubylców awersją pierwszego rzędu.

W życiu codziennym opowiadania ,,o głupich Anglikach'' zaczynały nabierać charakteru sygnaturki. Z drugiej strony obrzydzenie brało na widok starszych generałów i pułkowników zginających się w przesadnej uprzejmości przed brytyjskimi oficerami łącznikowymi, przeważnie młodymi kapitanami i porucznikami. Zabawnym zbiegiem okoliczności spośród tych podska-

kiewiczów wyszli najpierwsi i najhałaśliwsi powracacze do armii Żymierskiego, jak generałowie Boruta-Spiechowicz, Kossakowski, O.B.E. *), Cepa, też O.B.E., Paszkiewicz, ,,Klipa'' Zakrzewski i tylu innych obmierzłych staruchów. I znów nie sam fakt powrotu ale motywy jego i głupota powracaczy były najbardziej zastanawiające. U pojedyńczych jednostek kompleks Wallenroda mógł działać. Ale większość starszych oficerów, która z takim entuzjazmem polazła w 1945 roku do Polski całować juchtowy but sowiecki znać musiała Rosję — wielu z nich rozpoczęło służbę jeszcze w carskiej armii — i rewolucję 1917-go roku, i wojnę w Rosji i wojnę polsko-rosyjską 1920-go roku. Przecież nie mogli oni łudzić się na serio, a uczucia rodzinne chyba — sądząc z gazet szkockich — nie zawsze wchodziły w grę. Odpowiedzialność ich za powrót jest znacznie większa aniżeli odpowiedzialność osób w rodzaju Utnika, czy Mossora albo Kuropieski, oficerów młodszych wiekiem, często wychodzących z obozów jenieckich, obciążonych czasami poczuciem krzywdy społecznej, nie mówiących po rosyjsku i nie znających Rosji z osobistego doświadczenia. Sądzę, iż dziś nie ulega wątpliwości jak dalece zdrada poważnego odsetka oficerów ,,Rubensa'' była potężnym argumentem dla przekonania chwiejnych w rządach i opinii publicznej Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych znajdujących się pod obstrzałem różnorodnych Hissów, po Jałcie — o konieczności kompromisu w Polsce. Brytyjskiemu dowództwu i nieboszczykowi Bevinowi służyła ona za liść figowy ogromnych rozmiarów.

Wszystko to było jeszcze złożone w podołku bogów, kiedy w zimie 1940/41 roku Wojskowe Biuro Propagandy i Oświaty musiało organizować świetlice, wydawać czasopisma, wyczarowywać kursy języka angielskiego i przedstawienia teatralne, stawać na głowie nieomalże byle tylko jakoś polskich wojskowych zająć i zabawić. Kamieniem u szyi nowego szefa biura, majora Morbitzera był znowuż Modelski. Zadanie Szefa Biura byłoby nad wyraz ciężkie nawet przy pełnym poparciu wszystkich jednostek w terenie i całego sztabu. Tymczasem i sztab i teren wyraźnie oświadczały, iż tak długo jak Biuro Propagandy i Oświaty jest pod skrzydłami Modelskiego o współpracy nie ma mowy. Zdawało by się, iż najlepszym wyjściem byłoby usunięcie kości niezgody na, powiedzmy, jedno z niezliczonych symbolicznych raczej, polityczno-wojskowych stanowisk. Tu jednakże powstawały trudności. Modelski trzymał się przy Kwaterze Głównej dzięki sprytnie pomyślanemu i bardzo skutecznemu szantażowi. Cech przestępstwa kryminalnego proceder ten wprawdzie nie posiadał ale kantem był, i to pierwszej wody. Chytry wice-minister żerował po prostu na dobroci serca Gen. Sikorskiego, jego

*) Order of The British Empire. To średnio wysokie odznaczenie uzyskało wielu wyższych oficerów polskich w W. Brytanii.

aż nazbyt ludzkich i ujmujących cechach charakteru, na jego lojalności i wierności. Od kuchennej strony Kwatery Naczelnego Wodza wydawało się iż nieomal każdy łobuz mógł w Generała wmówić każdą bzdurę, jaką albo łobuz albo jego mocodawcy chcieli, jeżeli tenże łobuz mógł poszczycić się przeniesieniem go w wojsku w stan spoczynku po 1926-tym roku, albo że go Beck wyrzucił z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, obojętne z jakiego powodu. Jeżeli jeszcze dochodził tu akt uwielbienia Paderewskiego, zaświadczony przez Strakacza, i polityczna działalność opozycyjna w latach 1926-1939 facet posiadał wobec Generała Sikorskiego większe uprawnienia aniżeli ongiś kawalerowie Złotego Runa posiadali wobec Cesarza Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. „Żelazni Sikorszczycy" nie tylko mogli atakować Generała, w oczy, za jego kompromisowość i łagodność wobec sanacyjnych generałów i urzędników ale zgoła inspirowali cały szereg posunięć powołując się na wierność. Modelskiego Generał Sikorski chciał wyrzucić kilkakrotnie w ciągu pierwszego roku funkcjonowania „Rubensa". Za każdym razem jednak chwalebne to postanowienie spełzało na niczym. Modelski meldował się u Generała w przedddzień fatalnej daty, przy pałaszu, sięgającym mu prawie pod brodę, w białych zamszowych rękawiczkach i trzymając olbrzymich rozmiarów sztywną czapkę generalską pod pachą. Wice-minister zaczynał beczeć już w poczekalni. Raport trwał za każdym razem około pół godziny, Modelski ronił łzy jak fontanna i użalał się, iż „Dwójka" chce go zniszczyć za jego wierność morżową i w ogóle. Generał Sikorski cierpiał na bardzo wyraźny uraz na punkcie Drugiego Oddziału i Modelski rozpromieniony wracał do biura na dalsze urzędowanie. Akolici promienieli podobnież i z uśmieszkami wtajemniczonych opowiadali sobie, iż i tym razem Klimecki czy Borkowski czy ktoś inny dostali fintę i że Generał kocha Izia. Nie wiem jakie były, po moim opuszczeniu „Rubensa", dalsze oficjalne losy i przydziały gen. bryg. dr I. Modelskiego. Podobno był jednym z petentów do War Office (Brytyjskiego Ministerstwa Wojny) o oddanie Wojska Polskiego w Wielkiej Brytanii pod rozkazy Żymierskiego. Sowiecki pełnomocnik, Walter-Świerczewski, ustrzelony parę lat temu albo przez Ukraińców albo przez MWD, jechał już, by objąć Naczelne Dowództwo Polskich Sił Zbrojnych na Wyspach Brytyjskich latem 1945-go roku. Pomimo Jałty Anglicy go nie wpuścili do Anglii i Walter z Berlina wrócił do Warszawy. Modelski doszlusował tamże. W swoich wspomnieniach w „Police Gazette" wspomina o tym półgębkiem.

Wspomniałem już, iż na oko, najsłabszą stroną Generała Sikorskiego była jego uczuciowość. Zupełnie wierzę, iż „Dwójka" musiała mu obrzydzić życie podczas jego półwygnania i niełaski w Paryżu. Si parva magnibus compare licet widziałem z bliska dosyć przedstawicieli tej organizacji, żeby dać temu wiarę bez zastrzeżeń i dalszych dowodów prawdy. Ale u Generała Si-

korskiego uraz pozostał i działał nawet wówczas, kiedy, jako Naczelny Wódz, był jej bezapelacyjnym zwierzchnikiem.

Uczuciowość Generała wykwitała w najdziwniejszych formach. W Londynie np. jego nieprzeciętna inteligencja i poczucie odpowiedzialności były oczywiste nawet dla najdalszego sierżanta w ,,Rubensie''. I mimo to potrafił on kłócić się z zecerem, odmawiać czytania przykrych raportów dlatego tylko, że go denerwowały, złościć się na fotografa o niedość efektowny profil swojego portretu i dawać się naciągać ,,na autorytet'' przez ciemne figury tak ze swojego otoczenia jak i dochodzące i to zarówno w sprawach o historycznym znaczeniu jak i w drobnych kłótniach w sekretariacie czy w ,,Rubensie''. Figury te w znacznej ilości ujawniały się jako pełni, pół- i ćwierć-agenci sowieccy po Jałcie.

Anglicy wodzili Gen. Sikorskiego za nos bardzo skutecznie, ale tego rodzaju sytuacja, w danym wypadku, nie przynosiła mu ujmy osobistej. Stosunek gen. Sikorskiego tak wobec Francji jak wobec Wielkiej Brytanii był rycerską i szczerą przyjaźnią, wynikającą z głębszych i szlachetniejszych pobudek aniżeli wielkowschodnie powiązania. Inna sprawa iż, sądząc z powojennych wspomnień, ani Francuzi ani Anglicy do Gen. Sikorskiego większej wagi nigdy nie przywiązywali i szczerości jego uczuć ani nie dostrzegali ani nie cenili. Dla nas, niezauważalnego podglebia Kwatery Głównej, pokątnych podchorążych, żandarmów, personelu administracyjnego, podoficerów łączności, generał Sikorski był ideałem uprzejmości i życzliwości. Był on jedynym generałem WP. jakiego kiedykolwiek spotkałem, który potrafił salutującemu podoficerowi w ciemnym korytarzu rzucić nic nieznaczący i jakże ważny pół-żart, pół-uwagę, bez oglądania się na potomność.

Przy całym umiłowaniu zewnętrznych efektów Generał Sikorski nie cierpiał kiedy go windowano na piedestał legendy. W tej dziedzinie otoczenie jego działało nieśmiało i wyłącznie na własną rękę. Inspiracja wychodziła tu w pierwszej mierze od Modelskiego a w drugiej, mniejszej, od majorów Borkowskiego i Ottona Laskowskiego. Ten doskonały historyk wojskowości polskiej, podobno, wydał w Londynie, po angielsku, ,,broszurę propagandową'' oczywiście nie własnym kosztem, o bitwie pod Grunwaldem. Propaganda była nieoczekiwana w skutku : broszura została omówiona w rubryce ,,Believe it or Not'' w kilku dziennikach londyńskich. Wysiłki mitomanów znajdowały swój wyraz najczęściej na szpaltach ,,Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza'', gdzie ich waga gatunkowa równała się zeru. Major Laskowski zachodził poza tym dość często do Biura Propagandy na trzecim piętrze ,,Rubensa'' i rzucał myśli do rozpracowania : że Generał Sikorski to właściwie Polska w danej chwili, symbol, panie podchorąży, że Churchill i Roosevelt wiszą mu u ust, ,,z ręki jedzą'', że kiedy Generał przemawiał na Soldiers' Field w Chicago słuchało go 40-ci tysięcy itp. Po wyj-

ściu majora powiedziałem, iż kiedy Sally Rand pokazywała się goło na tymże Soldiers' Field z dwoma wachlarzami, przyglądało się jej przynajmniej dwa razy tyle osób. Gdyby Gen. Sikorski wystąpił w dolnej bieliźnie zebrało by się chyba ze sto tysięcy entuzjastów sprawy polskiej, by go oglądać. Dowcip był mało wybredny ale chyba nie, jak to się mawiało, destrukcyjny. Mówiąc go, nie wziąłem pod uwagę obecności w pokoju Strumpf-Wojtkiewicza. Od pewnego czasu rotmistrz znajdował się w stanie chronicznego, jak się później przekonałem, urazu wobec ludzkości a szczególnie wobec tej jej części, która ani rusz nie dostrzegała znamion geniuszu w osobie Stanisława Strumpf-Wojtkiewicza : zawodowi oficerowie dusili jego inicjatywę, nie pozwolono mu, wybitnemu dziennikarzowi, na zwiedzenie Northolt, bazy myśliwców obrony Londynu. Marian Walentynowicz narysował jego karykaturę z krzywymi nogami : Strumpf przesiadywał godzinami na skargach u Modelskiego. Przy tym wszystkim nie był on pozbawiony przynajmniej odwagi osobistej. Pływał na łodziach podwodnych w akcji i na kontrtorpedowcach podczas konwojów do Murmańska i jako jeden z pierwszych wystarał się o przydział do Armii Polskiej w ZSSR. Na tamtym też terenie jego chorobliwa ambicja musiała popchnąć go, w objęcia jeżeli nie MWD, to co najmniej szajki patriotów Wandy Wasilewskiej. Po paru miesiącach w Rosji wrócił do Londynu pieniąc się na ,,Andersowców'' i tych wszystkich, którzy jego zdaniem ,,uniemożliwiali konstruktywny rozwój przyjaźni polsko-sowieckiej''. Konferencje z Modelskim zostały wznowione. Strumpf został bodajże ,,oficerem przydzielonym'' przy wice-ministrze spraw wojskowych i nie wychodził z jego gabinetu. Poza tym informował nas, niezauważalnych, iż pomimo klęski wrześniowej i dzięki ,,przepracowaniu Generała sanacja znów wzięła wojsko w swoje ręce...'' W 1945-tym roku Strumpf odegrał wyjątkowo brudną rolę naganiacza zdezorientowanych żołnierzy w Wielkiej Brytanii do powrotu. Po przybyciu do Warszawy ogłosił drukiem ,,Gwiazdę Generała Sikorskiego''. Książka ta, napisana chaotycznie i tendencyjnie, była jednym z pierwszych ,,zamówień społecznych'' w Kraju. W 1945/46 rządowi warszawskiemu zależało na ściągnięciu największej możliwie ilości Polaków do kraju nie dla celów ,,rekonstrukcyjnych'' — na co poleciało, wbrew oczywistości, tyle nieszczęśliwych ofiar — ile dla uniemożliwienia przetrwania ewentualnych przeciw-sowieckich ośrodków na Zachodzie. Strumpf podjął się swojej roli wyłącznie z pobudek zemsty osobistej, gdyż, przynajmniej w 1939 roku w Coëtquidanie, nie krył swojej pogardy i dla Rosji w ogóle i dla bolszewików w szczególności. Tezą jego było ,,udowodnienie'', iż właśnie masowy powrót do jałtańskiej Polski byłby niewątpliwie ideą przewodnią Generała Sikorskiego, gdyby dożył do 1945-go roku. Ale że był przyjacielem szczerego porozumienia z Sowietami więc go sanacyjni generałowie w porozumieniu z Anglikami zgładzili. Obok gwarancji osobis-

tego słowa honoru nieboszczyka Bevina, powyżej opisana perfidna historyjka narobiła najwięcej zamieszania w obozach PK PR w okresie oficjalnego nacisku władz brytyjskich na powrót pod skrzydła Żymierskiego. E. Ligocki, nawiasem mówiąc, też wrócił i też napisał podobne ,,zamówienie społeczne'', skierowane przeciwko Kościołowi. Nie pamiętam jego tytułu.

Oficjalnym sponsorem Strumpfa w wojsku Żymierskiego był ,,gen.'' Spychalski. Ciekawe czy Strumpfowi udało się przetrwać w okresie niszczenia ,,gomółkowszczyzny'' czy też dostał się pod walec ,,Bezpieki''.

...Usłyszawszy mój mało wyszukany kawał Strumpf posiniał na twarzy i zaryczał :

— Ja podchorążemu zabraniam tak się odzywać o największym z żyjących Polaków. Ja podchorążego na Rothsay... Ja podchorążemu pokażę... ja podchorążego do raportu...

Chwilowo do żadnych dalszych ekscesów nie doszło, gdyż siedzieliśmy obydwaj przy stołach, ustawionych w przeciwległych kątach pokoju. Przy dwóch dalszych stołach siedzieli porucznicy Z. Socha i W. Leitgeber, mój bezpośredni a ciężko doświadczony zwierzchnik.

Tym niemniej sprawa oparła się o Modelskiego. Miałem stawać do karnego raportu, ale nie pamiętam już z okazji jakiego, bardziej doniosłego, wypadku historycznego rozeszło się to po kościach.

◆

Major Morbitzer, mój zwierzchnik po majorze Bogusławskim, miał psie życie w ,,Rubensie''. Z jednej strony musiał wymigiwać się od ciągłego wścibstwa i intryg swojego szefa Modelskiego, z drugiej, bez złamania elementarnych zasad lojalności wojskowej musiał zapewniać na lewo i prawo, iż, wbrew pozorom, nie jest ,,człowiekiem'' Modelskiego a z trzeciej musiał sprostać olbrzymim trudnościom swojego resortu. W tym miejscu niewdzięcznością pierwszej wielkości byłoby pominięcie wkładu FANY (First Aid Nursing Yeomanry) do historii polskich sił zbrojnych w Wielkiej Brytanii. Z ducha i organizacji, podobnie jak ,,polski'' Coëtquidan, był to w znanej mierze przeżytek romantyczny w epoce totalistycznych wojen. Była to pomocnicza organizacja, półwojskowa, kobieca i honorowa, czyli bezpłatna. Członkinie jej, nie były ograniczone żadnym przymusem czy dyscypliną narzuconą z zewnątrz. Po raz pierwszy zostały powołane do życia, jako formacja kawaleryjska, podczas wojny burskiej. Podczas drugiej wojny światowej przyszły podobnie bezpłatnie i z własnej woli w sukurs polskim oddziałom w Szkocji jako kantyniarki, szoferki, bibliotekarki i, przez długi czas, jako jedyny element kobiecy, nie stojący na najbardziej elementarnym poziomie odpłatnych świadczeń, tak niezmiernie potrzebny setkom i tysiącom wojskowych, wyrzuconych ze swo-

jego środowiska na nieograniczony okres i którym, na dobitkę, los kazał przeżywać kolejną tragedię narodową pierwszej wielkości. O ,,Pestkach'' aż do 1943-go roku nikt nie słyszał oczywiście w Szkocji. Biedactwa tkwiły jeszcze w łagrach i kołchozach. Praca pań FANY nie należała do błyskotliwych : kuchmarzenie i sprzątanie od rana do nocy, podawanie setek filiżanek herbaty, wypędzanie do domów o jedenastej zaciętych pokerzystów ze świetlic. Do tego dochodziło ciągle przenoszenie się z miejsca na miejsce, zwijanie i rozkładanie kantyn w coraz to nowych prowincjonalnych dziurach szkockich, zimnych i zapleśniałych. Dawanie sobie rady z legionem neurasteników i plutonami alkoholików starszych i młodszych. Nuda szoferowania i jeszcze gorsza nuda kierowania ciężarówkami. Po paru miesiącach naszywki ,,Poland'' na rękawach mundurów FANY stały się czymś więcej aniżeli li-tylko znakiem przydziału.

Amazonki pani Pat Washington jak Ann Lyall, Betty Stewart, Elaine Ponsonby, Elaine Kindersley, Ruth Derbyshire, Diana Napier i setki innych zasłużyły sobie na rzeczywiste członkostwo formacji, do których były przydzielone i na Krzyże Zasługi, złote i z mieczami, a nade wszystko na dyplomy honorowe od Wojskowego Biura Propagandy i Oświaty w dziele podtrzymywania morale Polskich Sił Zbrojnych podczas lodowatych i beznadziejnych zim szkockich.



Prawie od chwili powstania ,,Rubens'' rósł i pęczniał na oczach. Pierwotne ograniczenia stanów osobowych Kwatery Głównej Naczelnego Wodza poszły w niepamięć. W kilka tygodni po zainstalowaniu się na nowych śmieciach liczyła ona liczbowo odpowiednik kilku dobrych kompanii piechoty.

7-go września 1940 roku Niemcy zaatakowali z powietrza doki Londynu. W podziemiach hotelu pomiędzy rurami kanalizacyjnymi, kablami elektrycznymi i gmatwaniną przewodów telefonicznych było tłoczno. Starsi oficerowie przechadzali się na przestrzeni paru metrów kwadratowych. Mieszkańcy pierwszego piętra nie zeszli na dół. Sportowcy skupili się na dachu. Setki samolotów, baraszkujących dookoła siebie, dymki rozprysków artylerii zenitowej, wybuchy bomb, ognie rozpoczynających się pożarów, klangor straży ogniowej, pędzącej z odległych dzielnic miasta przez Green Park, Mall i Strand do wschodniego Londynu tworzyły razem niezapomniany obraz.

Sarniooka pani W., znajdująca się wówczas w poważnym stanie niepokoiła się siedząc z maszyną do pisania na kolanach na schodach, prowadzących do piwnicy czy aby nie tchórzy :

— Ależ ja chyba mam rację chroniąc siłę żywą ?

Płk. Klimecki, szef sztabu, pojawił się na dole tylko na krótką chwilę. Następnego dnia został wydany ostry okólnik wewnętrzny na temat panikarstwa. Podziemia ,,Rubensa'', nie dające zresztą żadnej osłony, opustoszały. Odtąd, podczas nalotów

bano się po pokojach albo wychodzono na korytarz na papierosa. Zresztą bez powodu. Podczas ,,Blitzu" ani ,,Rubens" ani liczne jego przybudówki, które rozpleniły się po przyległych spokojnych ulicach nie oberwały ani razu. Szklane drzwi wejściowe zostały wprawdzie wydmuchane ale obeszło się bez ofiar. Zostały one zastąpione ceglanym murem. Rubensowicze na ogół uchowali się bez szwanku. Płk. Klimecki, już jako generał zginął w katastrofie gibraltarskiej wraz z generałem Sikorskim.

Mimo ciągłego rozrostu etatów ,,Rubensa" Modelski ani rusz nie mógł powiększyć zakresu swoich wpływów. Tyle że udało mu się wysłać jednego ze szwagrów do Lizbony w niezupełnie sprecyzowanej misji ,,wywiadowczo-informacyjnej". Bliższe szczegóły tej historii są mi, niestety, nieznane.

Na wiosnę 1941-go roku Modelski wpadł na pomysł wysłania ekipy propagandowo-werbunkowej do Kanady. Stany Zjednoczone nie znajdowały się jeszcze w stanie otwartej wojny z Niemcami, Japonia była neutralna i przed wice-ministrem spraw wojskowych stanęła wizja tysięcy amerykańskich i kanadyjskich Polaków ławą walących na ochotnika do nowej Błękitnej Armii. Modelski czuł już na swych skroniach wawrzyny hallerowskie. Urzędujący szwagier, por. D., został oficerem technicznym i administracyjnym wyprawy. Praca przygotowawcza zawrzała. Odbywały się niekończące się konferencje i odprawy. Zbierano materiały. Ja biegałem po mieście szukając przewodników turystycznych po Montrealu i Ottawie. Wszystko musiało odbywać się we własnym zakresie, czyli w ramach Wojskowego Biura Propagandy i Oświaty. Przy tej okazji udało mi się wpakować do ,,kanadyjskiej"' ekipy mojego przyjaciela Janka M. — podobnie jak ja, pokątnego coëtquidańskiego podchorążego — na zasadzie jego znajomości języka angielskiego i spreparowanej na morżowo, ad usum Delphini, przedwojennej służby w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Marian Walentynowicz też miał jechać.

W Londynie było bardzo nudno. Naloty prawie że ustały a Niemcy jeszcze nie zaatakowały Sowietów.

Nadeszła nareszcie wigilia wyjazdu. Modelski wezwał nas na uroczystą odprawę i w czasie przemówienia na temat szczytnego zadania jakie czeka nas, nowych demokratycznych hallerczyków czy raczej modelszczyków — założycieli Drugiej Wojny Światowej — oczywiście rozbeczał się. Dyżurny szwagier stał wyprężony na baczność z oczyma uduchowienie utkwionymi w Orła Białego wiszącego na ścianie. Zanim zesztywniał w pozycji przepisowej zdążył mnie kopnąć, że niby nie byłem dość poważny w tak uroczystej chwili. Zresztą sklął mnie w tym sensie po wyjściu z odprawy.

Wieczorem odbyła się pożegnalna kolacja u Kempińskiego. Feliks wygłosił taktownie humorystyczne przemówienie na temat tego jak oto otwiera się nowa karta w dziejach Polskich Sił Zbrojnych na wychłództwie — koledzy emigranci z Francji

nauczyli nas tego wdzięcznego terminu — i oczywiście my, coëtquidańczycy jesteśmy tymi, którzy tę kartę otwierają itd., itd. Popiliśmy się do tego stopnia, iż po wyjściu nie zauważyłem średnio ciężkiego nalotu. Przy ówczesnych cenach ginu należało to do zakresu naszych możliwości.

Z rana przyjechałem do ,,Rubensa'' punktualnie, z bagażami, podniecony perspektywą dalekiej podróży i cokolwiek niespokojny na myśl o Atlantyku, usianym niemieckimi łodziami podwodnymi. Romantyka bojowego konwoju bardziej niż kompensowała przyszłe niebezpieczeństwa. Mieliśmy ruszyć o 11-tej z Euston Station w nieznanym kierunku tzn. do Liverpoolu i tam oczekiwać na załadowanie.

O godzinie dziesiątej dyżurny szwagier zwołał nas na odprawę i obwieścił, iż ze względów wyższej polityki narodowej i wojennej wyprawa została odwołana na czas nieograniczony, aż do następnego rozkazu. Tymczasem mieliśmy wracać do naszych poprzednich przydziałów. Janek oczywiście zdołał w międzyczasie zaczepić się w Londynie. Po paru tygodniach dopiero dowiedziałem się o właściwych powodach odwołania : Kanadyjczycy nie uprzedzeni o planach Modelskiego, po prostu nie dali wizy. W sztabie ścisłym wice-ministra wojny czy też Obrony Narodowej nikomu nie przyszło do głowy, iż Kanada, mimo przynależności do wspólnoty narodów brytyjskich, jest państwem suwerennym i wobec tego nie zatroszczono się o sprawdzenie co też Kanadyjczycy mogą pomyśleć o działalności cudzoziemskiej misji wojskowej, jakkolwiek sprzymierzonej, na swoim terenie. Misja czyli ,,ekipa'' ostatecznie pojechała pod zmienionym protektoratem, w kilka miesięcy później, ale już beze mnie. Moje miejsce zajął redaktor Rubel, poza tym postać kluczowa w mojej ostatniej i fatalnej w skutkach awanturze w ,,Rubensie''.

Kłopoty finansowe stawały się coraz bardziej męczące. Kapitan T. Kiełpiński był szefem wydawniczym ,,Biblioteki Żołnierza Polskiego''. Trochę lepiej wyglądał zewnętrznie i nosił długie buty do konnej jazdy, pomarańczowego koloru, zapinane na trzy klamry z przodu. Poza tym cierpiał coraz bardziej na serce, które go, biedaka, ostatecznie dobiło w kilka lat później. Cieszyłem się u niego dobrą opinią, ponieważ moja broszurka o norweskich wyczynach Brygady Podhalańskiej wydana przez ,,Biblioteczkę'' miała pewne wzięcie w Szkocji *). Przy wszystkich swoich śmiesz-

*) Chwała Bogu należy ona dzisiaj do rzędu nieznajdywalnych białych kruków bibliograficznych i mam nadzieję, iż znikła z pamięci czytelników w równej mierze co z obiegu księgarskiego. Powodzenie książki polskiej w Szkocji w pierwszym okresie przebywania tam polskich oddziałów było wątpliwym tytułem do sławy pisarskiej. Panował zgoła niesamowity głód słowa pisanego. Nie wiem kto wymyślił legendę o ,,Polakach zdolnych do języków'', ale angielskiego uczono się dziwnie opornie. Każdy strzęp papieru zadrukowany po polsku mógł za to liczyć na powodzenie. ,,Kodeks Honorowy'' Boziewicza, mocno reklamowany przez ,,Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza'', doczekał się kilku wydań w Szkocji.

nościach Kiełpiński był człowiekiem dobrym i życzliwym i pewnego razu, odmówiwszy kolejnej pożyczki — poprzednie były niezwrócone, przekonywałem go bezskutecznie, iż komasacja zadłużenia jest objawem zdrowym — zaproponował, żebym coś napisał dla jego wydawnictwa. Terlecki, jako główny strumień pobocznego dochodu, był już wówczas wyschniętym źródłem. Miałem mu zrekonstruować imaginacyjnie ,,autentyczne'' reportaże do okolicznościowego numeru ,,Polski Walczącej'', wydanego ku chwale Brygady Karpackiej i przejścia jej z Syrii do Palestyny. Spóźniłem się z terminem i Terlecki wpadł w szał. Odtąd witaliśmy się zimno i z daleka. Drukował mnie w swoim tygodniku z rzadka tylko, anonimowo i z wielkimi ceregielami. Nie wystarczało to nawet na komorne.

Umowa z Kiełpińskim stanęła na tym, iż miałem dostarczyć mu serii felietonów na tematy z historii Anglii. Zostaną one wydane przez ,,Biblioteczkę'' w formie ,,podwójnej broszury''. Jako honorarium miałem dostać 15 funtów tytułem zaliczki i 15 procent od sprzedaży. Poczułem się milionerem na zapas i z entuzjazmem zabrałem się do roboty. Jako tytuł wybrałem szekspirowską metaforę ,,Klejnot Srebrzystych Mórz''. Podobnie jak poprzednia broszura, jest ona, na szczęście, całkowicie nie do dostania w handlu. Z perspektywy kilkunastu lat wydaje mi się, iż felietony te były akurat taką samą płycizną, tyle, że mniej przypochlebną, jak historia Anglii A. Maurois, uchodząca wśród Polaków za głębokie dzieło historyczne. W chwili ukazania się broszury, pomijając nawet aspekt finansowy, byłem z niej bardzo zadowolony. Wacio Zbyszewski wprawdzie krzywił się i kiwał z politowaniem głową — jakże słusznie, jak to dzisiaj widzę — ale wówczas sądziłem, iż jest to dowód jego ogólnej hipochondrii. ,,Mój drogi'' — mawiał — ,,musisz jeszcze przez dziesięć lat czytać zanim zaczniesz pisać''. Kiełpiński za to promieniał. Sprzedaż w Szkocji zapowiadała się doskonale.

Pewnego ranka, jesienią 1941-go roku Strumpf przyszedł do Biura z kwaśno radosnym wyrazem twarzy.

— No, ale podchorąży wpadł...

— Co się stało, Panie Rotmistrzu?

— Ta pańska broszura o Anglii. Obrzydliwstwo. Sprawa oparła się o Generała.

— A o co chodzi?

— Czy Pan kpi? Przecież Pan wyraźnie w niej podrywa autorytet do naszego sojusznika, Wielkiej Brytanii.

— W jakim miejscu? Gdzie? O czym Pan Rotmistrz mówi?

— Napisał Pan, iż książę Malborough, przodek premiera Churchilla, człowieka opatrznościowego, od którego w znacznej mierze zależy wyzwolenie Polski, był łapownikiem i ciemną figurą.

— Ależ o tym wszyscy wiedzą. Niech Pan Rotmistrz przejrzy jakąkolwiek historię Anglii.

— Pan podchorąży nie będzie mnie uczył historii Anglii. Generał jest bardzo niezadowolony...

W godzinę później, tym razem urzędowo, dowiedziałem się od majora Morbitzera, iż istotnie mój ,,Klejnot'' został skonfiskowany i że dochodzenie w tej sprawie jest w toku. Chodzi o tzw. dywersję wewnętrzną. Broszurę przejrzeli już pp. Retinger i Litauer ze ścisłego otoczenia Naczelnego Wodza a obecnie bada ją w charakterze eksperta bombardier czy też strzelec z cenzusem Rubel (który właśnie wrócił z Kanady). Generał Kukiel w najbliższym czasie ma się o niej wypowiedzieć jako historyk. O dalszym przebiegu wypadków zostanę poinformowany we właściwym czasie. Tymczasem mam ograniczyć się do przeglądu prasy angielskiej i nie mogę utrzymywać ,,kontaktów zewnętrznych''. Zapytałem czy to znaczy, że odtąd nie wolno mi schodzić na pogadanki pod schodami z Feliksem Bocheńskim; jako pracownicy wrogich sobie agencji Sztabu musieliśmy się coram publico kryć z coëtquidańską przyjaźnią. Major Morbitzer wyrzucił mnie za drzwi.

Przez następnych kilka miesięcy sprawa moja pozostała w zawieszeniu. Przychodziłem do Biura, które w międzyczasie wyprowadziło się z ,,Rubensa'' i zajęło duży dom z czerwonej cegły na jednej z ulic na zapleczu Buckingham Palace Road i rozrosło się liczbowo. Ilość przydzielonych maszynistek z dobrej rodziny podwoiła się. Panna Lala Święcicka popłakiwała ile razy musiałem jej coś dyktować, pani Godlewska cierpiała ciągle na nowotwory, na szczęście niezłośliwe. Socha i Leitgeber odwalali kawałki. Wszystkich prawie pokątnych podchorążych ze mną włącznie wymianowano na podporuczników. Coraz to nowi oficerowie pojawiali się w Biurze, na stałych przydziałach mimo zupełnej nieznajomości angielskiego, jak gorzko o tym myślałem. Strumpf-Wojtkiewicz gdzieś znikł.

•

Praca organizacyjna wrzała. Ze Szkocji przychodziły pokrzepiające serca raporty z odpraw świetliczarek i działalności czołówki teatralnej. Od czasu do czasu do PKU w Edinburgu meldowali się autentyczni ochotnicy z egzotycznych krain, z Argentyny, z Brazylii, z Mandżurii i Bóg raczy wiedzieć skąd. Biura i agencje polskie w Londynie rozrastały się jak japońskie grzybki. Pojawiali się w glorii pierwsi byli więźniowie z sowieckich obozów. Naloty niemieckiej ustały zupełnie; Niemcy przeszli przez Dniepr i ławą parli na Moskwę. Mimo to wydawało się, iż w tej formie, wojna może trwać w nieskończoność.

Pewnego dnia zostałem wezwany do majora Morbitzera.

— Niech Pan siada, Panie Poruczniku. Przykro mi jest bardzo, ale muszę Panu zakomunikować, iż został Pan przeniesiony do II-go Batalionu Oficerskiego w Dundee. Osobiście byłem zadowolony z Pana pracy...

— Więc o co chodzi, Panie Majorze?

— Proszę Pana, ja nie mogę tracić połowy mojego czasu na bronienie Pana przed atakami różnych wysoko postawionych osobistości. Ten pański ,,Klejnot'' na przykład...

— Ależ wszystkie zacytowane tam wypadki są prawdziwe. Przecież przedstawiłem Komisji źródła z których po prostu odpisałem inkryminowane ustępy. Chyba można je dostać w każdym sklepie księgarskim mimo trzeciego roku wojny ?

— Zgoda. Podał Pan tym niemniej tę historię o Malborough tendencyjnie i nie na czasie. Niech Pan patrzy. Rubel napisał zasadniczą opinię o broszurze i, po dłuższych studiach i namyśle, zdyskwalifikował pański ,,Klejnot''.

— Ale skąd niby Rubel...

— Panie Poruczniku, przywołuję Pana do porządku.

Major podał mi przez stół gruby plik papierów w oprawie brunatnego, kancelaryjnego aktu. Moje nazwisko napisane na nim było czerwonym atramentem. W rogu figurowała parafa ,,poufne'', podkreślona niebieskim ołówkiem. Na wierzchu przytwierdzona była luźna kartka białego papieru z następującymi słowami : ,,Nie wiem czy podchorążym Jeśmanem kierowała złośliwość czy głupota. W każdym razie zabraniam mu pisać. W razie dalszych przewinień odesłać do Szkocji. /—/ Sikorski''.

— No więc wszystko w porządku. Niczego więcej nie pisałem.

— Tak. Ale chodzi o przewinienia...

— ??

— Ma Pan. Tu. Śpiewał Pan ,,Marszałek Śmigły-Rydz to jest nasz drogi wódz'' na schodach ,,Rubensa''.

— To dla kawału...

— Ładny mi kawał. Nazwał pan generała X opalizującą papugą...

— To było w rozmowie prywatnej. Zresztą jego gabardinowy mundur mieni się. Posiada prawie taki sam połysk jak przedwojenne ,,Burberry''.

— Nie powinien Pan zauważać tego rodzaju zbieżności w wojsku. Zachował się Pan arogancko wobec majora Borkowskiego.

— Nic podobnego.

— Owszem tak. Proszę się nie sprzeczać. Po pierwsze nazwał go Pan siwym .... w obecności członków ścisłego sztabu Naczelnego. Wodza. O — widzi Pan — tu jest raport — a po drugie kilkakrotnie patrzył Pan na niego wyzywająco zanim mu Pan zasalutował.

— To chyba było podświadome...

— Proszę Pana, tylko bez dalszych głupich dowcipów. Pułkownik Leski ma poza tym zupełnie Pana dosyć.

— Ależ pułkownik Leski nie dalej jak kilka tygodni temu zaprowadził moją znajomą ,,Wrenkę'' i mnie na homara.

— Bez znaczenia. Widocznie zmienił zdanie od tego czasu. Zresztą jak to już Panu powiedziałem chodzi mi głównie o ten

ciągły stan niepokoju jaki wytwarza się dookoła pańskiej osoby. Został pan podporucznikiem więc z mojej strony zrobiłem co mogłem, żeby Panu ułatwić przyszłość. Do widzenia i życzę powodzenia. O ,,Klejnot'' prawdopodobnie znajdzie się Pan przed sądem polowym. Proszę zdać agencje porucznikowi Y.

Zasalutowałem i pożegnałem się z moim zwierzchnikiem bardziej serdecznie aniżeli na to zapowiadało się. Zawsze go lubiłem.

Przy moim stole siedział już następca, malutki i chudziutki porucznik od ułanów i sylabilizował ,,Daily Express'' przy pomocy opasłego słownika polsko-angielskiego.

*

W Szkocji pod sąd polowy nie dostałem się wprawdzie, ale ze swoistą sprawiedliwością zdarzyło mi się uzyskać bezpośredni kontakt. Pewnego dnia adiutant batalionu oficerskiego zawiadomił mnie, iż mam się stawić, jako oskarżony, przed oficerskim sądem honorowym. O meritum sprawy nie zostałem poinformowany. Śp. por. ,,Luluś'' Kwiatkowski, adwokat warszawski i współmęczennik batalionowy czy też brygady podjął się obrony na niewidzianego.

O oznaczonym dniu wmaszerowaliśmy z obrońcą, obaj w czapkach, i przy pasie, do pokoju, gdzie za stołem siedziało grono moich partnerów od bridge'a, nieprzyjemnych zresztą, i starszych wiekiem i rangą, również w czapkach i pasach.

Jak się okazało, byłem oskarżony o to, iż w przedziale pociągu pomiędzy St. Andrews a Dundee w obecności dwóch Szkotek ,,przyjaznych sprawie polskiej'' powiedziałem, że jestem zmęczony koniecznością przebywania z Polakami. Poza tym w jednym ze spisów personalnych pod rubryką narodowość, podałem ,,Litwin''. W ciągu rozprawy okazało się, iż nigdy nie podróżowałem pociągiem pomiędzy St. Andrew a Dundee; Szkotek-przyjaciółek Polaków nie znałem nawet z widzenia, po trzecie nigdy i nigdzie nie wypowiedziałem inkryminowanych mi słów. Oczywiście żadnej konfrontacji świadków nie było. Litwin, owszem. Mickiewicz pisał : ,,Litwo, ojczyzno moja'', Marszałek mawiał potocznie : ,,My, Litwini'' a całe poprzednie pokolenie mojej rodziny, jej męska część, biła się z bolszewikami w szeregach Litewsko-Białoruskiej Dywizji i Pułku Ułanów Wileńskich. Miałem więc chyba pełne prawo podawać się za Litwina. Zapadło milczenie. Luluś wygłosił płomienne przemówienie obrończe, po czym sąd honorowy zawiadomił mnie, iż nie chodziło o fakty oskarżenia, ale o uszczypliwe uwagi pod adresem zawodowych oficerów. Przezywałem ich milusińskimi. Udzielono mi nagany i wspólnie z Lulusiem wymaszerowaliśmy z pokoju.

Z ducha i procedury incydent zbliżał się raczej do posiedzenia dintojry towarzystwa znanego w Wilnie pod nazwą ,,A Gołdene Fon'' aniżeli do działalności sprawiedliwości honorowej i wojennej.

Czesław JEŚMAN

Archiwum polityczne

List z Niemiec

P. Dulles nie przyjechał do Berlina. Publicysta zachodnio-berliński tłumaczył to okolicznością, że ,,w obecnej chwili polityka europejska stanowi coś specyficznego, coś bardzo ograniczonego. Jest to po prostu zagadnienie armii europejskiej''. Berlin nie wchodzi w skład Republiki Związkowej i jest poza tymi sprawami. Berlin ma ,,stanowisko szczególne'', nawet po ratyfikacji układów będzie nadal pod rządami mocarstw okupacyjnych. Berlin ma swoje troski, ,,swoją'' politykę : berlińscy socjal-demokraci z burmistrzem Reuterem na czele niezupełnie idą śladem swych zachodnio-niemieckich towarzyszów (są od nich mniej ,,antyamerykańscy''), a berlińscy chrześcijańscy demokraci różnią się w swej taktyce, i to znacznie, od zachodnio-niemieckiego CDU i rządu p. Adenauera (inaczej niż p. Adenauer, Berlińczycy z p. Lemmerem wypowiadają się, od czasu do czasu za rozmowami z Rosją w sprawie zjednoczenia Niemiec). Berlin ma swoje troski, a największą są uchodźcy ze strefy sowieckiej, których jest teraz około tysiąca dziennie. Po ostatnich aresztowaniach we wschodnim Berlinie, wobec nowej czystki w komunistycznych sferach rządowych i prześladowania Żydów, w miarę jak zaostrzają się ograniczenia, zmierzające do odcięcia Niemiec wschodnich od Zachodu, ucieczki stały się wprost paniczne. Na tle tej sytuacji, której Berlin sam opanować nie może, omal nie doszło do ostrego zatargu z rządem w Bonn, któremu zarzucano, że nie udziela dostatecznej pomocy w utrzymaniu i przewożeniu na Zachód uciekinierów.

W każdym razie p. Dulles nie przyjechał do Berlina, gdyż jego przyjazd mógłby wzbudzić podejrzenia, że idzie się już ,,na całego''. Tymczasem jeszcze tak nie jest i ,,Europa'' to w tej chwili tylko ,,armia europejska''. Cele misji europejskiej p. Dullesa były ściśle ograniczone.

Można to, w pewnym znaczeniu, uznać za objaw pocieszający, że coraz częściej na miejsce bardzo ogólnych i nieprecyzowanych haseł podstawia się ściślejsze pojęcia. Taka ,,porządkująca'' ewolucja przyczynia się z pewnością do wyjaśnienia spraw. Ludzie, którzy patrzyli z niedowierzaniem na całą rekwizytornię ,,europejskiego idealizmu'', zwłaszcza w jego niemieckim ujęciu, muszą dziś odczuwać pewną *Schadenfreude*, gdy się coraz częściej powraca do starego słownika celem określenia jakiejś nowej sytuacji. Mówi się dziś, że jest teraz *renversement des alliances*. Odwrócenie przymierzy w Europie stało się konieczne, gdy na Korei rozpoczęły się walki.

Chcąc być realistą, trzeba by sobie szczerze powiedzieć, jak to naprawdę było a jak nie było. Nie było tak, że ,,dobrzy Europejczycy'' już wiedzieli co mają robić i tylko martwili się o to, jak ,,dopasować'' Niemcy do pałającej chęcią zjednoczenia Europy. Było i jest tak, że wszyscy się martwią o to jak umieścić nowego niemieckiego alianta w niegotowym jeszcze i mgławicowym europejskim kontekście. Nie należy się dziwić Niemcom, gdy głoszą na cały świat, że kto dziś jest przeciwko nim, albo im niedowierza, ten jest przeciwko Europie. W istocie zrobiono wszystko, aby tego rodzaju poglądom dać pozory słuszności. Najtrudniej jest przeskoczyć samego siebie — tę banalną prawdę powtarzamy aż do znudzenia. Wszystko to, co się dzieje, jest następstwem tego co było. Cały powojenny układ rzeczy sprawił, że zagadnienie niemieckie stało się, bo musiało, centralne — bez względu na to kto tu najwięcej zawinił : Rosjanie, przez nadmiar chytrości czy Zachód z Ameryką na czele, przez nadmiar naiwności. Od konsekwencji uciec już nie można. ,,Nie to co pragnąłbym robić, ale to co robić muszę jest polityką'' — któż tak mówi : Bismarck czy Fryderyk Wielki? W tym sensie i obecna polityka amerykańska ma charakter ,,przymusowy''. Gra zarówno oficjalnej dyplomacji jak i opozycji zachodnio-niemieckiej polega na uznaniu tej przymusowości. Ale jednocześnie polega ona na założeniu, że Amerykanie nie widzą innego wyjścia z sytuacji. Być może p. Dulles przyjechał właśnie po to, aby przekonać Niemców, że inne możliwości istnieją i że, wobec tego, nie radzi przeciągać struny. Jakie inne możliwości? Odpowiedzi na to pytanie trzeba, dziś jeszcze, szukać w sferze czystej spekulacji.

Pierwsze komentarze po wizycie p. Dullesa w Bonn świadczyły o tym, iż rząd zachodnio-niemiecki poczuł się mocniejszy, zarówno w stosunku do zagranicy jak i do własnej opozycji. Zapewniano nawet, iż rząd p. Adenauera uzyskał jakąś obietnicę poparcia przez Stany Zjednoczone swych roszczeń do ziem zaodrzańskich. Na ten temat brak jeszcze dokładniejszych danych i nie wiadomo w jakim stopniu, domysły odpowiadają rzeczywistości, w jakim zaś odzwierciedlają tylko bońskie *pia desideria*. Ani komentarze zachodnio-niemieckie ani artykuł p. Baldwina w ,,New York Times'' nie daje jeszcze podstawy do osta-

tecznej oceny, niemniej jednak uprawniają one do tego, aby domagać się wyjaśnienia tego punktu z amerykańskiej strony. O tyle, o ile obecna polityka Waszyngtonu jest polityką bezpośrednich konieczności wojskowych, o tyle „kokietowanie" Niemców mniej czy więcej sprecyzowanymi obietnicami czy też niedomówieniami może być uznane za pożyteczne. O tyle jednak o ile ona jest globalna — a na bliższym nam terenie stawać się będzie europejska, a nie tylko zachodnio-europejska — o tyle gra na kartę niemiecką będzie przyczyną wzrastających trudności. „Liberation policy" nie da się poprowadzić, gdy jej jedynym konkretnym wyrazem będzie propagowanie haseł niemieckiej narodowej ekspansji.

Zapewne, politycy amerykańscy zdają sobie sprawę z tych sprzeczności jak również i z tego, że będą one się stawały coraz przykrzejsze w miarę, gdy od haseł trzeba będzie przechodzić do formułowania konkretnych zamierzeń. Dziś sprawa niemiecka jest „na rozkładzie" i w tym okresie taktyczna gra na Niemcy przesłania następne, możliwe do przewidzenia etapy. Z chwilą, gdy one się przybliżą, wiele spraw może wyglądać inaczej. W niemieckiej sprawie, tak jak i w wielu innych, Waszyngton musi się oglądać na Moskwę, aby nie pozostać w tyle za przynętami, jakie i tamta strona ukazuje. „Uchwycenie inicjatywy przez Amerykę w zimnej wojnie", o czym się tak wiele dziś mówi, okazało by się zupełnym złudzeniem, gdyby w rozgrywce o Niemcy Amerykanie posunęli się zbyt daleko. Przeciwnie, świadczyło by to, że inicjatywa jest nadal w rękach Moskwy. Gra jej bowiem polega i na tym, aby przez utożsamianie straszaka niemieckiego z polityką amerykańską stawiać Ameryce coraz to większe przeszkody w jej dzisiejszej, zachodnio-europejskiej i przyszłej, ogólno-europejskiej polityce.

Jakkolwiek więc obawy mogą być uzasadnione i Waszyngton będzie musiał okazać wiele psychologicznych umiejętności, aby nie dać się wciągnąć zbyt daleko w przygotowane nań pułapki, to jednak trzeba pamiętać, że inne czynniki mogą wpływać hamująco na zbyt rozgorączkowane głowy w niektórych kołach w Bonn czy w Waszyngtonie. Te czynniki — to lepsza aniżeli dawniej znajomość spraw niemieckich po drugiej stronie Atlantyku oraz inny niż przed drugą wojną światową układ sił w Europie i na świecie. W lutowym numerze, „Foreign Affairs" p. H. R. Trevor Roper dochodzi do wniosku, że stan opinii zachodnio-niemieckiej zbliża się już do „normalnego" tj. do stanu z lat trzydziestych, poprzedzających przyjście Hitlera. To zresztą wcale nie oznacza, że grozi to samo niebezpieczeństwo, w obecnej chwili. Istotnie, sytuacja jest zupełnie inna. W odróżnieniu od tamtych lat — dziś nie może być mowy o zupełnie samodzielnej polityce niemieckiej, nawet gdy uzyska ona większy niż w obecnej chwili stopień samodzielności. Czynnikiem ograniczającym „swobodę manewru" jest decydująca rola Ameryki w ogólnym układzie sił i obecność sił amerykańskich w Euro-

pie. Ostatecznie, grę prowadzą Ameryka i Rosja i nie widać powodu, dla którego miałyby one zrzec się tej roli na rzecz Bonn czy Berlina. W rzeczywistości więc granice, w których polityka niemiecka poruszać się może, są i pozostaną dość ciasne. W szczególności, swoboda dyplomatycznego manewru na wschód, w postaci jakiegoś przyszłego bloku niemiecko-rosyjskiego, pozostanie chyba w sferze marzeń chpćby dla tego, że świadomość takiego niebezpieczeństwa jest dziś żywa nie tylko w Europie Zachodniej, ale i w Ameryce.

Kto wie czy wydarzenia takie jak aresztowanie grupy hitlerowców w północnych Niemczech czy też ogłoszenie przez Amerykanów wyniku ankiety na temat ewolucji niemieckiej opinii publicznej w odniesieniu do hitlerowskiej przeszłości, nie były właśnie ostrzeżeniem, że owe granice manewru są ograniczone. W Niemczech interpretowano te wydarzenia łącznie z procesem Oradour, jako środki nacisku zmierzające do przyśpieszenia ratyfikacji układów przez Bonn. Tak czy inaczej, są one dowodem czujności i wskazówką, że ostateczne decyzje nie będą zapadały w Niemczech.

Jest to odwrotna strona żetonu, używanego do toczącej się dziś gry o Niemcy tj. o główne dziś pozycje w Europie. Wydaje się prawdopodobne, że gdy gra się będzie toczyć o inne już pozycje, wówczas i nowe żetony wrzucone będą do gry. Idzie tylko o to, aby jeszcze było za co grać, a będzie za co grać wtedy, jeżeli się na dzisiejszą stawkę niemiecką nie odda wszystkiego.

J. Pr.

Kronika niemiecka

,,Göttinger Arbeitskreis'' — organizacja związana ściśle z kołami Niemców, wysiedlonych z zaodrzańskich ziem na zachód, ogłosił ostatnio komunikat, w którym m. in. zajmuje się moim artykułem pt. ,,Między Francją i Polską'' (,,Kultura'', styczeń 1953). Nie po to jednak, aby omówić i przedyskutować zawarte w nim poglądy czy tezy — lecz po to tylko, aby na podstawie kilku wyrwanych z artykułu zdań dać wyraz swemu oburzeniu i na zakończenie oświadczyć swą gotowość do rozmów politycznych.

Treścią mego artykułu było, mówiąc ogólnie, wezwanie opinii niemieckiej do rewizji swego stosunku do Polaków i do spraw polskich w ogólności. A tak się właśnie złożyło, że komunikat ,,Göttinger Arbeitskreis'' przeczytałem w zaprzyjaźnionym z nim czasopiśmie ,,Die Stimme'', które w tymże samym numerze ogłasza wiadomości z Katowic pod ogólnym tytułem ,,Z krajów

wschodnio-niemieckich". Katowice, jak wiadomo, leżą w granicach Polski sprzed 1939 r. Już to samo mogłoby być dostateczną odpowiedzią dla „Göttinger Arbeitskreis". Można by dodać jeszcze, że w zaprzyjaźnionej z „Arbeitskreis" prasie Łódź nazywa się czasami jeszcze „Litzmannstadt", a Gdynia „Gotenhafen" — a zatem używa się dla miast polskich nazw, których sami Niemcy nigdy nie używali, a które zostały stworzone ad hoc przez Hitlera czy jego pełnomocników i były używane wyłącznie przez kilka lat niemieckiej okupacji. Podaję to nie dlatego, abym przywiązywał większą wagę do tego jak tam sobie ktoś coś chce nazywać. Ważniejsze jest to, jaki duch inspiruje tego rodzaju zabawy — a to jest dla każdego jasne, a więc i dla „Göttinger Arbeitskreis". Tak czy nie?

Artykuł mój był wezwaniem do rozważenia pewnych spraw, a nie do rozmów politycznych, do których prowadzenia, czy też inicjowania nie czuję się powołany. Korzystałem więc z prawa, przysługującego każdemu publicyście i w tym też tylko charakterze chcę dodać co następuje :

Jest dla mnie rzeczą oczywistą, że usunięcie w przyszłości resentymentów w stosunkach między narodami, również i między Polakami i Niemcami, jest koniecznym warunkiem poprawnego ułożenia stosunków, zwłaszcza stosunków sąsiedzkich. Łatwo to jednak powiedzieć, znacznie trudniej zrobić. W swym artykule napisałem, że zależało to w nowszych czasach w większym stopniu od Niemców aniżeli od Polaków i zdanie to podtrzymuję. Czy mam mówić wyraźniej ? Jeżeli w obecnej chwili, po stronie niemieckiej, istnieją te resentymenty z powodu przyłączenia ziem zaodrzańskich do Polski i wysiedleń, w czasie których tysiące ludzi zostało narażonych na niewygody i cierpienia — nie dziwię się temu. Ale mogę przynajmniej uczciwie powiedzieć, że obie te operacje zostały przeprowadzone na podstawie decyzji wielkich mocarstw, bez współudziału prawowitej władzy polskiej. I dla tego naród polski nie może ponosić odpowiedzialności za sposób ich wykonania. Po stronie polskiej natomiast było, w ostatniej wojnie, kilka milionów trupów — trupów ludności cywilnej, niewinnych ofiar zgładzonych rękami niemieckimi, nie ofiar wojny, o nie ! ale okrucieństwa. I za to *nikt inny* nie jest odpowiedzialny. Rachunek nie jest równy.

Nie można go wyrównać inaczej — bo umarli nie odżyją — aniżeli tylko we własnym sumieniu. Rachunek sumienia — bez spełnienia tego warunku któż może marzyć o spokoju duszy, o wyrównaniu krzywd, o zapanowaniu zgody i zaufania ? Droga do usunięcia zła nie jest łatwa, ale znaleźć ją trzeba. Z pewnością jednak nie da się spraw tych załatwić taką czy inną choćby zręcznie sformułowaną deklaracją — ani też niefrasobliwym „Ach, nie mówmy o tym". To nie jest *takie* proste.

W swym artykule nie zajmowałem się tymi sprawami — wspomnienie o nich wywołał moralizatorski i protekcjonalny ton komunikatu „Göttinger Arbeitskreis". Pisałem natomiast o ko-

nieczności dokonania przez opinię niemiecką politycznego rachunku sumienia. Pisałem o tym, że przyczyny zła szukać trzeba tam, gdzie ona tkwi — to jest w dłuższej, istniejącej w Niemczech tradycji, której przedmiotem jest stosunek do sąsiedzkiego narodu polskiego. Jak bardzo to jest potrzebne, świadczy choćby fakt, że w Niemczech dziś jeszcze słyszy się niejednokrotnie i czyta pochwały na cześć granicy z 1914 r. to jest niemiecko-rosyjskiej granicy, granicy rozbiorów Polski. Innymi słowy, część opinii niemieckiej jeszcze nawet nie pogodziła się z faktem niepodległości swego polskiego sąsiada. A choć nie zawsze wyraża się to expressis verbis — czymże jest ta granica z 1914 r. albo opowieści o ,,niemieckim'' Poznaniu?

Pisałem również, zgodnie z poglądem Ingrima, o krótkowzroczności polityki niemieckiej w okresie weimarskim — polityki, która ostatecznie doprowadziła — do 1939 r. Ze strony ,,Göttinger Arbeitskreis'' nie widzę ani jednego argumentu, który by ten pogląd podważył. Natomiast, w odniesieniu do chwili obecnej, chciałbym jeszcze powiedzieć jedno. Wydaje mi się, że w Niemczech bierze się zbyt gorąco do serca obecną ,,koniunkturę'' polityczną, która, ostatecznie, jest dziełem (jeżeli chodzi o Niemcy) przypadku. Istnieje skłonność do zbyt przesadnego interpretowania poszczególnych jej faz i obiecywania sobie zbyt wielkich korzyści. Jest to właśnie chwila, w której rozsądek polityczny, w której umiejętność myślenia na dalszą metę najbardziej są potrzebne. Od postawy opinii niemieckiej dziś w szczególności, jakkolwiek nie od Niemców tylko, zależeć będzie w dużej mierze nie tylko przyszłość stosunków polsko-niemieckich, ale również to czy zaufanie do Zachodu, wśród wschodnich sąsiadów Niemiec, zostanie wzmocnione czy też się załamie.

J. PR.

Kronika angielska

KTO BĘDZIE USTALAŁ ?

Polska prasa emigracyjna podała wiadomość o projektowanej przez generała Sosnkowskiego naradzie dyplomatów polskich, przebywających na wygnaniu, a to w celu ,,ustalenia'' zasad polskiej polityki niepodległościowej. Potem podano, że narada została odłożona do jakiegoś późniejszego terminu.

Oczywiście, narada taka byłaby ze wszech miar pożądana i pożyteczna, pod warunkiem, że nie będzie się od niej oczekiwało tego, czego ona dać nie może — a co za tym idzie — czego od niej oczekiwać nie należy. Być może, gdy się mówiło o ,,ustalaniu polityki'', było to po prostu niezręczne wyrażenie autora komunikatu służące określeniu innego zadania. Jakąż bowiem politykę można ,,ustalać'' w świecie, którego charakterystyczną cechą jest brak

stałości? Polityka „ustalona" — to tak jakby jej wcale nie było. Taka „polityka" przeradza się zwykle w monolog, którego słucha tylko sam wykonawca. Może ona jeszcze mieć jakie takie znaczenie, gdy ów wykonawca jest bardzo potężny, a i wówczas...

Zapewne więc chodzić będzie o coś zupełnie innego, a mianowicie o dokonanie wszechstronnego przeglądu sytuacji. Mimowoli przypomina się jedna z butad Bismarcka, który kiedyś powiedział: „Przyjąłem dziś pięciu ambasadorów i jednego dziennikarza; od dziennikarza dowiedziałem się pięć razy tyle co od pięciu ambasadorów razem". Zastrzegamy się że nie zamierzamy bynajmniej proponować zwołania nadzwyczajnego zjazdu polskich dziennikarzy *zamiast* owej konferencji dyplomatów. Wprawdzie dyplomaci nasi, pozbawieni dziś funduszów i aparatu, jakim niegdyś rozporządzali, mają ograniczone tylko możliwości dokładniejszej obserwacji, a zatem i wnioskowania, jednak można przyjąć, że niejeden z nich, na podstawie swej dłuższej, choć nieco przestarzałej praktyki w sprawach międzynarodowych, może być człowiekiem dobrej rady.

Nie trzeba jednak od nich żądać formułowania, a tym bardziej „ustalania" polityki, bo to do nich nie należy. Dyplomacja nie jest wskazywaniem celów narodowi, ale sposobem ich realizacji w środowiskach obcych. Cele wskazywać mogą tylko ci, którzy w danej chwili czy w danej epoce najlepiej i najuczciwiej wyrażają dążenia swego społeczeństwa — a nie urzędnicy, choćby wysocy i szanowni urzędnicy. Nie mówiąc o tym, że od niepamiętnych czasów pojęcie kierownictwa polityką zagraniczną nie pokrywa się bynajmniej z pojęciem administracji służby zagranicznej.

Tym bardziej w czasach nowych, w czasach przewrotów i „przewartościowania wartości" społecznych, sama praktyka dyplomatyczna nie daje już wystarczających elementów do oceny sytuacji. Tu już w wielu wypadkach trzeba innego rodzaju doświadczenia. Trzeba też innego rodzaju ludzi, którzy mogą dotrzeć do różnych, decydujących dziś środowisk, można wspomnieć, choćby dla przykładu, związki zawodowe, zwłaszcza na wygnaniu, gdy oficjalna dyplomacja, nie mając dostatecznego oparcia o kraj będący w niewoli, jest sparaliżowana. Symbol państwa na wygnaniu nie powinien przesłaniać nam faktu, że państwo to istnieje jedynie w sercach, ale nie w rzeczywistości. Metody pracy naszej nie mogą być ortodoksyjne ani urzędnicze. Muszą być, w najogólniejszym tego słowa znaczeniu, rewolucyjne. A poza tym... ani Piłsudski, ani Dmowski, ani Paderewski nie byli dyplomatami i sprawa nasza wcale na tym źle wówczas nie wyszła. Może właśnie było lepiej, że nimi nie byli.

Tyle co do przyszłej narady dyplomatów, której — z tymi zastrzeniami — życzymy powodzenia.

J. P.

Książki

"My szlachta od Jafeta"

Równolegle do rzeki nauki płynie w historii ludzkości mętny strumyk ,,pseudo-nauki''. ,,Pseudo-nauka'' jest ulubioną dziedziną półinteligenta, który u góry formułuje ją i propaguje, u dołu odbiera i asymiluje. Półinteligent (używamy tego pojęcia jako charakterystyki pewnego stopnia rozwoju umysłowego, nie wykształcenia : czasem będzie nim nawet profesor uniwersytetu) gardzi nauką obiektywną, bezinteresowną. Pociągają go wyłącznie ,,uniwersalne teorie'', które wszystko tłumaczą. Półinteligent ,,odczuwa'' zazwyczaj swoją teorię na podstawie jakiejś półinteligenckiej intuicji i buduje ją częściowo naginając fikcyjne ,,fakty'', częściowo zapożyczając argumenty od innych bliskich mu półinteligentów.

Mętny strumyk pseudo-nauki został ostatnio zasilony niebylejakim przyczynkiem : ,,Dwa Światy'' p. Michała Pawlikowskiego liczą 500 stron, 6 map, są jednym z najbardziej luksusowych wydawnictw, na jakie zdobyła się (z subskrypcji) uboga polska emigracja. Mamy wreszcie rodzimego Toynbee'ego — na jakiego nas stać.

Książka p. Pawlikowskiego ma być rzekomo syntezą problemu cywilizacji. Jakaż to synteza ? Posłuchajmy co o niej mówi ks. Józef Jarzębowski, który razem z p. Józefem Kisielewskim, Prof. Stanisławem Strońskim, p. Wojciechem Wasiutyńskim i dr Tadeuszem Felsztynem wydaje o niej zachwycone świadectwo :

,,Dwa typy dusz — to podłoże dwóch odmiennych kultur : kultury osobowości, a więc rodziny, domu, ojczyzny, wolności ; i kultury stada, a więc : despotyzmu samodzierżców i masy, tyranii, okrucieństwa, stadnej wspólnoty, zbiorowej tresury i niewolnictwa. Pierwotna kultura środkowej Europy i kultura Azji. Wzajemne ich penetracje i stąd idące przez wieki konflikty i podboje''.

Michał PAWLIKOWSKI, *Dwa Światy*, str. 504 + 6 barwnych map. Nakładem autora, Skład Główny ,,Veritas'', Londyn, 1952.

Ks. Jarzębowski nie całkiem ściśle oddaje tu intencje autora : z powyższego ustępu można by pomyśleć, że p. Pawlikowski chce zbudować własną teoryjkę przeciwstawiającą jednostkę zbiorowości (,,kulturze stada'') i łącząc jednostkę z ,,pierwotną kulturą Europy środkowej'', zaś zbiorowość z ,,kulturą Azji''. — ,,Ustrzeż nas od pokuszenia Ojców naszych Wielki Boże !'' P. Pawlikowski niczego równie zdrożnego nie miał na myśli ! Indywidualizm łączy on również z ,,kulturą Azji'', z Żydami i z masonerią... Najłatwiej odcyfrować tendencję tej dość zagmatwanej książeczki przeglądając alfabetyczny skorowidz. Oto podpunkty zjawiska, które p. Pawlikowski określa jako ,,Cywilizacje typu europejskiego, człowieka osobowego, walorów jakościowych, personalistyczną'' : ,,platforma wyjściowa : personalizm ; grupy cech, programy : Ariowie, Hellenowie, Słowianie, Polska ; osobowość ; miłość (caritas) ; miłosierdzie ; gościnność ; własność ; wolność ; równość wobec Boga i prawa ; udział w życiu zbiorowym (demokracja) ; tolerancja (wolność przekonań) ; poczucie narodowe ; tradycjonalizm ; miłość indywidualna ; wiara absolutna ; monoteizm ; dobro ; konkretyzm ; wyższość pierwiastków duchowych ; honor, obyczajność''. A teraz — jak wyglądają, podpunkty ,,Cywilizacji typu azjatyckiego, człowieka stadnego, walorów ilościowych, indywidualistycznej'' ? — ,,platforma wyjściowa : indywidualizm ; grupy cech, programy : Azja przednia, Diaspora żydowska, Islam, Tatarzy, tajne związki, Niemcy, dewiacje w nowej Polsce, Rosja, Koncepcje społeczne niemieckie ; egotyzm, egocentryzm (zwierciadło), antropocentryzm ; indywidualizacja zniewolona ; indywidualizacja unicestwiona ; negacja miłości ; destrukcja ; okrucieństwo, terror, gwałt, mord, sadyzm ; rozbój, rabunek, kradzież ; niewola ; egalitaryzm ; bezprawie ; absolutyzm (cezaryzm) ; kult wodzów ; liberalizm ; kult siły ; żądza władzy ; kastowość, walka klas ; standardyzacja ; totalitaryzm państwowy ; przerost etatyzmu ; negacja narodu ; religia narzędziem władzy ; antytradycjonalizm ; seksualizm ; prostytucja, libertynizm ; kłamstwo, hipokryzja, faryzeizm ; wyobrażenie Boga (bóstwo złe) ; zło ; satanizm ; magia, kabała, okultyzm, zabobon ; oderwanie wiary i etyki od życia ; materializm ; przerost merkantylizmu ; poza ; pycha i współpycha ; teoria barbarzyństwa ; bezczelność ; cynizm ; przerost nacjonalizmu ; formalistyka (litera)''. Jednym słowem : to co p. Pawlikowski popiera — zapewne ,,jako Polak, narodowiec i katolik'' — to wszystko ma swą kolebkę w środkowej Europie. To czego nienawidzi (a będzie tu liberalizm i totalitaryzm ; hipokryzja i cynizm ; egalitaryzm i kult wodzów ; indywidualizm i psychika stadna ; kastowość i walka klas ; negacja narodu i przerost nacjonalizmu) wywodzi się z Azji.

Nie wiadomo co najbardziej uderza w tym potwornym pomieszaniu pojęć : ignorancja, naiwność czy bezczelność (którą p. Pawlikowski uważa za cechę żydowską). Gruntowne wykazanie rozmiarów ignorancji wymagało by równie obszernego jak ,,Dwa Światy'' tomu. P. Pawlikowski posiada rozległą szla-

checką „kulturę kameralną", masę czytał, ma w głowie zamęt solidnie ugruntowany datami, nazwiskami, tytułami książek. Ale z nauką nie liczy się zupełnie. Większa część cytowanych źródeł — to albo szanowni, ale od dawna nieaktualni dziewiętnastowieczni uczeni, albo faszystowscy „pseudonaukowcy", albo mistrzowie duchowi p. Pawlikowskiego jak Maurras czy Dmowski. Weźmy chociażby rozdział pt. „Co to jest rasa?", w którym na pięćdziesięciu stronach p. Pawlikowski buduje jeszcze jedną teoryjkę na podstawie której „nazwa rasy z rzeczy nierealnej, ale jako taka zbadanej, przerzucona zostaje na rzecz realną, ale zupełnie jeszcze zagadkową". Na próżno byśmy szukali w tym rozdziale jakiejkolwiek informacji o współczesnych osiągnięciach genetyki. P. Pawlikowskiemu najwidoczniej nazwiska takie jak Julian Huxley, T. Dobzhansky, H. J. Muller są całkowicie nieznane. Mogłoby się w pewnej chwili wydawać, że powołuje się on na tego ostatniego pisząc, że „Jakub Grimm, a później Muller (Anglik)... wynaleźli rasę indogermańską", ale z kontekstu wynika, że chodzi tu o dziewiętnastowiecznego etnologa Max-Mullera, którego teorie są dziś całkowicie zdyskredytowane. Podobnie, mimo że często mowa o religii, antropologii, etnologii, na próżno byśmy szukali wzmianki o Frazerze, Dumezilu, Maussie. Nawiasem mówiąc, antysemita Pawlikowski podkreśla, że nie jest „rasistą" w sensie hitlerowskim (chodzi mu o dziedziczność cech duchowych, a nie cech fizycznych). Co prawda dodaje, że nawrócenie Żyda na chrześcijaństwo nie zmienia bynajmniej jego strasznych dziedzicznych obciążeń i że do neofitów należy się odnosić bardzo ostrożnie. Ale obserwując ideowych kolegów p. Pawlikowskiego dochodzi się do wniosku, że uznaje on jednak jeden sposób zlikwidowania przekleństwa azjatyckiego : krew żydowska najwidoczniej przestaje działać u polskiego endeka.

Powracając jeszcze do ignorancji, przejawia się ona może najbardziej skandalicznie w zasadniczej tezie książki. Jak można Azję, kolebkę ducha, kontynent w którym człowiek najdalej zaszedł na drodze duchowej ewolucji, jedyną kulturę w której doświadczenie mistyczne nie jest sporadycznym i dość przypadkowym zjawiskiem — sprowadzać do rzędu źródła wszelkiego zła i promotora materializmu? P. Pawlikowski z pożytkiem mógłby przeczytać co na ten temat pisze Simone Weil, która w podziwianej przez niego cywilizacji rzymskiej widzi źródło „Lewiatana" społecznego. Ignorancja? Zła wiara? Może raczej pewna zawodowa deformacja wynikła z „Króla Ducha" nakazuje p. Pawlikowskiemu traktowanie Buddy jako rodzaj „gorszego Słowianina" i umieszczenie prawdziwych źródeł chrześcijaństwa nad Wisłą.

Naiwność jest rozbrajająca. Punktem wyjścia wszelkich rozważań cywilizacyjnych jest według p. Pawlikowskiego Polska. Oto dosłowny cytat z jego książki : „Faktem, który powinien służyć za punkt wyjścia wszelkich teorii o genetyce społeczeństw i cywilizacji jest ten, iż parciu Niemców na wschód

rozpoczętemu przez Ottona I-go przez ziemie Słowian połabskich, zdecydowany opór stawiła dopiero Polska, jedyny lud z pradawna osiadły, który nie ruszył się z miejsca od czasów, gdy pierwsza fala ,,Ariów'' poszerzając swe siedziby, wchłonęła tam rzadkie wpływy fińskie, po zaczerpnięciu stamtąd sama uprzednio soków nordyckich''. Jakże rozbrajający jest ten słoń — nie, przedpotopowy mamut Sprawy Polskiej z czysto aryjską trąbą i sokami nordyckimi w żyłach ! Posłuchajmy z kolei opowiastki o emigracji politycznej ,,Azjanitów'' (z objaśnienia do mapy obrazującej ,,drugą połowę trzeciego tysiąclecia przed Chr.'') : ,,Ucisk państw mezopotamskich powoduje falę emigracji Azjanitów w grupach oddzielnych na zachód, okrajami Śródziemnomorza, gdzie widzimy ją w mrokach prehistorii europejskiej''... Te mroki prehistorii europejskiej wydają się nam teraz znajome : rozjaśnia je wątłe łuczywo ,,Ogniska Polskiego''.

Do bezczelności trzeba zaliczyć ustępy, które p. Pawlikowski poświęca Żydom. Nabożnie cytuje on całą antologię najpodlejszych endeckich wypowiedzi z lat przedwojennych. Przynosiły one Polsce wstyd moralny i intelektualny w czasie kiedy były napisane — cóż powiedzieć o propagowaniu — po straszliwej tragedii narodu żydowskiego, po hitlerowskich krematoriach i warszawskim ghetcie — takich zdań jak : ,,Panowie Tuwim, Wat, Wittlin, Stern, Słonimski — wszyscy jednakowo makabryczni, nekroforyczni, krwawi i łajni''.

P. Pawlikowski częstuje nas nie tylko intelektualnymi elukubracjami, ale również własnymi obserwacjami ,,z życia''. Wiadomo, nic tak nie uczy, paniedzieju, jak dobry spacer po parku ze strzelbą : ,,Strzelałem kiedyś u siebie w parku gawrony.. Spadało ich po kilka, a że nie każdy był zabity, dobijałem go następnym strzałem. Przyglądali się temu chłopcy wiejscy.... i zanim dobiłem gawrona, uciekającego na piechotę, chcieli go złapać żywcem. — ,,Po cóż to robisz ?'' — ,,Męczyć ! Męczyć !'' — odpowiadali. Dosłownie ! Byli to chłopcy ruscy (co nie znaczy, że nie znałem i szanownych Rusinów, dalekich od podobnych uczuć, niemniej tłumaczy to wiele dlaczego Niemcy do najpodlejszej, siepackiej służby w Polsce używali Ukraińców)''. Jakże łatwo szerzyć nienawiść : wystarczy przypisać okrucieństwo właściwe chłopcom na całym świecie (o ile nie są wychowani na ,,Królu Duchu'') chłopcom jednej narodowości (przepraszam — ,,grupy etnicznej''), dodać do tego uporczywie krążące kłamstwa historyczne — i załatwiliśmy się z Ukraińcami!

P. Pawlikowski uważa się za katolika. Jest nim w tym sensie co jego mistrz Maurras. Ale chrześcijaństwo jego jest bardziej zagadkowe. Kwestia wolnego wyboru na przykład wydaje mu się bardzo podejrzana. Powołuje się on tu na innego swego mistrza — Dmowskiego : ,,Zarazili się tym przekonaniem nawet niektórzy i to myślący, katolicy. Tymczasem, tylko wyjątkowe charaktery zdolne są kierować w swym postępowaniu nabytymi w swym indywidualnym życiu zasadami, czy to religijnymi czy jakimikolwiek innymi. O postępowaniu przeciętnego

człowieka decyduje jego natura, *jego instynkty moralne nabyte przez pokolenia"*. (Podkreślenie autora). Na szczęście w hierarchii filozofii katolickiej Jacques Maritain wyżej stoi od Romana Dmowskiego, a w hierarchii kościelnej Watykan wyżej od ks. Józefa Jarzębowskiego.

P. Michał Pawlikowski należy do rodziny, która dla kultury polskiej położyła bezsprzeczne zasługi. Przyjaciele lubią go i szanują, uchodzi za człowieka o kryształowym charakterze i wielkiej kulturze. Gdyby te jego szlacheckie ,,bziki'' znalazły ujście w rozmowach z sąsiadami na tarasie, nikt by mu ich nie brał za złe. Ale uwiecznienie tej współczesnej karykatury pijarskiej ignorancji, pozbawionej nawet tego elementu fantazji i naiwnej zarozumiałości z którą szlacheckie rody wywodziły się od Colonnów czy Doriów, jest inną sprawą. W emigracyjnych warunkach setki czytelników składają się na wydanie tej książki, podczas gdy prawdziwi pisarze, historycy z prawdziwego zdarzenia zapełniają szuflady rękopisami, które nie mogą ujrzeć światła dziennego. To nasz, wewnętrzny, emigracyjny skandal. Nie dość na tym. ,,Słowo'' p. Pawlikowskiego ma pójść w świat : na końcu książki jest małe ,,reziume'' w ziemiańskiej francuzczyznie, przypominające wywody tej pani cytowanej przez Boya, która tłumaczyła ,,ce que sont les portki''. A wreszcie najsmutniejsza strona ,,Dwóch Światów'' : z jaką radością rzucą się na tę książkę reżimowi propagandziści w Kraju, karmiący fałszem i kłamstwem polskiego czytelnika. Rzetelną naukę, obiektywną analizę mogą oni albo pominąć milczeniem, albo obrzucić błotem bezsilnych obelg. Nie często zdarzy im się podobna okazja schwytania takiego przeciwnika, którego mętna woda stworzona jest na młyn ,,Diamatu''.

K. A. JELEŃSKI

Wydawnictwo im. Czechowa

Po niezwykle bujnym życiu kulturalnym, jakie przejawiała emigracja rosyjska w pierwszych latach swego wygnania, już w latach trzydziestych prawie że nie spotykamy nowych wydawnictw w języku rosyjskim. W pierwszym okresie pojawiały się, głównie w Berlinie, w Pradze i Paryżu, nie tylko książki autorów rosyjskich przebywających na emigracji, ale często również i pisarzy przebywających w Sowietach. Po dziś dzień np. wiele prześlicznych utworów Jesienina można znaleźć tylko w zapomnianych wydawnictwach berlińskich.

Pierwsze i jedyne, zresztą skrócone wydanie znakomitej powieści E. Zamjatina *My* ukazało się w czasopiśmie eserowskim ,,Wola Rosji'' w Pradze w roku 1927. I dopiero w roku 1952 ukazuje się pełne wydanie tej powieści po rosyjsku, w nowo założonym w Nowym Jorku WYDAWNICTWIE IMIENIA CZECHOWA.

Dzięki poparciu Fundacji Forda Wydawnictwo Imienia Czechowa podjęło na nowo akcję publikowania książek w języku rosyjskim. Jest to akcja potrzebna i cenna. Dotychczas bowiem każdy student literatury rosyjskiej skazany był na korzystanie prawie wyłącznie z niesłychanie tanich i łatwo dostępnych wydawnictw sowieckich. W praktyce można było więc czytać klasyków rosyjskich jedynie w wyborze i z komentarzem sowieckim. Wprawdzie Sowiety zaadoptowały większość klasycznej literatury rosyjskiej, zaopatrując ją jedynie w odpowiedni ideologiczny komentarz, niemniej jednak szereg interesujących pozycji literackich w dalszym ciągu pozostało na indeksie. Taki np. Dostojewski przedstawiany jest w wyborze sowieckim w sposób fałszywy i bezsensowny. Sowieckie wydania bowiem przedrukowują głównie wczesne utwory Dostojewskiego, słabe i nieciekawe, jak np. ,,Skrzywdzeni i poniżeni'' a pomijają zupełnie jego największe dzieła z okresu dojrzałości pisarskiej. Nie trudno się domyśleć dlaczego autor *Biesów* jest cenzurowany w Sowietach. Podobnie cenzurowani są tacy pisarze jak Sołowjew, Czaadajew czy Hercen. W tych warunkach Wydawnictwo Imienia Czechowa mogłoby skorygować wiele z tych tendencji i wypełnić luki świadomie tworzone przez propagandę bolszewicką.

Co prawda, pierwsze pozycje klasyków w Wydawnictwie Imienia Czechowa zdają się wskazywać, że problem ten tutaj nie jest jeszcze właściwie oceniany. Wydano na razie *Wiersze wybrane* Tiutczewa. *Powieści* Gogola i powieść Leskowa *Soborjanie*. Wiersze wybrane Tiutczewa nie przynoszą nic nowego. Komentarz również nie wnosi nic nowego, chronologia utworów jest niejasna i całe opracowanie robi wrażenie przypadkowego. Trzeba pamiętać, że jakkolwiek wydania sowieckie są robione tendencyjnie to samo opracowanie tekstów, języka, stylu, chronologii jest na ogół uderzająco staranne.

Przypomnienie Leskowa jest słusznym przedsięwzięciem. Jest to bowiem pisarz szczególnie niedoceniany. Jeżeli bowiem nawet jego utwory nie są tak ,,głębokie'' jak dzieła Tołstoja czy Dostojewskiego, to ich wartości literackie stawiają Leskowa w rzędzie absolutnie czołowych pisarzy rosyjskich drugiej połowy XIX wieku. Przy okazji można by wspomnieć na bliskie związki jakie łączyły Leskowa z literaturą polską. Wdzięczny to temat do opracowania dla polskiego rusycysty, tym bardziej, że Leskow jest jednym z tych pisarzy rosyjskich, który nie miał zupełnie tak często spotykanego u niektórych pisarzy rosyjskich kompleksu anty-polskiego.

Z pozycji współczesnych ze szczególnym zadowoleniem znajdujemy w Wydawnictwie Imienia Czechowa obszerny wy-

bór poezji uroczej poetki Anny Achmatowej. Achmatowa, żyjąca w Sowietach, w zapomnieniu i opuszczeniu, jest ciągle żywym symbolem tradycji prawdziwej poezji rosyjskiej zdławionej przez głupawych politruków. Równie cenną pozycją jest wydanie nieznanych utworów Gumilewa, rozstrzelanego w r. 1920 przez bolszewików. W odróżnieniu do przypadkowego opracowania wyboru wierszy Tiutczewa, czy mało wartej antologii liryki rosyjskiej ,,Od Żukowskiego do Bunina'' utwory Gumilewa wydane zostały w doskonałym opracowaniu prof. Struwego.

Z utworów prozą, poza prześliczną opowieścią Romana Gula — *Ryżyj koń* i W. Nabokowa *Dar*, szczególną uwagę wśród książek opublikowanych przez Wydawnictwo Imienia Czechowa zwraca wspomniana już uprzednio powieść Zamjatina *My*. Zamjatin należał do grupy czołowych pisarzy sowieckich z tego samego środowiska co Majakowski czy Zoszczenko. Gorący entuzjasta rewolucji bolszewickiej już w pierwszych latach istnienia państwa sowieckiego odkrywa grozę i tragedię przyszłości czekającej naród rosyjski pod rządami bolszewików. Obdarzony niezwykłym talentem satyrycznym wcześniej niż inni spostrzega drogi po których rozwijać się będzie totalizm komunistyczny. W roku 1931 opuszcza Rosję, w r. 1937 umiera na emigracji. Powieść *My* została napisana w roku 1921. Pierwsze wydanie w języku francuskim (Nouvelle Revue Française) ukazało się w roku 1924. W tym samym czasie wyszedł przekład angielski (Dutton, Nowy Jork). Jest to powieść z typu utopii satyrycznych. Ukazuje ona bowiem wizję państwa totalistycznego, w którym pojęcie ,,ja'' zostało zastąpione pojęciem ,,my''. Zamjatin nazywa je ,,Państwem jedynym''. ,,Państwo jedyne'' składa się z 10 milionów ludzi, którzy nie mają imion tylko numery. Rządzi nimi anonimowy ,,Dobroczyńca''. System życia oparty jest na matematycznej racjonalizacji. Jednym z podstawowych pojęć wdrażanych przez ,,Dobroczyńcę'' obywatelom-numerom jest twierdzenie, że ,,instynkt niewoli jest od zarania dziejów organiczną cechą człowieka''. Ludzie-numery żyją w szklanych domach a na ulicach ustawione są membrany notujące wszystkie rozmowy tłumu : ,,Jedyne państwo'' oddzielone jest od reszty świata ,,Zieloną ścianą'' poza którą rozciąga się świat prymitywnych barbarzyńców, którzy nie rozumieją jakim szczęściem jest niewola. Ta wstrząsająca wizja totalistycznego szaleństwa napisana na kilkanaście lat przed Aldousa Huxleya ,,Nowym, wspaniałym światem'' i Orwella ostatnim utworem ,,Rok 1984'', jest jak gdyby przedłużeniem ,,Wielkiego Inkwizytora'' z ,,Braci Karamazowych'' czy obłąkanych fantazji Szigalewa z ,,Biesów'' Dostojewskiego.

Innego typu książką, która stanowi równie ważną i cenną pozycję w Wydawnictwie Imienia Czechowa jest *Wieczernyj Dień* Władimira Wejdle — zbiór essejów i impresji autora z podróży po Włoszech, Wielkiej Brytanii i Francji Południowej. Lektura tych subtelnych, głębokich i prześlicznie napisanych utworów może stanowić prawdziwą satysfakcję dla każdego

czytelnika. Władimir Wejdle jest autorem szeregu znakomitych prac z dziedziny historii i filozofii sztuki, jak również, niedawno wydanej po angielsku książki pt. : ,,Russia present and absent'', niewątpliwie jednej z najciekawszych i najbardziej wnikliwych jakie w ostatnich czasach napisano o Rosji.

W osobny dział można by ująć wydane przez Wydawnictwo Imienia Czechowa książki pisarzy sowieckich, którzy ,,wybrali wolność''. W tym dziale nie wszystkie pozycje znajdują się na jednakowym poziomie. Trudność z pisarzami wychowanymi w systemie sowieckim polega na tym, że bez względu na talent literacki nie umieją pozbyć się tych obciążeń formalnych, jakie narzuciła im szkoła sowiecka. Nie wiedzą, że napisać anty-komunistyczną książkę to wcale nie znaczy napisać dobrą książkę. W Rosji sztuka jest propagandą. Literatura operuje typami i tezami politycznymi. Życie wewnętrzne człowieka nie może być przedmiotem twórczości literackiej. Pisarze sowieccy na Zachodzie muszą od początku nauczyć się pisać o człowieku wewnętrznym a nie tylko relacjonować fakty i wydarzenia.

Na tym tle, szczególnie interesująco wyróżnia się książka byłego pisarza sowieckiego Michała Korjakowa pt. *Oswobożdienje duszi.* Korjakow, syn chłopa syberyjskiego, wychowany całkowicie w systemie sowieckim był do wybuchu wojny kustoszem Muzeum Tołstoja w Jasnej Polanie, członkiem Związku pisarzy sowieckich i współpracownikiem szeregu pism literackich. Bierze udział w obronie Moskwy, po czym zostaje przydzielony jako korespondent do sowieckiej 6-tej Armii lotnictwa. Po wkroczeniu do Polski uczy się języka polskiego i rozczytuje w literaturze polskiej. Czyta Lelewela, Brzozowskiego, Kasprowicza, Żeromskiego. Jest wstrząśnięty głęboko życiem religijnym Polaków. Po zakończeniu wojny pracuje przez pewien czas w sowieckim konsulacie w Paryżu, potem ucieka do Brazylii a stamtąd do Stanów Zjednoczonych. Obecnie wykłada literaturę rosyjską na katolickim uniwersytecie Fordham w Nowym Jorku. *Oswobożdienje duszi* jest próbą retrospektywnej analizy życia autora i motywów jakie doprowadziły go do chrześcijaństwa i cywilizacji zachodu. Jest to książka piękna i wzruszająca. Autor pisze świetnym językiem rosyjskim, żywym i malowniczym. Czytelnika polskiego zainteresują opisy Polski i dramatycznych chwil jakie Korjakow przeżywał w Lublinie i Częstochowie. Właściwie książka ta powinna ukazać się kiedyś w tłumaczeniu polskim.

Trudno jest poruszyć w jednym artykule wszystkie pozycje Wydawnictwa Imienia Czechowa. Jest ich bardzo wiele, i mnożą się jak grzyby po deszczu. Należy im życzyć rozwoju w pożytecznym przedsięwzięciu, które wreszcie położy kres monopolowi wydawnictw sowieckich w języku rosyjskim.

Szereg utworów, które ukazały się w formie książkowej w obecnym Wydawnictwie Imienia Czechowa już było drukowanych częściowo w kwartalniku rosyjskim *Nowyj Żurnał,* redagowanym przez profesora Michała Karpowicza, jednego z nau-

kowców szczególnie zasłużonych dla rozwoju slawistyki w Stanach Zjednoczonych. Profesor Karpowicz wykłada na uniwersytecie Harwardzkim. *Nowyj Żurnał* poświęcony głównie sprawom kulturalnym skupił najpoważniejsze pióra slawistów amerykańskich i pisarzy rosyjskich. Na łamach *Nowego Żurnała* ukazały się prace Polaków : prof. Wacława Lednickiego, m. in. znakomite studium krytyczne o tzw. ,,polskim'' poemacie Aleksandra Błoka pt. *Odwet*, oraz prof. Wiktora Weintrauba. *Nowyj Żurnał* wkroczył już w dwunasty rok swego istnienia. Jego poważny, obiektywny, naukowy charakter sprawia, że jest to pozycja w wydawnictwach rosyjskich, której możemy pozazdrościć emigrantom rosyjskim.

Jan OLECHOWSKI

Wspomnienia

Mam przed sobą dwie książki z Wydawnictwa im. Czechowa w Nowym Jorku : *W różowym blasku* Remizowa i *Spotkania* Terapiano.

W różowym blasku ma wszystkie zalety najpiękniejszych remizowowskich wspomnień jak *Podstrzyżonymi oczami*, wydanych przez YMCA w Paryżu czy wspomnień petersburskich, dawno już wyczerpanych. To samo bogactwo języka, najeżone słowami, które nie istnieją w słownikach, a czarują wyrazistością i dźwiękiem. Przy tym proza ta jest tak ,,gęsta'', pełna skrótów, aluzji do przeżyć różnego wymiaru, nawarstwiona i bogata w barwy, że książki tej nie można czytać szybko : należało by ją czytać głośno. To samo co w tamtych książkach Remizowa spojrzenie na człowieka, bez śladu ,,typizacji'', poprzez detal pozornie najmniej ważny, gest którego siły ewokacji nikt inny by nie odgadł; ta sama jak we wszystkich książkach Remizowa pasja życia — nawet na dnie cierpienia. Jest prawie niezrozumiałe i godne podziwu jak się mogła uchować w pisarzu taka pasja życia poprzez wszystkie próby, poprzez trzydzieści lat gorzkiej emigracji, pasja nawet wtedy kiedy to życie jest ,,stracone, smutne, trwożliwe, ale jedyne i niepowtarzalne''.

,,My nie przez myśl kochamy, ale poprzez miłość myślimy i w myśleniu serce pierwsze''. Te słowa Rozanowa mogłyby być mottem całego dzieła Remizowa. *W różowym blasku* nie ma żadnej innej hierarchii wartości jak hierarchię subiektywną — siły uczuciowego przeżycia. Fakt jest mniej lub więcej ważny, zależnie od tego czy człowieka więcej lub mniej dotyka, cieszy czy boli, Tak samo człowiek znaczy więcej dla Remizowa jeżeli jego zdolność przeżywania jest pełniejsza i większa. Małej Oli kradną pierwszy, ukochany pierścioneczek z czarną i niebieską emalią

—„supirczyk". Ola po raz pierwszy stawia sobie pytanie „za co?" Bezsilność wobec takiego nieszczęścia, to pierwsze odczucie krzywdy, opisuje i wyczuwa autor jako niemniej ważne niż bunt studentek po wiadomości o zgwałceniu koleżanki przez policjanta w więzieniu, czy zsyłanie młodzieży na Sybir. Czytając Remizowa wyzwalamy się z utartej, i dzięki temu już nieraz mechanicznej, hierarchii wartości; patrzymy na świat znowu oczami dziecka : z zachwytem, bólem czy nawet z wesołym śmiechem. Książka ta nie jest przy tym obojętna na wstrząsy dziejowe, w których żył Remizow. Religia, rewolucja, walki społeczne nie są wcale usunięte z pola widzenia (żyjemy z bohaterami w oku cyklonu) — są jednak wszystkie znów przełamane w sercu ludzkim, nabierają innej wymowy i nieoczekiwanych proporcji.

W różowym blasku to hołd pamięci dla zmarłej żony pisarza; widzimy rosyjski świat przedrewolucyjny *jej* oczami : dziecka, dziewczynki, studentki w Petersburgu, potem rok więzionej i zesłanej. Ten „różowy blask" to blask ofiarnego, młodzieńczego serca, serca fanatycznie i religijnie wierzącej w Nowe Jeruzalem, które nastanie po rewolucji. Żadna obiektywna historia tamtych czasów nie może dać takiego wniknięcia w *atmosferę* epoki, nie może dać wyczucia ładunku nadziei i ofiar, jaki niosła w sobie ta fala rewolucyjna, i zrozumienia jakim niewiarygodnym, już dziś naiwnym, optymizmem oddychała ta młodzież, zsyłana i więziona (jakże przecież liberalnie), ta młodzież, chciałoby się powiedzieć — szczęśliwa.

W książce są interesujące polonica. Ola, bohaterka, jest z domu Dowgiałło, pochodzenia litewsko-polskiego. Remizow w zakończeniu podaje historię jej rodziny, jej litewskie i polskie powiązania i pokrewieństwa. Jest tam również opowieść o samobójstwie polskiego zesłańca, przyjaciela Oli, który w dalekim kraju wołogodzkim zaczytuje się w Krasińskim i poprzez tam przysłaną mu „Chimerę" odkrywa Norwida.

Czytelnika polskiego uderza, większa jeszcze niż w normalnej prozie rosyjskiej, ilość słów czy to pochodzenia polskiego czy to o wspólnych, w potocznej mowie rosyjskiej zatraconych, źródłach. Bo znów ten język Remizowa jest stopem nowoczesnego słowotwórstwa z językiem rosyjskim sprzed Karamzina.



Druga książka, *Spotkania* Terapiano, jest cenna jako materiał wspominkarski. Pomijam dodane artykuły o Psichari i Péguy, gdyż nie wnoszą one nic nowego i robią wrażenie pobieżnej popularyzacji. Nieporównanie ciekawsze są wspomnienia o pisarzach-emigrantach rosyjskich w Paryżu, z okresu między dwiema wojnami. Terapiano pisze najwięcej o Mereżkowskim. Rola jego w rosyjskiej emigracji była znaczna lecz dziś, nawet u samych Rosjan, jakby wpadł w zapomnienie. Jego vies romancées, niezmiernie w swoim czasie czytane (był prekursorem tego

typu literatury) zasłoniły pisarza o wiele bardziej znaczącego, autora dzieła o Tołstoju i Dostojewskim, tomów o chrześcijaństwie i religiach antycznych. Terapiano mówi słusznie, że to co było jednak najcenniejsze w Mereżkowskim jakby nie przeniknęło do jego książek. Wszyscy, którzy go znali, wyczuwali w nim w pewnych chwilach, inny wymiar przeżyć, autentyczne natchnienie. W życiu prywatnym pełen uroku, ale nieraz rozkapryszony i dziecinny, politycznie nieodpowiedzialny (jedyny punkt stały to jego namiętnie antysowieckie stanowisko), miał w dziedzinach religijnych zadziwiającą intuicję : nie darmo Rozanow, jego przeciwnik ideologiczny, jemu chciał zapisać swoje materiały o religiach antycznych. Krótki artykulik o Zinaidzie Gippius mówi za mało o tej wybitnej poetce rosyjskiej, symbolistce z epoki Błoka, Biełyja i Briusowa i żonie Mereżkowskiego. Wspomnienia Złobina, wieloletniego sekretarza i przyjaciela obojga, wydane w jednym z pism emigracyjnych, wydają mi się o wiele bardziej ostre i głębiej naświetlone.

Cenne w książce Terapiano są wspomnienia o takich pisarzach emigracyjnych jak Felzen — zmarły w obozach niemieckich, i poeta Popławski, zabity w 1935 r., w Paryżu, przez jakiegoś dekadenckiego wariata. W długiej liście książek wydanej przez Instytut im. Czechowa, nie znajduję tych dwóch nazwisk. Felzen był pisarzem ówczesnej młodej generacji, na pewno jednym z najciekawszych obok Gazdanowa *) i Popławskiego. Rytm jego zdań, oddech, typ analizy, przypominały Prousta. W proustyzmie Felzena nie było jednak śladu mody czy snobizmu, było pokrewieństwo. Tylko że wyczulony aparat obserwacyjny tego skromnego pisarza, nie szukającego popularności i dalekiego od wszelkiej patriotycznej czy socjalnej tematyki, skierowany był nie na salony i ,,Charlusów'', ale na przeżycia intymne ,,Adolfów'', żyjących w miazdze emigracyjnego ghetta. Popławski, o którym Terapiano podaje wiadomości, obalające fałszywe plotki, krążące o jego tragicznej śmierci (kokaina, samobójstwo) jest — wydaje mi się — pisarzem, którego Instytut im. Czechowa koniecznie powinien drukować. Zmarł mając 32 lata; prowadził życie nędzne i głodne na Montparnassie. Poezję jego Terapiano wiąże z surealizmem (czy nie jest prędzej klasycyzująca i tiutczewowska niż surrealistyczna ?). Był on również świetnym prozaikiem. Pamiętam essai o literaturze ginącego świata, o procesie twórczym, o pisarzach drugiej klasy, o których pamięć ginie najszybciej i bezpowrotnie (miał dla nich specjalną czułość). Czytałem go parę lat przed wojną w ,,Utwierżdienji'' — zachowałem o nim dotychczas niezatarte wspomnienie. Jego proza miała celność, głębię i ,,muzykę'', tyle wstydliwego smutku i mężnej rezygnacji, że czytelnik zgadywał natychmiast nie tylko pisarza dużej miary ale i wyjątkowego

*) Gazdanow umarł również młodo, w Marsylii, jako robotnik w chłodniach mięsa z Argentyny. Do Francji przybył poprzez Chiny.

człowieka. Terapiano pisze, że proza Popławskiego jest prawie cała w rękopisach, że zostawił dziennik. Jeżeli te teksty nie zaginęły należało by je wydać. Dla nas, emigrantów polskich, los tej garstki autentycznych pisarzy rosyjskich — emigrantów których spotykaliśmy czy mijaliśmy w kawiarniach Montparnassu nie wiedząc, że tak prędko będziemy ich los dzielić — staje się dziś dotkliwie bliski — braterski.

J. CZ.

“ Le problème allemand ”

Ostatni numer ,,La Nef'' jest pracą zbiorową, zawierającą kilkanaście artykułów o Niemczech współczesnych, zgrupowanych w trzech działach : 1) dane, 2) polityka zwycięzców i 3) inna polityka ? Książka zawiera artykuł p. Edwarda Herriot pt. ,,Niemcy w obliczu pokoju'' oraz jest poprzedzona wstępem p. Leo Hamon, który — jak widać ze wstępu — był inicjatorem i naczelnym redaktorem pracy zbiorowej. P. Hamon pamiętamy z zeszłorocznego kongresu socjalistów-federalistów europejskich we Frankfurcie, gdzie (jako nie-socjalista zresztą, lecz jak mówiono, zbliżony do grupy gen. de Gaulle) przedstawił odważnie i szczerze zastrzeżenia dużej części opinii francuskiej w odniesieniu do armii europejskiej. Wywołał wówczas oburzenie wśród delegatów-socjalistów francuskich, którzy właśnie przedstawiali — bezskutecznie — swym niemieckim towarzyszom korzyści tejże europejskiej armii.

Czytelnik niewątpliwie nauczy się wiele z prac, zawierających dzieje i analityczne przedstawienie stosunków społecznych, politycznych, religijnych i tendencji nurtujących współczesne Niemcy. Część polityczna natomiast wzbudzi z pewnością szereg zastrzeżeń. W odniesieniu np. do Niemiec wschodnich niektóre uwagi straciły już aktualność, wobec szybkiego rozwoju wydarzeń, choć książka ukazała się w grudniu ub. roku. Odnosi się m.in. wrażenie, że przesadza się znaczenie zmian w psychice ludności Niemiec wschodnich w tym stosunkowo jeszcze krótkim okresie rządów komunistycznych. A już obszerne powoływanie się na poglądy p. Dertingera, do niedawna ministra spraw zagranicznych we wschodnim Berlinie, a zwłaszcza opieranie na tych poglądach pewnej koncepcji politycznej, nie może brzmieć przekonywująco, wobec tego, że p. Dertinger znajduje się dziś... w więzieniu.

Ogólnie, prace zmierzają do wykazania, że projektowana armia europejska doprowadzi do przewagi Niemiec nad Fran-

R. Juliard, Paris, 1952.

cją i w ogóle w Europie zachodniej i wyrażają obawy z tym związane wobec istnienia w Niemczech zachodnich silnego irredentyzmu. Autorzy wypowiadają się za ponowieniem próby rozmów ze Związkiem Sowieckim celem utworzenia zjednoczonych i zneutralizowanych Niemiec. Podkreślają niebezpieczeństwo wojny, wynikające z niemieckich roszczeń na wschodzie.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że myślą przewodnią książki jest stworzenie wolnej Europy, w której zneutralizowane Niemcy przestałyby grać rolę damoklesowego miecza. Autorom chodzi przede wszystkim o ustalenie zasad kompromisu ze Związkiem Sowieckim, którego obecny stan posiadania w Europie uważają najwidoczniej za niewzruszony i w poglądach swoich zbliżają się do poglądów niemieckich neutralistów grupy p. Pfleiderera : wycofanie armii sprzymierzonych za Ren, w zamian za wycofanie armii sowieckiej za Odrę. Granica na Odrze i Nysie jest przy tym uważana za granicę rosyjską. Słowem, mit wielkiej Rosji, od dawna zakorzeniony we Francji, nadal trwa pod maską realizmu, a o uwolnieniu krajów za żelazną zasłoną pisze się w tej książce ironicznie i w cudzysłowie. Rozwiązanie światowego konfliktu widzi się w kompromisie, opartym na zasadzie równowagi — najwidoczniej w przekonaniu, że kompromis ten będzie dotrzymany. Tutaj już pozorny realizm zamienia się w mistyczną wiarę, której wyrazem jest m. in. następujące zdanie : ,,My, którzy wierzymy w możliwość współistnienia świata sowieckiego i świata zachodniego...'' (André Monteil). Na czym opiera się ta wiara? Czy na wywiadach, udzielonych przez Stalina, czy też na przypuszczeniu, że w polityce cuda są możliwe — to jest tajemnicą.

W każdym razie książkę przeczytać warto i należy.

J. PR.

Oficyna poetów i malarzy

Najpierw o ilości, potem o jakości. Od statystyki do krytyki. Przy statystycznym spojrzeniu na ,,Oficynę Poetów i Malarzy'' uderzają trzy rzeczy : ilość tytułów, nakład i zbyt. Druk pierwszego tomu — czytamy w ujmująco pedantycznych notach wydawców — rozpoczęto 25 marca 1950 roku, druk ósmego ukończono 10 listopada 1952 roku. Wydanie w ciągu dwu lat ośmiu bibliofilskich druków, w znacznej części wykonanych własnoręcznie przez wydawców, w tak zwanych wolnych chwilach — to nie fraszka, zwłaszcza gdy się nie traci z oczu dwu słów dopełniających tytuł tej niezwykłej imprezy: ,,Oficyna Poetów i Malarzy *na Emigracji*''. A *na emigracji* to znaczy : w baraku, w tyraniu, w utrapieniach, w gęstej mgle obojętności cudzej i własnego zagubienia.

Nakłady ? Śmieszne. Od 200 do 355 egzemplarzy. Stephen Spender w szkicu ,,Położenie pisarza amerykańskiego'', ogłoszonym w ,,Horizon'' przed paru laty, twierdzi, że w Stanach nakład poniżej 10.000 jest nieopła-

calny. Nie pokrywa kosztów, nie tyle druku, oprawy itd., ile reklamy i utrzymania przedsiębiorstwa, którego towarem jest książka. Bezmiar tego współczesnego szaleństwa, opartego na ścisłej kalkulacji, uwydatni najlepiej przypomnienie, że niedawno jeszcze, bodajże do połowy ubiegłego wieku, książki będące dziś lekturą obowiązkową każdego wykształconego człowieka, książki zmieniające bieg dziejów — często nie przekraczały w pierwszym wydaniu trzycyfrowego nakładu.

Pomińmy nawet to, że jedno prawdziwe przeżycie w duszy jedynego choćby czytelnika jednego wiersza jest wartością bezwzględną i niewspółmierną z setkami tysięcy egzemplarzy i dolarów. Przejdźmy do sprawy wymierniejszej : sprawy wpływu. Bibliofilskie nakłady wcale nie oznaczają wyrzeczenia się wpływu — risum teneatis — na historię. Weźmy taki ,,Paryż'' Terleckiego. Nie jest to arcydzieło, jest to mądra, wrażliwa i smaczna książeczka, natchniona wierną miłością do ,,drugiej ojczyzny'' ,,Francuzów północy''. Otóż nie jest wcale nieprawdopodobne, że jeden z jej 317 egzemplarzy trafi do rąk kogoś, kto będzie kiedyś miał wpływ na politykę kulturalną rządu wolnej Polski. Może będzie posłem, może redaktorem wpływowego pisma, może szefem departamentu, może ministrem... czemu nie ? Może będzie miał głos w sprawie nauczania języków obcych w polskich szkołach średnich ? Albo będzie sporządzał rozdzielnik stypendiów na studia zagraniczne ? Tyle na Londyn, tyle na Fryburg, tyle na Paryż... Kto zaprzeczy, że na jego stanowisku zaważyć może zapomniana nawet książeczka, która kiedyś wzbudziła w nim czy ożywiła ciepłe uczucia dla kultury francuskiej ? I kto nie przyzna, że to, skąd kultura nasza będzie czerpać soki, jest dla dziejów Polski nie mniej doniosłe jak sprawa jej granic i ustroju ?

Pocieszające jest, że kilka tomików ,,Oficyny'' jest już wyczerpanych, przy czym zaznaczyć warto, że wydawcy nie szafują egzemplarzami darmowymi. Jeden otrzymuje Prezydent R. P., kilka idzie do bibliotek, recenzentów, no i autor dostaje parę. To wszystko.

,,Wielka sztuka wyczerpać taki mikroskopijny nakład'' — powie ktoś. Spender oblicza, że w W. Brytanii książki — jakbyśmy powiedzieli — tego rodzaju, jakie wydaje ,,Oficyna'', kupuje około 2.000 ludzi. Stosunek 2.000:45.000.000 jest gorszy niż 200:500.000 (uchodźców polskich).



Szatę graficzną wydawnictw ,,Oficyny'' mógłby i powinien ocenić ktoś ze znawców. Szeregowy czytelnik może mówić tylko o wrażeniu wielkiej troskliwości w doborze czcionki, farby, w układzie, w korekcie, w każdym z tych zaskakująco licznych szczegółów, z jakich się składa książka. Wkład czułej uwagi, jakiego wymaga wydanie druku bibliofilskiego, może się komuś widzieć nieproporcjonalny do osiągniętego wyniku. Nic fałszywszego ! Uwaga jest matką miłości i jak ona ,,nigdy nie ustaje'' (Św. Paweł), nie przemija bez śladu, nie idzie na marne. Mówiąc o uwadze, Simone Weil wspomina świętego proboszcza z Ars : nie szła mu do głowy łacina, ale latami przykładając się do niej z całą uwagą, choć bez powodzenia, wyostrzył swój wzrok wewnętrzny tak, że umiał później sięgnąć nim dna dusz, z którymi obcował w konfesjonale. Uwaga, której owocem jest druk bibliofilski, czy jakikolwiek w ogóle precyzyjny wytwór ludzki, promieniuje z niego, zarażając tych, co się z nim zetkną, świętą miłością szczegółów, której, nawiasem mówiąc, tak bardzo brak właśnie nam Polakom, co z wybitnie uzdolnionego narodu robi jeden z najmniej wydajnych.

Jeśli już strona typograficzna zasługuje na osobne omówienie, to tym bardziej należało by się ono stronie plastycznej. Patrzyłby się tu dwugłos : krytyka literackiego i plastycznego. Nieścisłe jest powiedzenie, że ilustracje ,,zdobią'' tomiki Oficyny. Nie mamy tu do czynienia z plastyką

na okrasę, ale ze związkiem dwu sztuk, zaznaczonym w samej nazwie Oficyny Poetów i *Malarzy*. „Akord'' np. składa się z ośmiu liryków i czterech linorytów, jest więc raczej tomem Przyłuskiego i Wernera, niż tomem Przyłuskiego ilustrowanym przez Wernera. W tym związku góruje na razie słowo, ale zapowiedź, że niebawem wyjdą pierwsze teki rysunków : Mariana Bohusza-Szyszki i Feliksa Topolskiego, świadczy o zamiarze przywrócenia równowagi.

Krytycy, którzy, jak Zahorska i Terlecki, znają się równie dobrze na plastyce jak na literaturze, twierdzą, że kto wie, czy w ostatecznym obrachunku malarstwo i grafika emigracyjna nie zapiszą się trwalej od poezji i prozy. Jeśli tak jest rzeczywiście, to rozprowadzenie utworów emigracyjnej sztuki plastycznej (choćby tylko w najpodatniejszych do reprodukcji formach) tam, dokąd nie docierają nieliczne i niełatwe do urządzenia wystawy — będzie wyjątkowo wdzięcznym i ważnym zadaniem Oficyny.

◆

Dobór tytułów jest i przypadkowy i nieprzypadkowy. Przypadkowy — o tyle, o ile trudno odpowiedzieć, dlaczego ukazały się zbiorki Olechowskiego i Czuchnowskiego, a nie Łobodowskiego i Sułkowskiego, poetów bezspornie chyba lepszych, dlaczego wyszła antologia poezji szwedzkiej, a nie angielskiej czy francuskiej, albo — poezji polskiej wolnego dwudziestolecia. (Wydanie takiej obszernej antologii jest naprawdę pierwszą potrzebą, bo był to okres świetny, bo tylko z niego, jako przedłużenie lub sprzeciw, wyrość może współczesna liryka polska, bo obraz tego okresu jest zamazywany przez niepamięć, niezawinioną i zawinioną, a doprowadzającą do takich skandalów jak ten, że jeden z największych liryków, jakich Polska w ogóle miała — Józef Czechowicz jest dziś, w kilkanaście lat po śmierci, jeszcze powszechniej nieznany niż był niedoceniany za życia. Niewiele lepsza jest nasza pamięć o takich poetach jak Jerzy Liebert, Światopełk Karpiński, Jerzy Paczkowski i — równie dziś zapomniana jak kiedyś sławna — Maria Pawlikowska. (Zapowiedziany przez Oficynę tom ostatnich utworów tej najświetniejszej chyba poetki polskiej będzie najpotrzebniejszym zbiorem poezji wydanym na emigracji).

Głupstwem byłoby oczywiście mieć wydawcom za złe tę przypadkowość, bo przecież wydaje się nie to, co w pierwszym rzędzie powinno się wydać, ale to co jest do druku przygotowane, co z tych czy innych względów dostało się na warsztat. Jeśli wydawca w doborze tytułów utrzymuje pewien poziom i linię, można mówić tylko o względnej przypadkowości. Trzeba przyznać Oficynie, że nie wydała niczego poniżej dobrego poziomu i że uparcie wydaje określony a ważny rodzaj utworów, ten mianowicie, który nie może liczyć na szeroką poczytność.

◆

Uwagi te poświęcone są Oficynie jako placówce wydawniczej, jej wydawnictwom jako całości, a nie omówieniu poszczególnych tomów. Niemal każdy z nich zasługuje na osobną recenzję. Dla oceny tego, czego dokonali wydawcy, konieczny jest jednak ogólny sąd o każdej pozycji składającej się na dorobek Oficyny. Konieczne są bodaj nalepki w rodzaju tej, jaką przyczepiłem już wyżej „Paryżowi'' Terleckiego. Płacąc apodyktycznością za zwięzłość, trzeba dać krótkie określenia, adresowane nie do autorów, lecz do wydawców, próbujące odważyć znaczenie wydanych przez nich książek.

Najpoważniejszą pozycją poetycką wydaje mi się wybór wierszy Lorki. Choć nie przekonywuje on całkowicie do tego poety, tu i ówdzie jasno pokazuje, że mamy do czynienia z autorem o zasłużonej sławie.

Antologia liryki szwedzkiej jest bardzo nierówna, ale ma swój walor jako uchylenie drzwi do nieznanych poszukiwań i nieczęstych, ale ciekawych osiągnięć.

Tomik Przyłuskiego jest zbyt szczupły, by pozwalał na sąd o tym poecie, o którym skądinąd wiadomo, że jeszcze nie udało mu się bardzo własnej i żywej wyobraźni ująć w karby prawdziwie wielkiego stylu, jakiego ze zmiennym powodzeniem i niezmiennie poważnym wysiłkiem szuka.

Czuchnowski w „Polach minowych", mimo godnych podziwu starań o niepowtarzanie siebie samego, nie dorasta do swych młodzieńczych utworów, którymi przed dwudziestu laty zapisał się w historii naszej liryki.

Olechowski jest na pewno poetą, ale w jego zbiorku naprawdę dobre są tylko rysunki Turkiewicza.

Wszystkie tomiki poezji, nie wyłączając Lorki, noszą na sobie piętno kryzysu, przez jaki przechodzi liryka w naszym wieku. Wolny od tego piętna jest tylko wydany ze szlachetnym pietyzmem zbiór wierszy i pieśni powstania warszawskiego, ale nie należy on do liryki w ogóle, a do poezji w znikomym stopniu.

Oba tomy prozą („Paryż" i „Stacja Abbesses"), które dobrze, choć nie porywająco, reprezentują rodzaje nie porażone kryzysem : essay i opowieść o bliskiej przyszłości — dzięki swym niezdewaluowanym zaletom i mimo uczciwych niedostatków dają o wiele więcej zadowolenia od tomików poezji, które rozpaczliwie wyrzekając się wytartych cech dodatnich, zbyt często cechom ujemnym : dowolności układu, prywatności skojarzeń, nudzie i niezrozumialstwu na próżno usiłują dać znak dodatni.

Michał SAMBOR

"Numerus aureus"

Gallimard wydał przed paroma miesiącami nowy nakład *Le Nombre d'Or* Matili C. Ghyki, książki, która została napisana przed dwudziestu laty i której nie sposób było znaleźć po wojnie nawet w paryskich antykwarniach.

Dziwna to książka, bogata i zawiła, jasna i hermetyczna zarazem, na której dwa pokaźne tomy składa się matematyka, architektura, biologia, poezja, mistyka, historia. Matila C. Ghyka śledzi zawiłe ścieżki pitagorejskiej Złotej Liczby. W pierwszym tomie („Rytmy") kondensuje wszystko to co jest w estetyce elementem ścisłym i przeprowadza fascynujące studium związku jaki istnieje pomiędzy morfologią fizyczną i biologiczną, a nauką form stworzonych przez człowieka. Rytm bicia ludzkiego serca, rytm oddechu, konstrukcja kryształu i biologicznej komórki, proporcje ludzkiego ciała będą tu zestawione z doktryną pitagorejską, ze złotą sekcją i pięcioma ciałami platonicz-

Matila C. Ghyka : *Le Nombre d'Or, rites et rythmes pythagoriciens dans le développement de la civilisation occidentale*, 2 vol., Gallimard, Paris, 1952.

nymi, z ezoteryzmem geometrycznym i śródziemnomorską tradycją architektoniczną. Ghyka przerzuca tu mosty pomiędzy rytmem i zaklęciem poetyckim, pomiędzy zaklęciem i miłością, tropi nić Ariadny w tym najcenniejszym może ludzkim labiryncie zbudowanym przez bractwo pitagorejskie i Gnozę, w którego centrum średniowiecze szukało mistycznej „dzikiej poziomki". Drugi tom, („Rytuały") jest powtórzeniem tejże pielgrzymki w płaszczyźnie historycznej. Ghyka stara się tu wykazać jak pitagorejska tradycja przeżyła katastrofę Metapontu i prześladowanie Kościoła, jak została częściowo przechowana przez Wolnomularzy i jak niespodziewanie odżyła w nauce współczesnej poprzez Cantora, Einsteina, Schroedingera (Bertrand Russell : „Może najdziwniejszą stroną nauki nowoczesnej jest jej nawrót do tradycji pitagorejskiej...").

Książka Ghyki nie zadowolni z pewnością czytelnika szukającego nowych teorii, gotowych konstrukcji stanowiących uniwersalne klucze poznania. Przy swojej ogromnej erudycji i głębokiej wiedzy, Ghyka jest sceptykiem, który woli stawiać pytania niż dawać odpowiedzi. Magia, alchemia, Kabała, Gnoza, będą dla niego równie ważnymi etapami badania jak teorie Schroedingera i de Broglie. I to może stanowi o *poezji* „Nombre d'Or", należącej do tej samej rodziny co poezja „Złotej Gałęzi" Frazera czy „Psychologii i Alchemii" Junga.

Ghyka mógłby być nazwany „dyletantem". Ten rumuński dyplomata zajmuje się matematyką, filozofią, historią z bezinteresowną pasją ludzi Odrodzenia. Dzisiaj, kiedy Rumunia podobnie jak Polska odcięta jest od żywego organizmu Europy, warto podkreślić, że *Nombre d'Or* przez rodzaj intelektualnego podejścia, jasność stylu, gatunek poezji, problematykę, stanowi jedno z najgłębiej „europejskich" dzieł XX wieku.



Mircea Elliade, przed wojną profesor uniwersytetu bukaresztеńskiego, jest, podobnie jak Matyla Ghyka, Rumunem piszącym dziś po francusku. Oto znowu reprezentant kultury wschodniej Europy, który wnosi pokaźny wkład do światowej nauki. Eliade należy do tych historyków religii, którzy wyszli ze szkoły Frazera i Mannhardta i którzy dziś — podobnie jak Georges Dumézil czy Roger Caillois — przeprowadzają proces integracji historycznych danych religijnych czy elementów sakralnych w swoistej psychologii „człowieka poza czasowego".

Traité d'Histoire des Religions (1) zapełnia olbrzymią lukę w historii religii porównawczych. W dziele tym Eliade nie studiuje fenomenów religijnych w perspektywie historycznej, ale grupuje je w określone działy hierofaniczne („hierofanie" ujmuje Eliade w najszerszym znaczeniu : jako *cokolwiek* co przedstawia element sakralny). W tym ujęciu, wszystkie hiero-

(1) Payot, Paris, 1949.

fanie wodne będą stanowić jedną grupę ; chrzest sąsiadować będzie z mitami i rytuałami wodnymi współczesnej Oceanii, starożytnego Egiptu czy tradycji grecko-rzymskiej. ,,Morfologia sakralna'' Eliade zawiera następujące grupy : niebo, słońce, księżyc, wody, kamienie, ziemię, roślinność, przestrzeń sakralną, czas sakralny, funkcję mitów, strukturę symboli. W krótkich, skondensowanych paragrafach znajdziemy esencję wszystkiego co współczesna nauka zna w tej dziedzinie, a obszerna bibliografia przy końcu każdego rozdziału umożliwia zorientowanie się w światowej literaturze religii porównawczych.

Eliade nie ogranicza się zresztą do klasyfikacji i komentarza. ,,Traktat Historii Religii'' zawiera również ciekawą próbę konstrukcji pewnej metafizyki egzystencjalnej, którą spotykamy również w świetnej książce Roger Caillois *L'Homme et le Sacré* (2). Dla Eliade główną cechą sakralności (,,sacralité'') jest jej *realność*. Jezus Leona Bloy czy atman-Brahman tradycji hinduskiej — to wszystko to co *jest*, to znaczy *wszystko co istnieje w sposób absolutny*. ,,Im głębiej człowiek jest religijny — pisze Eliade — tym bardziej jest *realny*, tym silniej odrywa się od nierealności ,,stawania się'' (du devenir) pozbawionego znaczenia''. Życia ludzkie dzieje się jednocześnie na dwóch płaszczyznach : tymczasowej, stawania się i złudzenia i na płaszczyźnie wieczności, substancji, rzeczywistości. W samym sednie doświadczenia religijnego zawarty jest jednak również opór przeciw tej transcendentalnej rzeczywistości, która jednocześnie pociąga i odpycha człowieka. Eliade nazywa ten opór ,,ucieczką od autentyczności''. Życie świeckie i jego wyraz : historia stawia opór rzeczywistemu i transcendentalnemu życiu religijnemu. Nawiązuje się w ten sposób dialog, w którym raz to życie ,,historyczne'' człowieka poprzez ,,sakralizację'' zbliża się do tej transcendentalnej rzeczywistości, raz to znów wartości religijne przybierają charakter ,,świecki'' i przechodzą w doczesność, w historię.

Najoryginalniejszym może przyczynkiem Eliade do historii religii jest jego teoria ,,czasu sakralnego'' i mitu wiecznego odnowienia. Problem ten, poruszony w ,,Traktacie'', gdzie Eliade poświęca mu specjalny rozdział, jest szerzej rozpracowany w osobnym dziele *Le Mythe de l'Eternel Retour : Archétypes et Répétitions* (3).

O ile powyższe prace Eliade zainteresują zwłaszcza specjalistów, lub czytelników już wprowadzonych do podobnych zagadnień i znających przynajmniej Frazera i Dumezila, o tyle ostatnia jego książka *Images et Symboles* (Essais sur le symbolisme magico-religieux (4) przeznaczona jest raczej dla psychologa, krytyka literackiego, czy czytelnika którego ciekawi związek symboli z podświadomością ludzkiego gatunku.

(2) Gallimard, Paris, 1949.
(3) Gallimard, Paris, 1949.
(4) Gallimard, Paris, 1952.

Jednym z wielkich odkryć XX wieku jest niewątpliwie postawienie symbolu w rzędzie samoistnych narzędzi poznania. Do odkrycia tego przyczyniły się w różnych sferach (wpływając wzajemnie na siebie) psychoanaliza, etnologia, archeologia i wreszcie cały ruch artystyczny i literacki surrealizmu. W przedmowie do *Images et Symboles* Eliade zwraca uwagę na ciekawy historyczny zbieg okoliczności. Oto ten powrót Europy do symbolizmu, reakcja przeciw racjonalizmowi, pozytywizmowi i ,,naukowości'' XIX wieku zbiega się z czynnym wejściem Azji na horyzont historii, z zapowiedzią włączenia Afryki i Oceanii do ,,jednego świata'', o którym mówi Toynbee. Zdaniem Eliade, ten zbieg okoliczności może sprawić, że ,,Europa nie pozostanie bezsilna wobec symboli, które w świecie egzotycznym zastępują nasze pojęcia, lub są ich wcieleniem czy przedłużeniem''.

Eliade stwierdza, że mimo duchowego zubożenia i sterylizacji współczesnego człowieka, symbole żyją nadal ukrytym podziemnym życiem : można je zdegradować, kamuflować, okaleczyć, ale nie można usunąć ich z życia człowieka. Wielkie mity ludzkości zostały w różnej formie przechowane nawet w okresie ogólnej racjonalizacji. Autor wskazuje choćby na mit ,,raju ziemskiego'', który od stu pięćdziesięciu lat opiewany jest w postaci ,,raju wysp oceanicznych'' przez wszystkie literatury świata, przez Hollywood, czy żyje w imaginacji urzędników bankowych marzących o ucieczce Gauguina. A przecież rzeczywistość, dostępna w każdym podręczniku geografii jest bardzo różna : krajobraz płaski i monotonny, klimat niezdrowy, kobiety otyłe i brzydkie. Ale rzeczywistość nie ima się mitu i dlatego wbrew wszystkim świadectwom ekonomia ludzkiej psyche musiała umieścić Raj Ziemski na jakiejś wyspie hawajskiej, gdzie człowiek żyje szczęśliwy i nieskrępowany, poza Czasem i Historią. Podobnie wszystkie nostalgie szczęśliwej przeszłości, ,,utraconego raju'', które rzekomo w życiu ludzkim mają podrzędne znaczenie, a zatem ,,dawne dobre czasy'', Wschód romantyczny, willa amerykańskiego milionera z filmu, egzotyczny książę, swoboda cow-boya, kojące słońce południa... Ale całe życie symboliczne współczesnego człowieka, zostało strącone do tych chwil próżni w świadomości ludzkiej — na ulicy, w autobusie czy poczekalni — kiedy ,,nie myślimy o niczym''. Dlatego traktowane jest ono często jako pozbawione znaczenia, przypadkowe fragmenty psychiczne. Zdaniem Eliade, który idzie tu śladami Junga, właśnie ta część ludzkiej jaźni jest ważna i na tym poziomie właśnie istnieje solidarność całego rodzaju ludzkiego : ,,Część ,,szlachetniejsza'' świadomości współczesnego człowieka jest zresztą mniej ,,duchowa'' niż się może ogólnie wydawać. Głębsza analiza wykazałaby niechybnie w tej ,,szlachetnej'' i ,,wyższej'' sferze świadomości kilka książkowych reminiscencji, wiele najrozmaitszych przesądów (religijnych, moralnych, społecznych, estetycznych itd.), kilka prefabrykowanych pojęć o ,,znaczeniu życia'', o ,,ostatecznej rzeczywistości'' itd. Na próżno byśmy w tej sferze szukali śladów

mitu Raju Utraconego, obrazu Człowieka doskonałego, tajemnicy Kobiety i Miłości itd.". I właśnie odszukaniu śladów tych mitów w zubożałej, świeckiej i ,,unowocześnionej" świadomości człowieka współczesnego poświęca Eliade swoją książkę. Skład jej jest zresztą dość przypadkowy pod względem formalnym, gdyż Eliade łączy tu esseje pisane na przestrzeni szeregu lat. Każdy z nich jednak jest próbą uporządkowania i wytłumaczenia kilku symboli, które najbardziej uporczywie powtarzają się w każdej sferze ludzkiego życia i ludzkiej działalności. Znajdziemy tu problem obrazów i symboli ,,Centrum", hinduskiego symbolizmu Czasu i Wieczności, księżyca i symbolizmu muszel, ,,wiążących bogów" i symbolizmu węzłów itd.

Szkoła Junga wydała ostatnio szereg drugorzędnych pisarzy i krytyków którzy do znudzenia operują ,,mitami", jako uniwersalnym kluczem do każdej manifestacji ludzkiej wyobraźni. W każdym tekście, w każdym obrazie odkryją oni ślad statku Argo, czy jedną z prac heraklesowych, przypominając tych pisarzy średniowiecznych, którzy komentowali klasyków w duchu Ojców Kościoła. Tego rodzaju studia są nieraz irytująco tendencyjne i zaciemniają właściwie problem (gdzie kończy się symbolika nieświadoma omawianego twórcy, gdzie zaczyna się symbolika nieświadoma wszechwiedzącego krytyka ?) Ale Eliade nie należy do tych ,,egzegetów". Nawet czytelnik sceptycznie usposobiony do szkoły Junga znajdzie w dziele Eliade rzetelny materiał naukowy i nowy przewodnik po ,,Musée Imaginaire" kultury.

KAJ

Notatki wydawnicze

Pomiędzy wiarą objawioną, która nam daje twarde ramy dogmatów i nihilizmem, na który nie ma właściwie odpowiedzi, istnieje stosunek do świata i do człowieka, który wypływa z głębokiego przekonania, że istnieje życie ducha, że egzystencja posiada biegunowość transcendentalną, a który jest jednocześnie oparty na dążeniu człowieka do prawdy i na sumie ludzkiej wiedzy. Stosunek ten nazywa Karl Jaspers wiarą filozoficzną *(La Foi Philosophique*, Plon, Paris; 1953).

Wiara filozoficzna jest różna od poznania. Człowiek nie umiera za prawdę obiektywną (chyba, że w grę wchodzi sama zasada prawdy, która wtedy staje się elementem wiary). Zarówno Giordano Bruno jak Galileusz stanęli przed trybunałem Inkwizycji. Giordano Bruno wolał pójść na stos niż odwołać swoją prawdę; Galileusz wycofał swoją teorię ruchu ziemi dokoła słońcą, wykrzykując tylko na boku ,,Eppur si muove!" Oto różnica, słowami Jaspersa : ,,Istnieje prawda, którą odwołanie narusza i inna prawda, której nic nie może zrobić żadne odwołanie". Wiara filozoficzna odnosi się do pierwszej z tych prawd.

„Philosophia Perennis", która nie ma i nigdy nie miała stałego kształtu, posiada tę właśnie cechę stałą : wiary filozoficznej. Źródła tej wiary łączy Jaspers z tradycją, choć może się ona wytworzyć jedynie w indywidualnej świadomości. Niewielka książka Jaspersa stanowi „credo" takiej wiary w czasach, w których wydaje się ona specjalnie zagrożona pomiędzy religią z jednej strony i postawami anty-filozoficznymi z drugiej.

Religię (w jej najwyższych formach) uważa Jaspers za rzekę równoległą do rzeki filozoficznej, ale jej ścisłe formy nie zawsze dopuszczają do poszukiwania prawdy, do asymilacji wiedzy : „Wszelkie poszukiwania filozoficzne skłaniają się ku podtrzymywaniu instytucji religijnych i aprobaty ich realnego bytu w świecie, lecz filozofowie nie znajdą w nich bezpośrednio swego miejsca".

Wśród współczesnych „antyfilozofii" wymienia Jaspers demonologię (w sensie wszelkich kierunków irracjonalnych), ubóstwienie jednego człowieka, nihilizm. Głęboka książka Jaspersa jest obroną cywilizacji, ale nie obroną łatwą i wygodną poprzez powierzchowne zaklejenie otchłani. Jaspers wie, że głosy Kierkegaarda i Nietzschego nie były próżne; że nihilizm w swej najgłębszej formie godny jest przynajmniej naszego szacunku; że argumenty czysto społeczne i utylitarne są powierzchowne. Widzi on w komunikacji filozoficznej pomiędzy ludźmi (we wzajemnym dążeniu w głąb do prawdy, przyjmując, że żadna wiara nie jest jedyną i stosując dialektykę pomiędzy różnymi sytuacjami historycznymi), ratunek człowieka przed zagrażającą mu katastrofą.

Zapewne w myśl tej „komunikacji" daje nam ten trudny filozof, jeden z twórców egzystencjalizmu, książkę, która dostępna jest dla każdego czytelnika i nie wymaga specjalnego przygotowania filozoficznego. Tłumaczenie Jeanne Hersch i Hélène Naef z niemieckiego na francuski jest doskonałe.



„Poeta kłamstwa", „tancerz na linie", „czarownik" — oto banalne etykiety, które wyjmuje dziś z kieszeni, uśmiechając się pobłażliwie, przeciętny intelektualista mówiąc o Jean Cocteau. Jak Orfeusz czy jak dudziarz z Hammerlinu wiódł za sobą Cocteau całe pokolenie. Powoli odwracali się zaczarowani słuchacze i zaczęła się destrukcja poety : zabrali w niej kolejno głos zazdrosny Gide, sędzia François Mauriac, jego niewdzięczny syn Claude, upodlony Maurice Sachs.

Łatwo jest podważyć Cocteau z „Maszyny Piekielnej" : śmierć może zbyt łatwo przechodzi przez lustra, mitu nie można sztucznie ożywić, ani „zaktualizować" — ma on życie własne i wiecznie aktualne. Z płaszczem Wagnera czy Victor Hugo sprawa się ma podobnie, jak z płaszczem Sofoklesa i trudno będzie samemu Cocteau obronić *L'Eternel Retour* czy *L'Aigle à Deux Têtes*. Ale krytykując pastisze Cocteau zapomina się o tym, że bogactwo, wszechstronność, szczodrość i odwaga z jaką rzuca się on w pogoń za każdą chimerą, której obecność odgaduje za rogiem są cechami wspaniałego zbytku natury, za który trzeba płacić daninę porażek. Jeśli odrzucimy tę daninę — pozostanie czyste dzieło poetyckie artysty, który jest różdżkarzem piękna, którego inteligencja, pozbawiona jakiejkolwiek mechaniki intelektualnej, kierowana jest jakimś cudownie uczulonym radarem intuicji : myślę o Cocteau z *Léone*, z *Thomas l'Imposteur*, z *Portraits-Souvenirs*, z *Parents Terribles*.

Jak pogodzić wewnętrzną uczciwość z kokieterią ? Dążność ku głębi samego siebie i rzeczy z niepohamowaną chęcią uznania i poklasku ? Próbę stworzenia własnego moralnego rygoru z narcysyzmem ? Dziwne poczucie humoru przeznaczenia stawia nas często wobec podobnych dylematów. Na-

rzucają się dwa rozwiązania — albo walka z tymi formami dwoistości, albo rezygnacja wobec pewnego stopnia schizofrenii. Cocteau w *Journal d'un Inconnu* (Grasset, Paris, 1953) wybiera inną drogę i chciałby wszystkie swe sprzeczności wtłoczyć w ramy jednego systemu. Ponieważ „prawdziwa elegancja jest niewidzialna", stwarza on z własnej „niewidzialności" mur który ma go chronić przed publicznością, krytykami, nieporozumieniami. To tylko „widzialny" Cocteau mógł podlegać krytyce : ten prawdziwy jest „niewidzialny", nie ima się go żadna kula. Tym niemniej *Journal d'un Inconnu* jest polemiką w obronie wszystkich widzialnych Cocteau przeciw wszystkim widzialnym przeciwnikom. Ale nie ta polemika, śmieszna czasem (na co — może często zapytać czytelnik — ta zajadłość, ta chęć powiedzenia ostatniego słowa u człowieka, który często wart jest o tyle więcej niż jego krytycy), czasem wzruszająca (gdyż przenika przez nią dobroć i brak małostkowości Cocteau) stanowi o wartości książki. Są w niej eseje o niesprawiedliwości, o wolności, o wyobraźni, o bajkach, o pamięci i o przyjaźni w których odnajdujemy Cocteau jednym zdaniem przebijającego mur, trafiającego nieraz do sedna problemu zanim dojdzie do niego myśliciel, jak pszczoła wynajdująca dziuplę w której nowy rój będzie mógł spokojnie pracować nad miodem.

◆

Samuel Becket jest młodym Irlandczykiem piszącym po francusku. Teatr Babylone wystawia obecnie jego sztukę *En attendant Godot.* (Editions de Minuit, Paris, 1953). Sztukę pozbawioną jakiejkolwiek „akcji", całkowicie „nieteatralną". Dwóch włóczęgów, zżartych brudem i chorobami czeka pod przydrożnym drzewem na „pana Godot", który — naznaczył im spotkanie ? — coś im obiecał ? — przyjdzie dziś wieczór ? — czy może jutro ? Godot nie przyjdzie, sztuka się kończy, choć oczywiście początek jej jest również jej „dalszym ciągiem". *En attendant Godot* jest jednym z najmocniejszych poetyckich wyrazów bezsensu ludzkiej egzystencji i metafizycznej tęsknoty. Ma się wrażenie, że Becket nie jest epigonem żadnej literackiej szkoły (choć istnieje pewne pokrewieństwo z Kafką, Alfredem Jarry, Maurice Blanchot), ale autentycznym pisarzem wprowadzającym nas do własnego świata.

◆

Nikt nie był bardziej powołany od Wladimira Weidlé do naszkicowania obrazu rosyjskiej kultury. Ten historyk sztuki i literatury jest jednym z najbardziej „europejskich" pisarzy współczesnych, ale może właśnie dlatego (tak jak Madariaga jest na wskroś Europejczykiem i Hiszpanem) tkwi on głęboko korzeniami w ojczystej glebie duchowej.

La Russie absente et présente (Gallimard, 1949) jest dziełem miłości, ale nie miłości bezkrytycznej. Poprzez historię, religię, literaturę, śledzi Weidlé charakter kultury rosyjskiej i rosyjskiego ludu, który, słowami metropolity Filareta „miał mało światła ale dużo ciepła". Rosja która tak silnie odczuwała Kazanie na Górze, że zapominała o dziesięciu przykazaniach, Rosja odrzucająca prawo i formę, a szukająca absolutu i miłosierdzia, Rosja lgnąca do ciepła i ciemności matczynego łona i niechętna do „narodzin" — czy ta Rosja umarła, czy tylko zginęła nam na czas pewien z oczu ? Weidlé nie daje nam na to pytanie odpowiedzi, ale stwierdza na końcu książki, że „w świetle swej wiary, sztuki i myśli jest taką a nie inną".

◆

Redaktorem estońskiego miesięcznika *Tulimuld* (o którym wspominamy w przeglądzie czasopism) jest poeta Bernard Kangro. Tom jego wierszy ukazał się w angielskim tłumaczeniu pt. „Earthbound" (*Tulimuld*, Lund,

1951). Trudno oczywiście ocenić poezję w tłumaczeniu, choć Prof. W. K. Mattews z uniwersytetu londyńskiego, tłumacz, daje nam płynny i wdzięczny wiersz angielski. Kangro jest poetą przyrody i oddaje nie tylko atmosferę, ale poetycką esencję swych rodzinnych lasów, jezior i bagien. Należy on do poetyckiej rodziny Walter Delamare, czy Leśmiana, z odczuciem samej materii przyrody, które zbliża go czasem do Francis Ponge'a. W ostatnich wierszach przeważa cierpienie i tęsknota wygnańca :

,,I salute you, my brethren,
Marshalled in slowly dying
Light. On my head also
Gathers a whitness''.

◆

André Pieyre de Mandiargues otrzymał przed dwoma laty ,,Prix de la Critique'' za swój zbiór fantastycznych nowel. ,,Le Soleil des Loups''. Jest to ciekawy pisarz, bliższy może Hoffmanowi niż surrealistom, choć sen i niczym nie okiełznana fantazja są — obok ogromnej erudycji — głównymi elementami jego prozy. Obecnie ukazała się jego pierwsza powieść (czy może raczej imaginacyjny dziennik podróży, fantastyczny essay) pt. *Marbre* (Robert Laffont, Paris 1953). Jest to opis Włoch, które nie są widziane ani współcześnie ani historycznie, a poprzez pryzmat szalonego snu. Esencja tego czym dla Mandiargues są Włochy doprowadzona do absurdu, ale z nieomylnym wyczuciem pewnej atmosfery : sen erudyty który intuicyjnie na włoskiej scenie (z obrazu surrealisty jak Dali, czy neobarokowego romantyka jak Berman) rozgrywa czysto estetyczny, a jednak przejmujący dramat życia i śmierci.

◆

Aleksander Weissberg-Cybulski, od 1927 roku członek austriackiej partii komunistycznej, fizyk znany i ceniony w kołach światowej nauki, opuścił Berlin w r. 1931 i pojechał do Związku Sowieckiego, gdzie pracował w Instytucie Fizyko-Technicznym w Charkowie. W roku 1937 został zaaresztowany w ramach wielkiej czystki sowieckiej i przesiedział niemal trzy lata w więzieniu, aż do chwili, gdy został wydany Gestapo przez GPU, razem z szeregiem innych więźniów komunistów i anty-hitlerowców niemieckich i austriackich. W *Conspiracy of Silence* (Hamish Hamilton, London 1951) opisuje on ten ,,sabat czarownic'' jakim była ,,Wielka Czystka'', której ofiarą padło około dziesięciu milionów ludzi. Książka ta nie jest zwykłym reportażem : Weissberg-Cybulski jest wyjątkowo bystrym i inteligentnym obserwatorem, a przy tym spojrzenie jego jest głęboko ludzkie. Zasadniczy optymizm, wiara w człowieka, którą zachowuje w najgorszej nawet poniewierce, tolerancja, miejscami nawet humor, oto elementy dzięki którym ,,Konspiracja Milczenia'' jest książką, nie tylko tragiczną, ale również pasjonującą i żywą. Weissberg-Cybulski zamyka swą książkę inteligentną i oryginalną próbą interpretacji motywów, które kierowały Stalinem w przeprowadzeniu czystki (a zarazem zasadniczego motywu polityki Kremla). (Przekład francuski ukaże się niebawem u Calmann-Lévy).

◆

Nikt już dziś na Zachodzie (z wyjątkiem niewiernych Tomaszów, którzy nie zaufaliby nawet własnej ręce) nie wątpi w istnienie obozów koncentracyjnych w Rosji. Nawet Sartre przyznaje ich istnienie, broniąc zarazem komunizmu sowieckiego. Proces praski rozwiał chyba ostatecznie ja-

kiekolwiek wątpliwości co do metod policji politycznej i politycznego sądownictwa w świecie sowieckim, nawet u ludzi, którzy zdolni byli połknąć wielką czystkę. „Świadectwa", które podajemy w tych znanych i oczywistych sprawach zachodniej opinii publicznej trafiają przy tym niemal wyłącznie do rąk czytelników, którym fakty są już znane. Dlatego też sama wymowa faktów nie wystarcza i jeśli ma się wydawać nowy materiał w tej dziedzinie, powinien on przynajmniej mieć psychologiczny i literacki poziom książek Czapskiego czy Herlinga-Grudzińskiego, lub siłę argumentacji, nowe naświetlenie jakie daje książka Weissberg-Cybulskiego.

Echappés du Paradis (Editions du Fussain, Paris 1953) jest zbiorem „ośmiu świadectw o komunizmie sowieckim", dokonanym przez C. A. Smitha. Jest wśród nich parę świadectw rzeczywiście przeraźliwych. Pochodzą one od ludzi różnych narodowości, różnych przekonań. Rumunka Adriana Georgescu, słynny hiszpański komunista „El Campesino", Marian Czuchnowski, inny Polak występujący pod pseudonimem „Stanisława Kozłowskiego", Czech, Łotysz, Bułgar, Estończyk — kolejno opowiadają o aresztowaniach, torturach, zesłaniach, więzieniach. Niestety, wrażliwość na suchą wymowę faktów, nawet najstraszniejszych, jest szczególnie u współczesnego człowieka stępiona, a *Echappés du Paradis* nie spełnia warunków wymienionych powyżej, bez których mnożenie tego rodzaju literatury wydaje się bezcelowe.

◆

Coraz więcej cennych studiów dotyczących Rosji Sowieckiej ukazuje się w Stanach Zjednoczonych. Należy do nich *Soviet Science* (American Association for the Advancement of Science, 1515 Massachusets Ave, N. W. Washington 5, DC, 1952), praca zbiorowa dotycząca nauk ścisłych w Rosji Sowieckiej. Na książkę składają się następujące działy, opracowane przez czołowych amerykańskich specjalistów : genetyka, psycho-patologia, psychiatria, nauki społeczne w świetle metody naukowej, geologia, fizyka i chemia, matematyka. Profesor Conway Zirkle z uniwersytetu pensylwańskiego zamyka książkę doskonałą „Oceną nauki w Rosji Sowieckiej".

◆

Dr Solomon M. Schwartz jest starym działaczem rosyjskich związków zawodowych. Jako menszewik był w 1917 roku jednym z wyższych urzędników rosyjskiego ministerstwa pracy. Jego książka *Labor in the Soviet Union* (Praeger, New York, 1951) jest sumiennym i źródłowym studium ustawodawstwa pracy, płac, warunków życia i pracy robotnika w Rosji Sowieckiej. Schwartz opiera się niemal wyłącznie na źródłach sowieckich — obraz niewoli i wykorzystania robotnika jaki daje jego książka jest tym bardziej uderzający.

◆

Rumuński pisarz E. M. Cioran zebrał w *Syllogismes de l'Amertume* (Gallimard, 1952) szereg aforyzmów, których, być może, nie wykorzystał w swoim „Précis de Décomposition". Może dlatego, że „Myśli" stały się tak rzadkim rodzajem literackim, książka Ciorana ma dziwnie osiemnastowieczny posmak. Rzuca się w oczy pokrewieństwo z Vauvenargues czy Chamfort. Tylko że ich sceptycyzm zmienia się u Ciorana w gorycz, ich pesymizm — w rozpacz.

(j)

Przegląd miesięczników

Partisan Review jest miesięcznikiem amerykańskiej awangardy intelektualnej o dawnych tradycjach trockistowskich, który zajął zdecydowane antystalinowskie stanowisko. Tym niemniej, jeśli chodzi o wewnętrzne sprawy amerykańskie, o komercjalny aspekt amerykańskiej cywilizacji, postawa *Partisan Review* była zawsze bardzo krytyczna. Można by porównać *Partisan Review* do dwóch czasopism europejskich : nie istniejącego już angielskiego ,,Horizon'' od strony literackiej i francuskiego ,,Observateur'' od strony społecznej.

Tym dziwniejszy jest zwrot w stosunku do Ameryki jaki wynika z sympozjum ogłoszonego przez *Partisan Review* pt. ,,America and the Intellectuals'' (*Partisan Review*, 30 West 12 St. New York 11, N. Y. 1953). Redakcja pisma stwierdza w przedmowie, że wiele się zmieniło od czasu kiedy Henry James pisał w r. 1879 : ,,Jesteśmy wydziedziczeni ze sztuki ! Jesteśmy skazani na powierzchowność... Gleba amerykańskiego odczucia jest biedną, małą sztuczną warstewką...'' Pytania zwrócone w związku z tym do 25 czołowych intelektualistów amerykańskich są następujące :

1) Do jakiego stopnia amerykański intelektualista zmienił swoje stanowisko wobec Ameryki i jej instytucji ?

2) Czy amerykański intelektualista musi przystosować się do kultury masowej ?... Czy demokratyczne społeczeństwo musi doprowadzić do zrównania kultury do masowej kultury, która zniszczy intelektualne i estetyczne tradycyjne wartości zachodniej cywilizacji ?

3) W jakich dziedzinach amerykańskiego życia mogą artyści i intelektualiści znaleźć źródła siły odnowienia i uznania, teraz gdy nie mogą już w pełni zależeć od Europy jako kulturalnego wzoru i źródła żywotności ? (Charakterystyczne jest to skreślenie Europy).

4) Jeśli jesteśmy świadkami reafirmacji Ameryki, którą odkrywa intelektualista, czy tradycja krytycznego niekonformizmu (sięgająca do Thoreau i Melville'a i będąca jednym z głównych nurtów amerykańskiej historii intelektualnej) może być utrzymana w tym samym natężeniu ? Podczas gdy szereg pisarzy biorących udział w ankiecie wydaje się podzielać zadowolenie *Partisan Review* ze stanu amerykańskiej kultury, są także wypowiedzi bardziej krytyczne. James Burnham np. nie myśli, że Ameryka w ostatnich latach zmieniła się o tyle na lepsze — po prostu świat cały zmienił się na gorsze. Zasadniczą kwestią jest to, że amerykański system polityczno-prawny jest bez porównania lepszy od sowieckiego i że ,,potęga amerykańska jest przez to samo mniejszym złem''. Ale z tego nie wynika, żeby należało wmawiać całemu światu, że ,,comics'' są zabawne, że Hollywood jest na poziomie, że Coca-Cola ma dobry smak. ,,Nie możemy utwierdzać Ameryki bez utwierdzania Europy i Zachodu — kończy Burnham. Ludzie są istotami o historii i przeszłości. Naszą przeszłością jest Europa; a nawet Bóg nie może zlikwidować przeszłości''. Wszystkie wypowiedzi w sympozjum, tak optymistyczne jak bardziej krytyczne są zwięzłe i przemyślane — a całość daje wyjątkowo jasny obraz amerykańskiego klimatu intelektualnego.



Dziwnym zbiegiem okoliczności *Les Temps Modernes* (styczeń-luty 1953) poświęcają większą część numeru dwum pisarzom, którzy popełnili niedawno samobójstwo : Włochowi Cesare Pavese i synowi Tomasza Man-

na, Klausowi. Łączy ich więcej niż tragiczna śmierć : obaj byli liberałami w ostrej opozycji do hitleryzmu i faszyzmu, obaj zbliżyli się pod koniec życia do skrajnej lewicy (Pavese wstąpił nawet do partii komunistycznej), obaj mieli silny element autodestruktywny.

Pavese (,,La Luna e il Falo'', ,,La Bella Estate'') jest jednym z najlepszych włoskich pisarzy współczesnych, niedość znanym zagranicą, którego powieści, o czystym, klasycznym stylu, oddają mętną atmosferę intelektualnej burżuazji włoskiej w latach powojennych. ,,Dziennik'' Pavese, którego ustępy drukują *Les Temps Modernes* jest dziełem ostatnich tygodni jego życia (Pavese zabił się w 1950 roku). Jest to tragiczny dokument, w którym jego nieszczęśliwa miłość do pięknej aktorki amerykańskiej widziana jest już z oddalenia, jako jeden z motywów porażki o korzeniach psychicznych. Autoanaliza ogołocona z sentymentalizmu i estetyzmu : zostaje tylko szlachetność ludzkiego metalu.

Klaus Mann jest, w przeciwieństwie do Pavese, człowiekiem zdecentralizowanym. Jego ,,Wendepunkt'', autobiograficzna książka wydana w Niemczech i którą *Les Temps Modernes* będą publikowały w odcinkach, jest dokumentem tego co Spender nazwał ,,straconym pokoleniem''.

Les Temps Modernes stawiały sobie za zadanie analizę dokumentów chwili i zajmowanie stanowiska w zachodzącym procesie historycznym. Dlatego uderza w tym numerze całkowite milczenie na temat procesu praskiego, aresztowania sowieckich doktorów, sowieckiego antysemityzmu, a nawet Kongresu Wiedeńskiego w którym Sartre — założyciel pisma — brał tak żywy udział.



Marcowy numer *Nouvelle Revue Française* otwiera świetna proza Henry Millera : paszkwil na chleb amerykański, a poprzez chleb (higieniczny, bez smaku, bez materii) na amerykański styl życia.

Dalej essay Julien Benda o ,,pewnych cechach współczesnego świata'' : autor ,,Zdrady Klerków'' jest dziś jak wiadomo gorącym sympatykiem komunizmu i stara się stosować swoją giętką logikę do apologii sowieckiego świata. (Uwaga na marginesie : dwaj najinteligentniejsi współcześni pisarze francuscy, Sartre i Benda są obaj sympatykami stalinizmu : jakże zawodna bywa inteligencja mechaniczna, oparta na ścisłym logicznym rozumowaniu). Ciekawy jest jednoaktowy dramat Arthur Adamowa, jednego z awangardowych pisarzy francuskiego teatru (ale jest to ,,awangarda'' nie pozbawiona pozerstwa — którego śladu nie ma u Becketa).



Po NRF i ,,Parisienne'' pojawia się jeszcze jeden w tym roku francuski miesięcznik literacki : *Les Lettres Nouvelles*, pod redakcją Maurice Nadeau (wydawany przez Julliarda), którego pierwszy numer ukazał się w marcu. W ten sposób rozszerza się ,,la guerre des revues'', dla paru tysięcy bywalców ,,Flory'' i ,,Deux Magots'' przysłaniająca zimną wojnę. Polemika pomiędzy Mauriac'em (w ,,Table Ronde''), Jean Paulhan (w NRF), Jacques Laurent (w ,,Parisienne'') i Maurice Nadeau oparta jest na mistyfikacjach, pseudonimach, retrospektywnych złośliwościach, które dla niewtajemniczonego czytelnika wydają się zgoła niezrozumiałe. Ale ,,aficionados'' z St. Germain des Prés pasjonują się tą corridą i zachęcają raz to byka (Jean Paulhan we własnej postaci i pod pseudonimem Jean Guérin), raz to toreadorów. *Les Lettres Nouvelles* stawiają sobie cel podobny do NRF — popierania ,,czystej literatury''. Pierwszy numer jest dość ciężki, ale może mniej ,,kapliczkowy'' od NRF. Najlepszy tekst w numerze pochodzi zresztą od zmarłego autora : są to niewydane dotychczas notatki z podróży do Mek-

syku Antonin Artaud, poety, pisarza i aktora, który związany był z surrealistami, który w „Joannie d'Arc" Dreyera stworzył niezapomnianą postać młodego mnicha i który zmarł przed kilkoma laty w domu obłąkanych.

◆

Preuves dały w ostatnich trzech numerach (styczeń-marzec) bogaty i różnorodny wybór artykułów. Zwracają uwagę doskonałe reportaże François Bondy z Dalekiego Wschodu, zwłaszcza jego „Burma — Wschodnia Jugosławia" w numerze styczniowym. W lutowym numerze najciekawszy jest materiał rosyjski. Victora Serge wspomnienie pt. „La Folie de Youriev" o człowieku, który w 1932 r. uwolnił się od strachu i rozlepił na murach Leningradu ręcznie pisane manifesty tłumaczące, że ludzie odnajdą samych siebie jeśli wszyscy — ze Stalinem włącznie — przestaną się bać (skończył oczywiście w domu wariatów). Ustęp książki G. Woodcocka i Awakumowicza „Kropotkine, le Prince Anarchiste", którą wyda niedługo Calmann-Lévy, zawiera piękny opis ostatnich miesięcy, śmierci i pogrzebu Kropotkina. Pogrzeb ten był w 1923 r. zarazem pogrzebem śladów wolności rewolucyjnej w Rosji. Również w lutowym numerze — niewydany dotychczas „bilans europejski" Simone Weil, pisany w 1939 r. Marcowy numer *Preuves* ciąży ku poezji : ciekawy essay Roberta Kantersa o „Poezji i Okultyzmie" łączy się z artykułami i notatkami o Nervalu i Browningu; dochodzą do tego prace o Heinem, Pierre Emanuel, Bertold Brechcie... *Preuves* zawsze miało ciekawe artykuły i pierwszorzędne pióra : w numerze marcowym silniej zaznacza się charakter literackiego miesięcznika (wyczucie aktualności, kontakt z bieżącą literaturą, oddanie atmosfery miesiąca). W tymże numerze dwa artykuły polskich pisarzy : Jana Ulatowskiego o malarstwie i Marii Kuncewiczowej o uchodźczym PEN Clubie.

◆

Międzynarodowa Rada Filozofii i Studiów Humanistycznych wydała pierwszy numer kwartalnika, który będzie się ukazywać po francusku i po angielsku pt. *Diogène*. W numerze tym ukazały się m. in. prace Karl Jaspersa, C. M. Bowra i Gilbert Murrey'a. Wydawcą jest Roger Caillois (Conseil International pour la Philosophie et les Etudes Hummanistes, 19, Avenue Kléber, Paris 16).

◆

Chance jest nowym kwartalnikiem angielskiej awangardy literackiej i artystycznej. Drugi numer zawiera bogaty materiał (nowele i wiersze młodych pisarzy ze słowem wstępnym Joyce Cary).

◆

Pod egidą Amerykańskiego Komitetu Wyzwolenia Narodów Związku Sowieckiego powstał w Monachium „Instytut Studiów Historii i Instytucji ZSSR". Instytut ten wydaje kwartalnie pokaźny tom studiów z najróżniejszych dziedzin sowieckiego życia pt. *Westnik Instituta po Izuczeniu Istorii i Kultury SSSR* (Munchen 37, Schliessfach 5). Ostatni tom — z grudnia 1952 — zawiera m. in. artykuł G. v. Stackelberga o „Komunizmie w krajach demokracji ludowej", w którym autor zestawia politykę Sowietów wobec satelitów europejskich z ich polityką wobec satelitów azjatyckich. A. Kazancew przeprowadza gruntowną analizę „sowieckiej propagandy komunistycznej"; Prof. J. Nikodymow daje historyczny szkic „ruchu stachanowskiego". Dział dokumentów zawiera ciekawe informacje o „Sowieckiej Północy", z analizą przemysłu arktycznego, obozów pracy i trzech sowieckich

„miast atomowych". *Westnik* zawiera również szczegółową bibliografię (z krótkimi ocenami) wszystkich wydawnictw ukazujących się na Zachodzie na tematy sowieckie, komunizmu i „satelitów". Wymienionych jest szereg polskich książek. Czytelnik nie znający rosyjskiego znajdzie obszerne streszczenia artykułów po angielsku, po niemiecku i po francusku.

◆

Emigracja krajów bałtyckich (a zwłaszcza Estończycy i Łotysze) rozwijają ożywioną działalność kulturalną w Szwecji. Ukazuje się tam drukowany na wspaniałym papierze, zawierający reprodukcje bardzo ciekawych rysunków i obrazów współczesnych estońskich artystów miesięcznik pt. *Tulimuld* (Masvagen 16b, Lund). Ponieważ bariera językowa jest tu nie do przebycia, należy mieć nadzieję, że *Tulimuld* wprowadzi streszczenia artykułów w którymś z języków zachodnio-europejskich, tak, aby się można było bliżej zapoznać z współczesną kulturą estońską i z emigracją, która w trudnych warunkach umie wydać tak wspaniały miesięcznik.

◆

Poselstwo litewskie w Waszyngtonie wydaje co miesiąc pokaźny powielany biuletyn pt. *Current News on the Lithuanian Situation*, zawierający przegląd bieżących politycznych wydarzeń, dokumentów, głosów prasy i bibliografii dotyczącej Litwy. W języku niemieckim ukazuje się wydawnictwo polityczno-literackie pruskich Litwinów pt. *Unsere Stimme* (Hannover-Kleefeld, Hegelstr. 7).

◆

(Tribune des Peuples, 5, rue Lamartine, Paris 9e).

Od szeregu tygodni wszystkie pisma „neutralistyczne" i nie-komunistycznej lewicy zapowiadały *La Tribune des Peuples*. Pierwszy numer (marzec-kwiecień 1953) ukazał się w połowie marca, z wyraźnym opóźnieniem (artykuł poświęcony Sowietom omawia zmiany organizacyjne 19 kongresu i śmierć Stalina nigdzie nie jest wspomniana). *Tribune des Peuples* ma się w przyszłości ukazywać również po angielsku, toteż spory „Komitet Założycieli" składa się w równej mierze z Anglików i Francuzów.

Anglicy — to lewe skrzydło Labour Party, jak Acland, G. D. H. Cole, Crossmann, Davies, Michael Foot, Kingsley Martin (jak widać — spora doza „fellow-travellers"). Francuzi — to lewicowi neutraliści, jak Claude Bourdet z „Observateur", lewica katolicka jak Domenach z „Esprit", Georges Montaron z „Témoignage Chrétien", przedstawiciele lewicy socjalistycznej i nawet niezależnych związków zawodowych (C.G.T.-Force Ouvrière).

„Tribune des Peuples" głosi oczywiście konieczność stworzenia socjalistycznego bloku europejskiego „między kapitalizmem amerykańskim i komunizmem sowieckim". Bevanistom (oraz titoistom) zarzuca się „egoistyczny nacjonalizm", twierdząc, że jedynie międzynarodowy socjalizm w ramach federacji europejskiej może dać rozwiązanie współczesnych problemów.

Victor Fay zamieszcza w tym numerze ciekawy artykuł o „nowych ludziach ZSSR". Akcenty antyamerykańskie są jednak znacznie bardziej widoczne niż antysowieckie. Ten „międzynarodowy miesięcznik lewicy" kroczy — mimowoli — po linii wytkniętej „państwom kapitalistycznym" przez Stalina w „Bolszewiku" : zrzucenia „amerykańskiego jarzma", obrony „niepodległości" i rozbrojenia.

(j)

Nadesłane nowości wydawnicze

LITERATURA

BOUTANG (P.). *Les abeilles de Delphes*. Pp. 418. (Ed. „La Table Ronde), Paris, 1952, frs. 990).

SPERBER (M.). *La baie perdue*. Pp. 405. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1953).

WIECHERT (E.). *Missa sine nomine*. Pp. 360. (Ed. Calman-Lévy, Paris, 1952, frs. 750).

SILONE (I.). *Une poignée de mûres*. Pp. 323. (Ed. Grasset, Paris, 1953, frs. 495).

JANOUCH (G.). *Kafka m'a dit*. Préface de Max Brod. Pp. 186. (Ed. Calmann-Lévy, Paris 1952).

DUPRE (G.). *Les fiancées sont froides*. Pp. 253. (Ed. Plon, Paris, 1953, frs. 450).

MAILER (N.) *Rivage de barbarie*. Traduit de l'anglais par Claude Elsen et Bernard Heuvelmans. Pp. 317. (Ed. „La Table Ronde", Collection „Le Damier", Paris, 1952, frs. 660).

KOSSAK (Z.). *Błogosławiona wina*. Str. 193. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas", Londyn, 1953, cena 15 sh).

KEKSTAS (J.). *Ramybe Man*. Str. 45. Poezje litewskie. (Wyd. Gabija, Buenos Aires, 1951).

DOKUMENTY CHWILI

GUERRY (L.). *L'antisémitisme stalinien*. Pp. 130 (Ed. Cahiers des Amis de la Liberté, Paris, 1953, frs. 150).

BONNET (G.). *La défense de Paix*. 1936-1940. Vol. I : *Souvenirs d'un Ambassadeur et d'un Ministre*. Pp. 390. Vol. II : *De Munich à la guerre. La fin d'une Europe*. Pp. 433. (Ed. Plon, Paris, 1953, à 600 frs. chaque volume).

FERNET (Vice-Amiral). *Aux côtés du Maréchal Pétain*. Souvenirs (1940-1944). Pp. 307. (Ed. Plon, Paris, 1953, frs. 660).

Echappés du Paradis. Huit témoignages sur le communisme soviétique, recueillis par C. A. SMITH. Pp. 284. (Ed. Du Fuseau, Paris, 1952).

LAROCHE (J.). *La Pologne de Pilsudski*. Souvenirs d'une ambassade. 1926-1935. Pp. 233. (Ed. Flammarion, Paris, 1953).

ŁĄCZKOWSKI (Bohdan). *Emigracyjne Rozdroża*. Skład główny : Księgarnia Polska w Paryżu. Str. 140. Paryż, 1953.

MALARA (J.) et REY (L.). *La Pologne d'une ocupation à l'autre* (1944-1952). Pp. 371. (Ed. Du Fuseau, Paris, 1952).

RÓŻNE

PIEKOSZEWSKI (J. Rev. Dr.). *La légitimation des enfants naturels simples par le mariage subséquent*. (Etude de Droit canonique). Pp. 104. (Ed. J. Peyronnet et Cie, Paris, 1952).

PIEKOSZEWSKI (J. Rev. Dr.). *Le jeûne eucharistique*. Pp. 125. (Ed. J. Peyronnet et Cie, Paris, 1952).

COLINON (M.). *Faux prophètes et sectes d'aujourd'hui*. Pp. 280. (Ed. Plon, Collection „Présences", Paris, 1953, frs. 495).

SERECH (J.). *Participium universale im slavischen*. Str. 43. (Wyd. Ukraińska Wolna Akademia Nauk, Winnipeg, 1953).

DONCOW (D.). *Prawda pradidiw wielikich*. Str. 95. (Wyd. G. Zarządu Organizacji Obrony Czterech Swobód Ukrainy, Filadelfia, 1952).

GROUSSARD (col.) et LOUSTAUNAU-LACAU (G.). *Consuls prenez garde !* Pp. 283. (Ed. Grasset, Paris, 1952, frs.495).

Listy do Redakcji

Do Redakcji Czasopisma „Kultura"

W drugim numerze krajowym „Kultury" (1952 r.) w artykule „Partia i Stronnictwa" Wojciecha Zaleskiego w ostatnim ustępie na stronie 47 znajdują się dwa twierdzenia niezgodne z faktycznym stanem rzeczy.

Najpierw autor podał, że PSL zostało założone „przez Bagińskiego, Korbońskiego, Mikołajczyka i innych", a następnie, mówiąc o grupie reżimowego Stronnictwa Ludowego, autor użył zdania : „Było w niej, w chwili powstania Krajowej Rady Narodowej, niewielu działaczy Stronnictwa Ludowego i Batalionów Chłopskich i nikogo z kierowników".

1) Odnośnie pierwszej wypowiedzi pragnę stwierdzić :

Pp. Bagiński i Korboński nie byli założycielami Polskiego Stronnictwa Ludowego (PSL), jak to twierdzi autor. Pan Bagiński w okresie od marca do listopada 1945 r. był więziony w Moskwie i dlatego nie mógł brać udziału w pracach przygotowawczych i założycielskich PSL, które powstało do walki z komunistami jako niezależne stronnictwo w lipcu 1945 r. P. Korboński natomiast w tym czasie nie brał czynniejszego udziału w pracach stronnictwa i nie wchodził do władz naczelnych ani Ruchu Ludowego w konspiracji, ani też do przedwojennego Naczelnego Komitetu Wykonawczego Stronnictwa Ludowego, które razem utworzyło pierwszy Naczelny Komitet Wykonawczy PSL.

Stwierdzić należy, że plan ujawnienia konspiracyjnej sieci Ruchu Ludowego tj. sieci politycznej p.n. „Roch" i sieci wojskowej p.n. „Bataliony Chłopskie" został opracowany przez Centralne Kierownictwo Ruchu Ludowego i uzgodniony z prezesem W. Witosem w okresie wiosennym 1945 r. Z planem tym zostali zapoznani przez odpowiednie instrukcje kierownicy wojewódzkich i niższych ogniw konspiracyjnych Ruchu Ludowego, aby prace, jakie miały być podjęte w ramach legalnej organizacji, co nastąpiło dopiero w lipcu 1945 r., przybrały od razu charakter masowy i nie mogły być sparaliżowane przez komunistów. W myśl tego planu cała sieć konspiracyjna Ruchu Ludowego była w szczegółach przygotowana do rozpoczęcia startu a pierwszym krokiem w tym starcie było posiedzenie konstytucyjne w dniu 11 lipca 1945 w Krakowie z udziałem przedwojennych członków NKW Stronnictwa Ludowego i członków Centralnego Kierownictwa Ruchu Ludowego w konspiracji. Na posiedzeniu tym został ukonstytuowany Naczelny Komitet Wykonawczy PSL w następującym składzie : Wincenty Witos — Prezes Stronnictwa; Stanisław Mikołajczyk, J. Niećko i dr Władysław Kiernik — wiceprezesi, Stanisław Wójcik i J. Witaszek — naczelni sekretarze, W. Bryja — skarbnik oraz J. Balcerzak, K. Banach, A. Chorążyna, P. Chadaj, J. Dusza, prof. St. Kot, Wł. Kojder, J. Król, St. Mierzwa, Wł. Witek — członkowie N.K.W.

W tym składzie Naczelny Komitet Wykonawczy wydał pierwszą publiczną odezwę oraz komunikat i instrukcję uprzednio rozesłane ogniwom terenowym.

W tych warunkach trudno nawet mówić o założycielach w ścisłym tego słowa znaczeniu, gdyż poza opracowaniem planu przez Kierownictwo Centralne Podziemia Ludowego i przygotowaniem odpowiedniej całej sieci oraz zaakceptowaniem tego planu przez NKW w dniu 11 lipca 1945 r. cały wysiłek organizacyjny wykonany został zbiorowo przez 300-tysięczną rzeszę, jaka była związana z podziemiem Ruchu Ludowego i stanowiła pierwszy zespół członków PSL.

W każdym razie dla ścisłości należy podnieść niewspółmiernie wysoki wkład, jaki dał z siebie przy ustalaniu planu, jak i przy samym starcie PSL, prezes Wincenty Witos, który mimo choroby nie szczędził swych cennych uwag kierownictwu konspiracyjnemu, przygotowującemu plan, a następnie wziął czynny udział w pierwszych zjazdach w Tarnowie i Krakowie oraz wydał odezwę do chłopów niezależnie od komunikatu i odezwy NKW, pod którymi również położył swój podpis (patrz „Jutro Polski" z dnia 26.VIII., 9.IX., 30.IX, 28.X. i 4.XI.1945 r.).

2) Nie jest zgodne z faktami twierdzenie, jakoby „w chwili powstania Krajowej Rady Narodowej" istniała już jakaś odrębna grupa działaczy „lewicowego nurtu" Stronnictwa Ludowego i Batalionów Chłopskich.

Autor zapewne wyciągnął taki wniosek z faktu, że w pierwszym posiedzeniu Krajowej Rady Narodowej z 31 grudnia 1943 na 1 stycznia 1944 wzięło udział, jak podają komuniści, 3 działaczy „ludowych" tj. Władysław Kowalski, Antoni Korzycki i Franciszek Litwin.

Otóż należy stwierdzić, że żaden z tych trzech panów nie należał do Stronnictwa Ludowego przed wojną i żaden z nich nie brał udziału w pracach konspiracyjnych tego stronnictwa w czasie wojny.

3) W zakończeniu jeszcze jedna uwaga. Artykuł „Partia i Stronnictwa" jest niewątpliwie cennym i wnikliwym opracowaniem charakteryzującym partię komunistyczną w Polsce w okresie powojennym. Natomiast nawiasowe wtrącenie jednego zdania o PSL stwarza na tle całego artykułu niejako domniemanie, że PSL było jednym z czynników omawianej przez autora „transmisji" Partii komunistycznej do mas. Taka sugestia czy choćby cień sugestii nie odpowiada rzeczywistości i jest krzywdzący dla przeszło milionowej masy członków. która należała i z oddaniem pracowała w PSL., pieczętując to wielkimi ofiarami.

PSL powstało do walki z partią komunistyczną i do ostatniej chwili swego formalnego i publicznego istnienia prowadziło w sposób bezkompromisowy tę walkę, zachowując całkowitą niezależność. PSL zmuszone zostało zakończyć swoją publiczną działalność w październiku 1947, kiedy to wszystkie agendy i biura PSL zostały opanowane przez UB. To co było robione później po październiku 1947 pod firmą PSL nie miało nic wspólnego z PSL założonym w 1945 r., na czele którego stanął Wincenty Witos, a po jego śmierci — Stanisław Mikołajczyk.

PSL z 1945-47 walczyło z komunizmem — walczyło o wolność narodu i o ideały demokratyczne — dlatego nawet w najmniejszym zakresie łączenie go w jakikolwiek sposób z poczynaniami partii komunistycznej jest krzywdą i obrazą dla jego przeszło milionowej rzeszy członków z tego okresu.

Łączę wyrazy należnego poważania

Stanisław WÓJCIK
Sekretarz Naczelny
Polskiego Stronnictwa Ludowego

Do artykułu p. J. Marlewskiego „Gdańsk w stosunkach polsko-niemieckich", umieszczonego w styczniowym numerze „Kultury" wkradły się pewne nieścisłości. Wydaje mi się, że, jako ostatni zastępca Komisarza Generalnego w Gdańsku, w interesie ścisłości historycznej, mam obowiązek sprostować je.

Na str. 110 p. Marlewski pisze, że dowódca krążownika (nie pancernika) „Schleswig-Hollstein" *nie* złożył wizyty komisarzowi generalnemu R. P. w Gdańsku, gdy krążownik zawinął do portu gdańskiego w ostatnich dniach sierpnia 1939. Tymczasem w rzeczywistości *złożył* on tę wizytę, a komisarz generalny RP., Minister Chodacki, w towarzystwie radcy dr Batagli, zgodnie z protokołem, wizytę tę mu oddał na statku. Natomiast nie wziął nikt spośród urzędników Komisariatu Generalnego udziału w przyjęciu wieczornym wydanym tegoż dnia przez Gauleitera Gdańska Foerstera. Stało się to ze względu na ogłoszenie się w przeddzień wizyty, szefem Wolnego Państwa Gdańskiego, przez tegoż Gauleitera. Z tejże samej przyczyny w przyjęciu nie wziął udziału również Wysoki Komisarz Ligi, Burckhardt. Starając się więc, jak to słusznie podkreśla p. Marlewski, do ostatniej chwili o uniknięcie wszystkiego, co mogłoby zaostrzyć stosunki polsko-gdańskie, oczywiście staliśmy też na straży statutu Wolnego Miasta i naszych umownych praw.

Na str. 112, 113 pisze p. Marlewski, że linia telefoniczna między Komisariatem Generalnym a Warszawą była w ostatnich dniach sierpnia przerwana. Otóż ja sam otrzymawszy wieczorem 31.8.1939 wiadomość, od naszych celników z pogranicza Prus Wschodnich, że „goście przekroczyli granicę" — telefonowałem do MSZ i powtórzyłem ją pełniącemu służbę dyżurną radcy Mniszkowi. Dorzucam, że łączność Westerplatte z Warszawą istniała jeszcze o świcie dnia 1 września 1939, a dowódca Westerplatte mjr. Sucharski, w kilka minut po pierwszej salwie krążownika „Schleswig-Hollstein" na Westerplatte, zameldował o bombardowaniu do Warszawy.

Do całej sprawy „ostatnich dni Komisariatu RP w Gdańsku" zamierzam powrócić jeszcze w swoim czasie. Dni te były — jak to zawsze ma miejsce u nas — pełne groteskowych podrygów i dostojeństwa, gdy porywająca wielkość maszerującej historii deptała ludzką małość, niosąc sztandar nieśmiertelnej ofiary i chwały.

Łączę wyrazy szacunku

Dr ZAWADOWSKI
Beyrouth — Liban



Szanowny Panie Redaktorze,

P. Miłosz zastrzega się wprawdzie w artykule pt. „Dwa Procesy" (Nr 1/63 „Kultury"), że „analogie poprowadzone zbyt daleko są najpospolitszym źródłem błędów", ale po tym czołobitnym założeniu rozwija, komentuje i analizuje tę analogię tak jak gdyby niebo samo było granicą „niezbyt daleką". Zastanawiałem się dość długo czy zabrać głos, bo podzielam przerażenie i odrazę Miłosza wobec procesu praskiego, ale analiza jego jest tak bałamutna, że obawiam się, iż jego najlepsze niewątpliwie intencje mogą zawrócić bumerangiem. Skomplikowanie spraw ludzkich jest tak olbrzymie, że z podobnych analogii ktoś inny łatwo potrafi wysnuć wnioski skierowane przeciw nam samym.

Przede wszystkim należało by wyjaśnić błędne zrozumienie słowa „antropologia". „Rzecz wykracza znacznie poza politykę, należy raczej do sfe

ry antropologii" — pisze p. Miłosz. Antropologia jest nauką o człowieku, o jego naturze i sposobie życia (z fizjologią i psychologią włącznie). Tak tłumaczą ją słowniki i tak rozumieją to słowo antropologowie. Antropologia nie ogranicza się zatem do studium ludzi prymitywnych, choć ze względów laboratoryjnych chętnie bada cywilizacje pierwotne. Dość wskazać na prace Margaret Mead („...and keep your powder dry" i „Male and Female") na Geoffrey Gorera (The American) lub na publikacje angielskiej „Mass-Observation". Polityka jest więc prawowitą domeną antropologii. To wyjaśnienie jest konieczne ponieważ Miłosz przeciwstawiając dwa procesy — proces polityczny w społeczeństwie współczesnym i proces kryminalny w społeczeństwie prymitywnym — stwarza klimat, w którym obiektywna ocena procesu praskiego zostaje przesłonięta mgłą uprzedzenia. Jesteśmy z góry uprzedzeni a zatem zdyskwalifikowani z ławy przysięgłych. Nawet jeśliby konkluzje Miłosza były słuszne (a wydaje mi się, jak spróbuję udowodnić, że nimi nie są) ich wiarygodność będzie zawsze pod znakiem zapytania.

Komentując, analizując i rozwijając swą „analogię" dochodzi Miłosz do dwu wniosków :

1) „Nie rozporządzając nauką i techniką, człowiek pierwotny ucieka się do pomocy magii".

2) „Jest to logika, w której zasada sprzeczności ma całkiem inną funkcję niż w cywilizacjach bardziej zaawansowanych".

(W obu zdaniach przeciwstawienie dwu cywilizacji ma akcent negatywny na cywilizacji pierwotnej).

Ad 1) Kwestionuję tu implikację jakoby *tylko* człowiek pierwotny uciekał się do pomocy magii. Magia jest — jak mi to p. Miłosz po zastanowieniu niewątpliwie przyzna, — integralną cechą ludzką. Magia może być prymitywna, jak w „procesie czarownic", może być bardziej skomplikowana jak w liturgii kościelnej, w apoteozie sztandaru lub hymnu narodowego, czy też w ceremoniale monarchicznym, i może być wreszcie tak wysubtelniona jak w poezji. P. Miłosz przyznaje wprawdzie — choć zbyt niewyraźnie i mimochodem — że cechy „mentalności prymitywnej" przejawiają się także u ludzi współczesnych, ale dodaje szybko i bardzo kategorycznie : „Nie w nauce i technice". Nauka i technika są pojęciami zbyt abstrakcyjnymi na moją przyziemną praktyczność. Są *słowami*, które wskazują kierunek raczej niż przedmiot. P. Miłosz miał niewątpliwie na myśli naukowców i techników a nie naukę i technikę. Naukowców przy pracy naukowej i techników przy pracy technicznej, aby być systematycznie ścisłym. Ale czy p. Miłosz jest pewien, że magia nie gra także tutaj ? „Odkrycie matematyczne nie zależy od logiki, lecz jest wynikiem *tajemniczych* sił, których *nikt nie rozumie*, a w których *podświadome* rozpoznanie piękna gra niewątpliwie ważną rolę. Z nieskończonej ilości wzorów matematyk wybiera najpiękniejszy i ściąga go na ziemię, *nikt nie wie jak...*" (Cytat z przemówienia matematyka, prof. Morston Morse pt. „Reflections on Evaluation in Mathematics and the Arts". Podkreślenia moje !)

Jeśli to nie jest magią, to co jest magią ?

Ad 2) Dla przejrzystości pragnę przytoczyć jeszcze jedną cytatę z Miłosza : „Wiadomo jest, że świat wymyka się naszemu ujęciu i że chcąc poznać rzeczywistość konstruujemy ją podstawiając tę zracjonalizowaną (czy matematyczną) wersję na miejsce rzeczywistości nagiej i bezkształtnej. Ponieważ to stwierdza, nauka nie usposabia do pochopnych sądów. Ale co innego dzieje się w sferze, w której każdy jest dzisiaj zanurzony — w sferze zjawisk społecznych i politycznych. Tutaj nie tylko, że są dwie rzeczywistości, ale często nie wolno nawet powiedzieć głośno, że jedna z nich jest tylko próbą interpretacji". Przyjrzyjmy się bliżej tym paru zdaniom. Wynika

z nich, że nauka nie zna dwu rzeczywistości jak te, które p. Miłosz obserwuje „w sferze zjawisk społecznych i politycznych". A takie stwierdzeni (nawet przez implikację) jest raczej lekkomyślne. *Fakty są bowiem wręc przeciwne*. Nauka współczesna *opiera się* bowiem o równoczesność dw sprzecznych rzeczywistości. Energia i materia, kwanty i fale, elektryczność i magnetyzm, geometria i grawitacja, dziedziczność i otoczenie, determinizm i metoda statystyczna itd., oto podstawowe idee współczesnej rewolucji naukowej.

Ale w tym zamieszaniu zagubiła się potworność procesu praskiego, bo jeżeli „logika murzyńska" jest logiką współczesności, to może przecie Gottwald miał prawo lub dobrą rację sprzątnąć swe ofiary. Co doprowadza do absurdu analogię Miłosza.

Błąd Miłosza jest jednak zrozumiały. Jak niestety zbyt wielu humanistów, zbyt święcie wciąż jeszcze wierzy w 20-tym wieku w jedyność arystotelesowskiej logiki. „Powstał nowy język, a w tym języku A jest A i nie jest A równocześnie", pisze p. Miłosz w zakończeniu swego artykułu. Al jak np. wyjaśni p. Miłosz arystotelesowską logiką takie proste i podstawowe równanie jak :

$$x2 - 6x + 5 = 0$$

w którym x = 5 lub x = 1.

Nie znaczy to, że 5 = 1, ale taka jest już „logika" zacofanej matematyki, że A może być A i A może nie być A równocześnie. Jeśli więc nauk ścisłe rozumieją (i tłumaczą !) tę logikę sprzeczności, to może sprzeczność nie jest koniecznie dowodem zacofania lub „magii". I może należy szuka wytłumaczenia potworności procesu praskiego na zupełnie innej płaszczyźnie.

Łączę wyrazy szacunku

Henryk SCHOENFELD

182, Elworthy Ave.
London, Ontario, Canada.



Szanowny Panie Redaktorze,

List p. S. Lewickiego („Kultura" Nr 12/62), w którym krytykuje moje uwagi w sprawie braku odpowiedniej lektury z punktu widzenia II-g pokolenia („Kultura" Nr 10/60) przekonał mnie o tym, że są wśród rodaków i tacy, którzy uważają, iż zawartość naszych czasopism jest zupełn wystarczająca i zadowalająca. Pan Lewicki wylicza następujące pism jako te, które jego zdaniem poruszają sprawy poświęcone zagadnienio współczesnym : „Wiadomości", „Życie", „Orzeł Biały", „Sprawa Polska" „Dziennik Polski" oraz „Polak w Kaliforni". Zgadzam się co do tygodnik „Życie". Nie znam „Sprawy Polskiej" oraz „Polaka w Kalifornii", nat miast poza czasopismami tu wymienionymi znam cały szereg różnych tygodników i biuletynów londyńskich, które są zdaniem moim przykłada dość nędznej lektury. Ale wróćmy do czasopism, które p. Lewicki chwa Jeśli chodzi o „Orła Białego" i „Dziennik Polski" (londyński) to są o dla mnie pismami odznaczającymi się brakiem aktualności na szerszą skal Jeśli mowa o „Wiadomościach" to uważam, że pismo to trudno jest w ogó porównywać czy stawiać w tym samym rzędzie co np. „Dziennik Polski

„Wiadomości" to tygodnik o wysokim poziomie literackim i choćby tylko z tego powodu spełniający dobrze swoje zadanie. Ale w żadnym wypadku nie zasługuje ono na stawianie go jako przykładu głosiciela lub szermierza nowych prądów i zagadnień. Są tam rubryki informacyjne i sprawozdawcze ze spraw bieżących, są komentarze o wypowiedziach innych — ale gros zawartości to w dobrym stylu, dobrym polskim języku i prawie zawsze z talentem, pisane wspomnienia i wypowiedzi pokolenia „rządzącego" na tematy zaczerpnięte z przeszłości. A „Dziennik Polski" ? Jakież to jego artykuły zalicza p. Lewicki do reprezentujących myśli i zagadnienia współczesne ? Na cztery strony tej gazetki 3/4 przypada na powieści p. Sądka plus reportaże „Bywalca", plus porady „Hestii", plus dowcipki w „To i Owo" plus ogłoszenia handlowe (nieraz na pół szpalty wielkie), no i te z najaktualniejszych tam spraw (ba nieraz niecierpiących wprost zwłoki), ogłaszane na ostatniej stronie, w rubryce „Matrymonialne". Pewno, i taka gazeta jest potrzebna na Emigracji, ale nie przypisujmy jej charakteru, którego nie posiada. Pismem poruszającym sprawy związane z zagadnieniami współczesnymi, tymi którymi II-gie Pokolenie interesuje się najbardziej, jest „Kultura" oraz na mniejszą skalę „Życie". Skoro p. Lewicki widzi w tym ukłon mój w stronę tego miesięcznika — proszę bardzo ! Wcale się tego ukłonu nie wstydzę, a że ukłonami moimi nie szafuję, więc też nie skierowuję ich w żadną inną stronę. Pan Lewicki pisze : „Autorka listu przenosi brytyjskie pisma, zagadnienia, politykę... nad polskie". Nie, nie przenoszę. Gdyby tak było, nie pisałbym ani poprzedniego, ani tego listu, lecz koncentrowałabym swoją uwagę tylko na sprawach poruszanych w pismach obcych. Skoro jednak „piętro brytyjskie" nie wystarcza mi do szczęścia, to znaczy, że brak odpowiedniej lektury na „piętrze polskim" jest raczej moją „piętą Achillesową" — pomimo że p. Lewicki tylko mój mały palec lewej nogi ofiarowuje temu piętru. Dalej p. Lewicki pisze : „Gdyby punkt widzenia p. Krogh, że nic prawie od nas nie zależy, a wszystko od innych, był słuszny, to jeżeli wynik ostatniej wojny nie zależał od nas po co mieszaliśmy się do tego przyjmując ją i bijąc się na całym świecie oraz robiąc powstanie warszawskie ?" Czy się nam to podoba czy nie, istotnie w obecnej sytuacji stosunków politycznych niestety Prezydent Stanów Zjednoczonych więcej decyduje, lub będzie decydował o naszym losie i losie naszego Państwa, niż nasz Prezydent — za słowami p. Lewickiego — Państwa nieistniejącego. Jeśli zaś chodzi o nasze sprawy wewnętrzne, a więc choćby np. — tak często poruszana sprawa „zgody narodowej" — oczywiście decydujemy w nich my sami. A co do pytania, po co mieszaliśmy się do wojny bijąc się na całym świecie oraz robiąc powstanie warszawskie, to sama pragnęłabym o to zapytać, tylko nie wiem z kolei kogo. Osobiście nie byłam i nie jestem zwolenniczką tego, abyśmy się bili na wszystkich frontach świata, a już powstanie warszawskie uważam za najtragiczniejszy nasz błąd, jaki popełniono w czasie tej wojny.

Nie znam doboru pism amerykańskich p. Lewickiego, „nierzadko pełnych bzdur". Oczywiście, że zarówno w tamtejszej jak i tutejszej prasie wiele bzdur drukują. Ale po pierwsze nie musi się ich czytać, a po drugie, bzdury w obcych pismach wcale mnie nie przejmują. A w naszych tak. Poza tym wśród obcych czasopism jest masa świetnie redagowanych i wybór jest ogromny. Natomiast ilość oraz możliwości wydawnicze naszych czasopism są ograniczone i dlatego powinno się wiele wagi przywiązywać do tego co, i jak, i dla kogo się pisze.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Maria KROGH
(Londyn)

Szanowny Panie Redaktorze,

Siódmy rok, płynący od zakończenia wojny, nasuwa cały szereg reflek sji. W ciągu tego okresu wiele dotychczasowych poglądów uległo koniecz nej rewizji. Tymczasowość „okresu przejściowego" nabrała cech stabili zacji, a „spakowane walizki" na rychły powrót do kraju, okazują swe pust wnętrza.

Do jednych z najbardziej istotnych zagadnień — nie tylko na Wyspach Brytyjskich — we wszystkich polskich skupiskach należy bezwątpienia pro blem obcego obywatelstwa, poruszony ostatnio w „Kronice angielskiej" („Kultura" 12/62). Zupełnie słuszne uwagi Londyńczyka nie wyczerpuj jednak całości zagadnienia.

Utrzymanie polskości na emigracji à la longue uzależnione jest o właściwego wychowania młodzieży. Słusznie podkreśla Londyńczyk, iż dziec urodzone w W. Brytanii w praktyce posiadają podwójne obywatelstwo. Do tyczy to w równym stopniu i państw Nowego Swiata. W krajach Ameryk Płd., dotychczas niewystarczająco zaludnionych, zwrócono pieczołowitą uwa gę na właściwe wychowanie nowych obywateli. Byłoby nonsensem przeciw stawianie się tej akcji, bowiem w rezultacie dziecko, zmuszone do lokal nych warunków życia i lokalnego środowiska, zawisłoby w próżni, dołą czając do kategorii „wykorzenionych". Natomiast koniecznością wycho wania domowego jest wpojenie uczuciowego związania z Polską, jak te zrozumienia polskiego pochodzenia. Wkład Polonii Stanów Zjedn. — skła dającej się w większości z Amerykanów polskiego pochodzenia — do wy siłku ogólnonarodowego mówi sam za siebie. Odwrotnie w Argentynie utrzy maniu stanu polskości zagroziło całkowite wynarodowienie się olbrzymieg procentu dorastającej dziś młodzieży. Nie należy do wyjątków młodzie niec wstydzący się polskości swych rodziców. Trudno teraz dociekać przy czyn, ale nie można ominąć charakterystycznego zjawiska, iż do niedawn miano „polaca" było obraźliwym i związanym z handlem żywym towa rem.

Dlatego też rozumne połączenie własnych interesów z interesami kraj osiedlenia pozwoli na ścisłe związanie młodzieży z polskością, mimo obceg czy podwójnego obywatelstwa.

Tyle o młodzieży, a teraz zgodnie z terminologią p. J. Mieroszew skiego — pokolenie „rządzące".

Niezależnie od nacisku natury ekonomicznej warto zastanowić się na sytuacją inteligencji. W wielu państwach otrzymanie stanowiska, odpowi dającego wykształceniu i możliwościom — dotyczy zwłaszcza humanistó — uzależnia przekroczenie Rubikonu paszportowego. W ten sposób sztywn przepisy, pauperyzując inteligencję, utrudniają szerokiemu promieniowani polskiej wiedzy i kultury u nas i u obcych.

Brak dyplomatycznych i konsularnych placówek uzależnia sytuację sp łeczności polskich od koniunkturalnych zarządzeń odnośnych władz adm nistracyjnych. Lokalne stowarzyszenia nie posiadają ani odpowiednich śro ków, ani autorytetu na skuteczną interwencję w obronie interesów swyc współziomków. Dlatego też udział Polaków w życiu społecznym i polityc nym odnośnego kraju może poprawić byt polskich środowisk. Nie trzeb udowadniać, iż jeden poseł do parlamentu polskiego pochodzenia uczyni d Polski i swych współrodaków więcej, aniżeli wszelkie wiece polskich org nizacji i najbardziej bojowe i hurra-patriotyczne artykuły w polskiej prasi

Przyjęcie obcego obywatelstwa, poza ewentualnym zabezpieczeniem s bie znośnych czy lepszych warunków bytu, może mieć również wpływ i n zagadnienia, wychodzące poza ramy indywidualne. Toteż problem ten n

jest ,,wstydliwą'' sprawą personalną, a wybrnięciu z impasu emigracyjnego projektem Londyńczyka o podwójnym obywatelstwie trzeba przyklasnąć i spodziewać się jego realizacji.

Proszę przyjąć wyrazy poważania

Jerzy DITTMAR
Balcare 621, p. 1
Buenos Aires

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

Z całym uznaniem przyjęliśmy tutaj w Brazylii ankietę ,,Kultury''. Nie wiem ile osób na nią odpowie, ale jeżeli odpowie mały nawet procent to materiał zebrany będzie na pewno bardzo interesujący i z wielkim zaciekawieniem będziemy wyglądać ogłoszenia wyników i wniosków.

Jest to pierwsza próba stworzenia organizacji badania polskiej opinii publicznej, jestem przekonany, że cały szereg kwestii wyjdzie na wierzch i szereg mitów zostanie rozwianych.

Instytut Badania Opinii Publicznej, powinien być zorganizowany jako stała instytucja, przez Rząd R.P. wraz z Radą Polityczną, moze na ten temat mogliby się ci panowie pogodzić i zgodnie posłuchać co o nich i o polskich sprawach się myśli i mówi między Polakami.

Jest rzeczą ze wszech miar godną uznania i jednocześnie bardzo smutną, że ,,Kultura'' powzięła tę inicjatywę. Smutne jest to dlatego, że nad obowiązkiem badania opinii nikt z jałowych matadorów politycznych się nie zastanowił, a inicjatywę powzięło pismo niezależne od nikogo.

,,Kultura'' zasłużyła sobie na uznanie i poczytność, przede wszystkim tym, że na jej łamach wypowiadają się różni ludzie i dyskutuje się różne poglądy, że otworzyła też swe łamy dla Ukraińców i pewno niedługo dla innych, których zdanie jest dla nas interesujące i cenne.

Najwyższy czas abyśmy zaczęli głośno dyskutować na tematy drażliwe i ,,prowokujące'', które do tej pory starannie się przemilcza, takie tematy jak przyszłość stosunków polsko-ukraińskich, polsko-czeskich i litewskich, projekty federacji gospodarczej, wojskowej i politycznej, stosunek tej federacji do Rosji, do Związku Zachodniego i USA, jej potencjalne możliwości, itd. to może będą trochę akademickie dyskusje, ale wnioski z nich mogą okazać się bardzo życiowe, gdy okoliczności się zmienią.

Przeczytałem ostatnio sprawozdanie z XII-tej sesji Rady Politycznej, cóż za nieprawdopodobne mydło i powtarzanie tego, co dawno już powiedziały dzienniki i tygodniki amerykańskie i angielskie. Czyż członkowie Rady nie zdają sobie sprawy, że przeciętny polski inteligent czyta ,,The Economist'' i tygodniową prasę brytyjską wszystkich odcieni, że prawie każdy poza W. Brytanią czyta ,,New York Times'', ,,Chicago Tribune'', ,,International Affairs'' i inne tygodniki ?

Po co powtarzać to, co zostało powiedziane przez zachodnich specjalistów ? Zamiast tego i płonnego nawoływania na alarm z powodu zagrożenia niemieckiego nie lepiej byłoby ustalić program i ustalić plan działania i zacząć coś robić zanim nie będzie za późno ? W mojej odpowiedzi na zapytanie ankiety, co do Międzymorza dochodzę do pewnych wniosków konkretnych, ale myślałem że do tych wniosków dawno już doszedł prof. Zdziechowski i p. Berek, którego nazwisko mi nic nie mówi, ale który pewno jest cennym członkiem Rady, skoro się na temat wyborów amerykańskich wypowiada z taką jasnością jakiej by się nie powstydził żaden amerykański prorok, zapominając jednak w swojej ocenie, że Prez. Eisenhower argument Jałty poruszał raczej z myślą skaptowania Niemców niż Polaków. Potsdam

był tylko skonkretyzowaniem i jest nieodłączną konsekwencją jałtańskiego przetargu. Poruszając opinię na tematy polskie, nie wolno nam zamilczeć spraw ukraińskich, litewskich, bałtyckich i rumuńskich, tym bardziej, że ci, co te państwa na emigracji przedstawiają, są mniej liczni, mniej mają ludzi wykształconych, aby mówić i pisać. Dlaczego *nie chcemy* i z uporem odmawiamy odegrania roli obrońców praw tych, którym zamknięto usta ? Tylko i jedynie dlatego, że jesteśmy polskimi szowinistami i nasza obrona cudzych interesów nie będzie uważana za bezinteresowną. Ale jest na to rada, trzeba pozyskać ich współpracę, uzgodnić punkty widzenia i występować razem, lub za ich zgodą. Nie chcemy dopuścić, aby ktoś poza nami mógł decydować o przyszłości Ukrainy, uważamy to za nasz monopol i oburzamy się, gdy inni na ten temat zaczynają mówić, oskarżając ich o ignorancję lub złą wolę, a sami nie robimy prawie nic, aby móc się porozumieć z Ukraińcami i razem z nimi występować.

Jedno z ciekawych pytań zostało w Ankiecie pominięte, a to : ,,Jakie w obecnej chwili Pan(i) posiada obywatelstwo i czy ma zamiar je zmienić''. Kwestia przyjmowania obcego obywatelstwa jest bardzo ważna dla każdego z nas i wyjaśnienie jej jest jednym z obowiązków naszych władz w Londynie. Poza tym kwestia utrzymania polskości w następnym pokoleniu też musi być oficjalnie załatwiona. Dzieci się rodzą jako obywatele nie polscy i po dojściu do pełnoletności będą miały prawo wyboru. Otóż na pewno nie wybiorą statutu bezpaństwowca, ale pozostaną przy kraju swego urodzenia. Zapewnienie, że będą miały prawo powrotu do obywatelstwa polskiego po przekroczeniu prawem określonego wieku, musi być już dzisiaj dane przez Rząd R. P. Znam wypadki i zupełnie aktualne, gdzie dorastające dzieci domagają się odpowiedzi.

Polskość nasza nie może polegać na paszporcie, ale na stosunku do spraw polskich. Ci co zmieniają obywatelstwo, są uważani przez naszych polityków i wojskowych, za dezerterów sprawy polskiej, ale zapomina się, że od Polonii zagranicznych wszyscy oczekują pomocy finansowej i moralnej, przestańmy więc wypowiadać tak nieostrożne zdania jak premier Odzierzyński, że — ,,źle służy sprawie polskiej ten, co przywdziewa obcy mundur'', a więc źle się przysłużył sprawie polskiej Kościuszko i Pułaski i cały szereg innych, którzy dla Polski pracują mimo że noszą amerykańskie mundury, a więc źle się przysługuje Polsce Prezes Rozmarek, oficer Armii USA. Po co mówić takie nieprzemyślane rzeczy, które wywierają odwrotny skutek, bo ludzie przyjmują obce obywatelstwa, tylko o tym nikogo nie zawiadamiają. Pozostawmy sąd, kto się dobrze Polsce przysłużył, następnym pokoleniom, one nas lepiej ocenią z historycznej perspektywy. Zresztą dążymy do idei federacji, gdzie narodowość będzie rzeczą drugorzędną i gdzie szowinizm będzie musiał ustąpić na rzecz wspólnych interesów i wspólnego pokoju.

Może ankieta ta nareszcie da do myślenia tym, co siedzą w Londynie, że należało by przeprowadzić wybory do Rady Narodowej, powszechne, tajne i korespondencyjne. Przecież mało kto wierzy w to, że obecna Rada Narodowa przedstawia polską opinię publiczną na emigracji. Wybory takie doprowadziłyby do niespodziewanych wyników, okazało by się, że istniejące partie polityczne nie mają tylu zwolenników, jak im się zdaje i wykazałyby, że opinia polska ma dość niezgody, bezcelowych sporów i przelewania z pustego w próżne, gdy może nadchodzi czas, gdzie trzeba będzie postawić konkretne zadania i opracować metody wykonania tych zadań.

Zyskałby na tym i Skarb Narodowy, bo do głosowania upoważniało by zapłacenie składki.

Problemy Skarbu Narodowego, wojska i przyszłej Polski powinny być otwarcie dyskutowane, tymczasem ,,Dziennik Polski'' przynosi nam ,,pod-

słuchane" i cały zamienia się w organ Napoleona Sądka lub przedrukowuje sensacyjne wiadomości brukowe, które nikogo poza Londynem nie obchodzą.

Proszę wybaczyć nieudolne pisanie na maszynie, wróciłem z „interioru" i bardzo mam mało czasu na porządne napisanie odpowiedzi na ankietę, portugalska maszyna też nie pomaga.

Kończąc chcę wyrazić raz jeszcze moje głębokie uznanie dla działalności „Kultury" i dla inicjatywy ankiety, która nam na pewno przyniesie ciekawe wyniki i komentarze.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

Jerzy ROSTWOROWSKI
137, rua Prof. Saldanha, ap. 102,
Lagoa, Rio de Janeiro

•

Szanowny Panie Redaktorze,

Oświadczenie pp. St. Strzetelskiego z New Yorku i J. Nowaka z Monachium — w odpowiedzi na artykuł Zygmunta Nagórskiego jr. — brzmi niemal jak komunikat kwater dwu dywizyj, pozbawiony jedynie podpisu szefa sztabu armii p. Leicha z Free Europe, a zadziwia jednobrzmiącą jednomyślnością dwu odległych od siebie ludzi, co świadczy o zwartej dyscyplinie ich myśli i wystąpień. Sielankowa relacja z bezbłędnych i niemal uroczych stosunków obowiązujących we Free Europe byłaby urzekającą, gdyby nie stwierdzenie, że instytucja ta jest imprezą polsko-amerykańską, i że „Polacy zatrudnieni przez RWE traktowani są (w niej) jako partnerzy, a nie płatni urzędnicy, zobowiązani do wykonywania instrukcyj i rozkazów". Trudno doprawdy rozróżnić, ile w tym twierdzeniu jest naiwności, a ile fałszywej sugestii, choć jedno jest pewne, że nie ma w nim prawdy.

Jeśli nie byłoby innych na to dowodów, to konsekwencje, jakim uległ autor artykułu w „Kulturze", a równocześnie kierownik oddziału Free European Press Service w New Yorku pozostającej z Free Europe w stosunkach handlowo-umownych — wystarczyłyby aż nadto do odtworzenia prawdziwych metod tej „polsko-amerykańskiej" instytucji. Jeśli w stosunku do autora polskiego wypowiadającego swój sąd na łamach jednego z najpoważniejszych czasopism polskich na emigracji, ale nie pozostającego w bezpośrednim stosunku zależności od Free Europe — Free Europe zastosowała system godny najlepszych wzorów klasycznej represji, to czegóż wolno się spodziewać w stosunkach z „partnerami" w tej „polsko-amerykańskiej imprezie", w której tylko pracownicy są Polakami, ale pieniądze i bossowie wyłącznie amerykańscy ?

Nic zatem dziwnego, że cenzura w tej instytucji jest niepotrzebna i „żaden z nas — jak zapewniają pp. St. Strzetelski i J. Nowak — ani w New Yorku ani w Monachium, nie spotkał się z nakazem nadania takiej lub innej audycji". W to wątpić nie należy, bo brak cenzury i nakazów, jak w ogóle kontroli jest jedną z cech systemu amerykańskiego, nie tylko we Free Europe, który wynika z zaufania w instynkt samozachowawczy człowieka zajętego pracą i opłacanego dobrym pieniądzem stanowiącym najlepszą gwarancję lojalności i akuratności pracownika. Obaj autorzy oświadczenia liczą zapewne na nieświadomość czytelników w dziedzinie tej właśnie, uświęconej w tym kraju, zasady „bossizmu", która doprowadziła do wytworzenia tu podziwu godnego systemu samorzutnej dys-

cypliny pracownika wobec pracodawcy i automatyzmu słynnej amerykańskiej „maszyny" ludzkiej nie tylko w fabrykach, ale i w życiu politycznym, publicznym, a również — jak się okazuje — także we Free Europe. Kto zatem pobiera 300 czy więcej dol. miesięcznie i siedzi za to za biurkiem, zamiast stać w hali fabrycznej — ten w tym kraju nie potrzebuje cenzury i nakazów. Wszystko w tej sprawie jest w porządku, jak długo w grę nie wchodzą zagadnienia tego typu, jak na przykład problemy polityki polskiej w starciu z przeciwieństwami polityki amerykańskiej, w obecnym szczególnie okresie.

P. St. Strzetelski i J. Nowak zapewniają nas, że w „spornych sprawach obie strony szukają rozwiązania, które byłoby do przyjęcia dla jednych i dla drugich", a ramowe instrukcje „są przedmiotem dyskusji z polskim kierownictwem, zanim staną się obowiązujące".

I tu właśnie jest sęk. Z jakim kierownictwem polskim ? Z p. St. Strzetelskim i p. J. Nowakiem, którzy przecież są również pracownikami na zasadzie najmu i którzy podlegają także zasadzie „bossizmu" w stosunku do amerykańskich pracodawców ? W sprawach, które dla Kraju mają być wykładnią niezależnego stanowiska polskiego i wyrazem opinii polskiej emigracji „bossowie" amerykańscy podobno dyskutują z „partnerami", którzy znajdują się na stałej pensji we Free Europe, po czym dochodzi do kompromisu. Kto ze strony polskiej decyduje o jego granicach i rozmiarach ? Jeśli słusznie domagamy się publicznej kontroli działalności politycznej Rządu, jeśli Rząd domaga się kontroli nad działalnością stronnictw na rynku międzynarodowym, jeśli w ogóle zasada kontroli w tych zagadnieniach jest bezsporna i oczywista, to kto kontroluje pp. St. Strzetelskiego i p. J. Nowaka w ich kompromisach zawieranych w imieniu polskim i na polski rachunek z instytucją, która działa na Kraj i która reprezentuje politykę państwa mającego odmienne od polskich poglądy na problemy tego typu, jak sprawa Niemiec, Ziem Zachodnich, Jałty, obszarów wschodnich Polski, zasad strategii w stosunku do Rosji, legalnego Rządu Polskiego i wielu innych zagadnień natury podstawowej i fundamentalnej dla stanowiska polskiego ? Czy można nie ulegać wątpliwościom i nie wysuwać zastrzeżeń w tej sytuacji i pozostawić wszystko swojemu biegowi w rękach dwu choćby znanych dziennikarzy czy działaczy, czynnych we Free Europe w oparciu o umowę służbową z tą instytucją, która — jak każda umowa na świecie — domaga się przede wszystkim lojalności w stosunku do pracodawcy, za co gwarantuje pracownikowi godziwą zapłatę i inne świadczenia, ale w żadnym razie dowolność w działaniu wbrew interesom właściciela przedsiębiorstwa.

I oto wokół tego niepokojącego problemu obraca się całe zagadnienie stosunków polskich z Free Europe. Nikt nie wątpi, że mogłaby to być instytucja „niewątpliwie niezmiernie pożyteczną", gdyby nie dotychczasowy porządek w jej wewnętrznym ustroju, który stwarza pozory samodzielności i niezależności polskiej, a w praktyce i rzeczywistości, pokrywa niejasne cele i zamiary obcych intencyj, używając do tego Polaków opłacanych przez obce źródło, a nie podlegających żadnej kontroli ze strony polskiej. Ten stan rzeczy nie może budzić aprobaty u nikogo, kto jest przytomny i pamięta okres ubiegłej wojny, a widzi również pogmatwane bezdroża dotychczasowej polityki amerykańskiej.

W związku z moim listem w sprawie artykułu Z. Nagórskiego jr., na temat Free Europe, ogłoszonym w styczniowym numerze „Kultury" pragnę sprostować nieścisłość, jaką popełniłem w tym artykule pisząc, że w Philadelphii zjawili się wszyscy przedstawiciele polscy podpisując tam znaną deklarację ułożoną przez Free Europe. W rzeczywistości zjawił się tam tyl-

ko Mikołajczyk z gronem swoich adherentów, nie było natomiast przedstawicieli Rady Politycznej. Ci ostatni byli natomiast w Williamsburgu na podobnej imprezie.

Nieścisłość ta nie zmienia w niczym oceny zagadnień związanych z Free Europe.

Klaudiusz HRABYK
619 West 113 St.
New York City 25 NY

New York, w lutym 1953

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

Rację ma Krytyk twierdząc („Kultura", nr 12/62, str. 135), że Lehr-Sławiński i Szober — *sua cuique voluptas* — zalecają postać *dokumentalny*, ale bynajmniej nie jest to postać jedynie poprawna. *Grammatici certant :* Klemensiewicz (por. „Język Polski", wrzesień-październik, 1950, str. 192) przyznaje *dokumentalnemu* pierwszeństwo dość delikatnie tylko, nie potępiając *dokumentarnego*, Doroszewski zaś (por. „Poradnik Językowy", wrzesień-październik 1949, str. 18/19) opowiada się za *dokumentarnym*. Szober zmarł przed wojną, bardzo płodni Klemensiewicz i Lehr-Sławiński dobiegają już sędziwości, Doroszewski zaś, choć już przekroczył pięćdziesiątkę, należy do pokolenia młodszego (w niektórych kołach emigracyjnych nie wiedziano by, czy można go *już* czymś mianować). Krytyk albo ma szósty krzyżyk za sobą, albo jest z natury staromodny.

Sprawę szerzej omawiałem w „Dzienniku Polskim" 19 marca 1952 r. Tu już nie wytrzymam i pochwalę się, jak to jednym drobnym posunięciem sprawiłem światu powszechną uciechę : wycofałem się z współpracy w „Dzienniku" — ucieszył się i redaktor i zecer, i czytelnicy z prof. Strońskim na czele, no i ja.

Stanisław WESTFAL
(Glasgow)

◆

Do Redakcji „Kultury",

Z dużym zainteresowaniem i głęboką troską przeczytałem w n-rze 1/63 „Kultury" notę redakcyjną „Nieporozumienie czy tani patriotyzm ?" wraz z następującymi po niej pięcioma listami do Redakcji. Przeczytałem również niefortunny list J. Z. Majewskiego.

W pierwszym rzędzie chcę niniejszym wyrazić moje pełne uznanie dla stanowiska Redakcji, która nie bacząc na konsekwencje, jasno wyraża swoją opinię, którą uważa za słuszną. Jest rzeczą o wiele łatwiejszą i o wiele opłacalniejszą (dla finansów pisma) głosić ten, słusznie przez Redakcję nazwany „tani patriotyzm", aniżeli iść przeciw prądowi uczuć. Wśród Polaków łatwiej jest przemawiać do uczuć niż do rozumu ; ażeby wzbudzić ogólny entuzjazm, poklask itp., należało by pisać artykuły i wyrażać opinie z gatunku : „ani guzika od płaszcza nie damy", „Polska — mocarstwem", „Polska od morza do morza", „nie ma narodu ukraińskiego — to tylko wymysł niemiecki" itp., itp.

Ja również, tak jak Pan J. Relidzyński, jestem skromnym Polakiem, ogarniającym swą miłością w równej mierze cały obszar Rzeczpospolitej : i tej historycznej (w której skład wchodziły kiedyś również i Ziemie Zaporoskie, Mińsk, Połock, Witebsk, Kowno, Malborg, Gdańsk, Szczecin, Wrocław i Lignica) i tej przedwojennej i tej obecnej i tej, która *musi powstać na nowo*, ale nie znaczy to, abym nie rozumiał, że możliwość jej niepodle-

głego istnienia, a więc możliwość normalnego życia i rozwoju narodu w oparciu o trwałe podstawy, leży jedynie w systemie zbiorowego bezpieczeństwa mniej lub więcej sfederowanej Europy. I ja również, tak jak Pan M. Nowara należę do pokolenia całkowicie wychowanego w niepodległej Polsce, i mnie raziły tzw. kompleksy dzielnicowe, niemniej jednak nie uważam, że Polska przed-wrześniowa była ideałem i że stosunki w niej panujące zwłaszcza odnośnie spraw : ukraińskiej, czeskiej, białoruskiej i litewskiej były dobre. Nie wiem na jak wielkim doświadczeniu życiowym opiera Pan Nowara swe tak ciężkie oskarżenia, iż propagowanie idei federacji Europy jest zdradą Polski i działaniem ,,ludzi nie z tej ziemi'' (ciekawe też jaką organizację czy grupę reprezentuje Pan Nowara pisząc w liczbie mnogiej). Opieranie swego zdania głównie na doświadczeniu z czasów okupacji prowadzi do zupełnie fałszywych wniosków, gdyż, pomimo, że okres ten był wypełniony czynami najwyższego poświęcenia i bohaterstwa, był on jednak okresem zupełnie anormalnym w życiu Narodu, a decyzję na powtórzenie podobnego szczytu poświęcenia i bohaterstwa narodowego jakim było powstanie warszawskie dziś zdaje się prawie wszyscy zgodnie nazwaliby zdradą Narodu.

Jest rzeczą ludzką i zrozumiałą, że Polak urodzony i wychowany w Sarnach lub Brzeżanach, dziś od sześciu lat mieszkający i pracujący na Mazurach lub w Kłodzku, będzie z rozdzierającym się sercem czytał i słyszał głosy dyskusji czy te ziemie w przyszłości mają należeć do Polski, Ukrainy, Litwy czy Niemiec. Lecz taką samą gorycz w sercu mogli mieć, i z pewnością mieli, po roku 1921 wszyscy Polacy urodzeni i wychowani w Winnicy, Żytomierzu, Kownie, Olsztynie czy Karwinie. A jednak potrafili ten ból w sercu znieść, zamieszkać w niepodległej Polsce i nie nazywać przywódców, którzy polskie granice wyznaczali tzn. Piłsudskiego, Paderewskiego, Witosa, Dmowskiego i Korfantego — zdrajcami, dlatego, że podpisali pokój Ryski i zgodzili się na zachodnie granice Traktatu Wersalskiego.

Patriotyzmem jest, umieć cierpieć dla dobra całego Narodu — gdy tego potrzeba, nie zaś wymagać, aby cały Naród cierpiał i tracił niepodległość polityczną, duchową i moralną dla zaspokojenia pretensji wszystkich jego członków, opartych na tradycjach historycznych, kulturalnych i uczuciowych.

Nie ma Polaka, który by nie życzył sobie, aby Polska była silna i trwała, ale pisanie, że Polska musi być wielka i silna albo żadna zakrawa na megalomanię. Widzimy dziś przecie, że wielka i silna nie jest już nawet Anglia czy Francja, a o znaczeniu i sile nie decyduje wielkość terenu lecz organizacja państwa, wewnętrzna jego zwartość, wreszcie potencjał przemysłowo-ekonomiczny. Nawet najpotężniejsze państwa liczą się dziś z krajami Beneluxu i cieszą się one powszechnym szacunkiem.

Idea Pan-Europy nie jest mrzonką ,,ludzi nie z tej ziemi'' tylko dlatego, że do tej pory nie udało się jej zorganizować. Droga do niej nie jest łatwa i nie od razu da się ona pozytywnie wprowadzić w czyn; nawet Stany Zjednoczone, pozbawione wielu odwiecznych kompleksów europejskich narodowo-historycznych i po blisko wiekowym już trwaniu federacji, przeżyły najkrwawszą w 19-tym wieku wojnę, wojnę domową o trwanie federacji.

Spornych terytoriów, nienawiści narodowych, przeróżnych kompleksów jest w Europie bez liku, a jednak powoli mogą być one rozwiązane, potrzeba tylko trochę dobrej woli, mniej egoizmu, więcej zrozumienia własnych i cudzych interesów.

Tak, musimy szukać i dojść do porozumienia nie tylko z Ukraińcami, Czechami, Litwinami ale również i z Niemcami i Rosjanami. Jeśli chcemy mieć zapewniony trwały byt narodowy musimy oprzeć się na zbiorowym bezpieczeństwie *całej Europy*, bo wszelkie inne rozwiązania to tylko demago-

giczne „nie damy guzika", „Polska od morza do morza", które pięknie brzmią, ale prowadzą do katastrofy.

Dziwnie się utarło w naszej prasie emigracyjnej, że słowo „realista" oznacza prawie to samo co zdrajca, sprzedawczyk itp. nie wiem dlaczego monopol na patriotyzm mają jedynie „romantycy"; przez analogię przypomina to zresztą inne słowo ukute z tamtej strony żelaznej kurtyny, a mianowicie „kosmopolita".

Dotychczas jedynie sporadycznie kupowałem egzemplarze „Kultury", ale przeczytawszy, że Pan Nowara „na złość mamusi skaleczył się w palec" i wymówił prenumeratę (lecz nie czytanie, z pewnością będzie teraz „Kulturę" pożyczał) zawiadamiam niniejszym Szanowną Redakcję, że od tej chwili będę stałym abonentem waszego cennego pisma.

Z prawdziwym poważaniem

Jerzy CZAPLICKI
Av. Callao 353
Buenos Aires

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

Ze względu na „rewolucję" wśród pewnej części czytelników „KULTURY" wywołaną moim listem do Redakcji uprzejmie donoszę, że nikt nie zdołał mnie przekonać o rzekomej polskości Ziem Wschodnich, a szczególnie Wilna i Lwowa. Czy podlegam kodeksowi karnemu za zdradę stanu, czy nie — to mnie wcale nie martwi. Jestem Polakiem z krwi i kości, ale jak to słusznie dr T. Rosol zauważył „zupełnie odosobnionym w swoim rozumowaniu", tylko niestety nie pod wpływem „zbyt gorącego słońca afrykańskiego", Czynnikiem działającym jest tzw. „sensus communis" czyli zdrowy rozsądek.

Nie sympatyzuję ani z reżimem warszawskim, ani nie pochwalam polskiej polityki emigracyjnej (o ile tradycja sprzed roku 1939 będzie kontynuowana). Należę do młodego pokolenia Polaków miłujących wolność i demokrację. Ku zdziwieniu autorów sławetnych listów — przyznaję się, że pochodzę z Husiatyna nad Zbruczem i jeszcze raz podkreślam, iż jestem tylko Polakiem, a nie żadnym warszawiakiem, lwowiakiem, wilnianinem itp. Jako uczeń polskiej szkoły średniej na uchodźtwie, w roku 1944 po raz pierwszy usłyszałem o teorii Międzymorza. Od tego czasu żywo interesuję się problemami Europy środkowo-wschodniej i utrzymuję, że tylko federacja może położyć kres wszelkim nieporozumieniom między poszczególnymi narodami w tej części Europy.

„KULTURA" jest jedynym, prawdziwie wolnym czasopismem polskim na emigracji, na łamach którego każdy czytelnik może śmiało wyrazić swe myśli. Tych wszystkich, w oczach których nie mam racji — zapewniam, iż moje poglądy o Ziemiach Wschodnich podzielają bardzo znakomici Polacy. Wreszcie muszę dodać, że jestem alumnem *(nie księdzem)* seminarium duchownego rzymsko-katolickiego w Pretorii. O ile sobie przypominam, to listu swego nie podpisałem jako ksiądz. Dlatego zwracam się z prośbą do Szanownego Pana Redaktora o sprostowanie błędu, gdyż inaczej ci zgorszeni moim listem gotowi będa wyrzec się przynależności do Kościoła Rzymsko-Katolickiego, podobnie jak p. M. Nowara zrezygnował z prenumeraty „KULTURY".

Się wiele serdecznych pozdrowień,

Józef Z. MAJEWSKI

◆

Bardzo obfita korespondencja w ostatnim okresie nie pozwoliła nam zamieścić wszystkich listów mimo że przeznaczyliśmy na ich druk wyjątkowo dużo miejsca. Resztę listów zamieścimy w numerze majowym.

RÉSUMÉ EN LANGUE FRANÇAISE

« Kultura » a lancé il y a plusieurs mois une enquête dans le but de recueillir les opinions des exilés polonais sur des problèmes divers — polonais et internationaux. Près de 600 réponses ont été reçues, provenant de 27 pays du monde entier. Juliusz MIEROSZEWSKI analyse les résultats surprenants de cette enquête qui démontre une évolution remarquable de l'opinion polonaise en exil. Voici quelques données statistiques : pour une Europe Unie — 89 %; pour la naturalisation à l'étranger — 38,5 %, contre 28,5 %; n'appartenant à aucun des partis politiques polonais en exil — 88 %; opinions politiques : « Libéraux » — 35 %, « de gauche » — 20 %, « sans opinion » — 30 %, « conservateurs » — 8 %, « nationalistes » — 4 %, « chrétiens-progressistes » — 3 %; attitude envers les organismes dirigeants polonais en exil : pour le gouvernement polonais à Londres — 46.5 %, contre — 33,5 %; pour le « Conseil Politique » (groupement des partis politiques en exil) — 30 %, contre — 35 %; pour le « Comité Démocratique » (groupement dirigé par M. S. Mikolajczyk) — 7 %, contre — 74,3 %. La grande majorité des réponses exprime une attitude franchement négative envers le régime politique polonais d'avant 1939 (seulement 14 % des réponses indiquent une volonté de rentrer en Pologne sous un régime semblable à celui d'avant guerre).

Wlodzimierz BACZKOWSKI, dans un article consacré à la mort de Staline, estime que l'avènement des « hommes nouveaux » au pouvoir ne mènera à aucun changement du régime soviétique ni à l'intérieur ni dans sa politique extérieure : « Dans certaines conditions Malenkov peut devenir — après Staline, ce que Staline devint — après Lénine : une force qui raffermit encore les liens entre la « révolution » et les contingeances de la vie pratique, une force toujours moins théorétique et toujours plus dynamique. »

« La Guerre Psychologique », d'Aleksander KAWALKOWSKI, est une étude du conflit entre l'U.R.S.S. et le monde libre du point de vue de l'idéologie et de la propagande. La guerre psychologique, menée par les Soviets est une guerre totale. Le monde libre devrait de son côté y répondre par une guerre psychologique qui engloberait toutes ses forces : la seule conception autour de laquelle le monde occidental peut élaborer une guerre psychologique totale, c'est celle de la liberté. L'auteur élabore autour de cette conception les grandes lignes d'une offensive psychologique dirigée contre l'U.R.S.S., appliquée aux pays opprimés par les Soviets, et menée pour la consolidation de l'opinion du monde libre.

L'écrivain Witold GOMBROWICZ nous envoie de l'Argentine quelques « Pages de Journal » avec des réflexions mélancoliques et ironiques à la fois, provoquées par la lecture de la presse polonaise en exil.

Czéslaw MILOSZ, dont une conférence fut récemment radiodiffusée en allemand par la « Nord-West-Deutsche Rundfunk », nous parle des lettres qu'il a reçues des auditeurs allemands qui l'ont écoutée. Il semblerait que jamais l'Allemagne et la Pologne, ne furent divisées par un abîme aussi grand. Toutes les lettres démontrent une ignorance profonde de la Pologne et de ses problèmes. Une jeune fille qui vécut en Pologne

pendant l'occupation nazie exprime un certain regret de la façon dont les Polonais furent traités par les Allemands : elle dit avoir compris depuis que « pas tous les Polonais étaient des sous-hommes ». Certaines lettres, pleines de bonne volonté, tâchent d'excuser la Wehrmacht au détriment des autorités civiles. Il est certain, néanmoins, que les crimes commis par les nazis en Pologne sont une réalité abstraite et lointaine pour les Allemands, tandis que toute leur indignation est dirigée contre les « atrocités » des Polonais qui les expulsaient des territoires à l'est de l'Oder.

Marian PANKOWSKI consacre ses « Remarques sur la Poésie » à une comparaison de la poésie contemporaine avec certains poètes modernes français.

Les conceptions esthétiques de Malraux, de Husserl et du philosophe polonais Roman Ingarden servent de fond à Jan ULATOWSKI pour son article sur « La Construction du Tableau ».

La section consacrée par « Kultura » à « La plus récente histoire de Pologne » contient cette fois des souvenirs de Czeslaw JESMIAN sur l'Etat-Major du General Sikorski à Londres.

Une « Lettre allemande » et une « Lettre anglaise » donnent, comme d'habitude, des nouvelles politiques internationales, avec une référence particulière aux questions polonaises.

Dans la section littéraire, des articles sont consacrés au « Nombre d'Or » de Matila C. Ghyka, à l'œuvre de Mircea Eliade, aux souvenirs de Alexei Remizov, aux éditions russes de New York de la « Maison de Tchekov », etc.

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis en l'Ile, Paris (IVe).

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz

Dépôt légal : 2e trimestre 1953

KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

◆

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (S. et O.)
Telefon: Maisons Laffitte (S. et O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 1, Raglan Street, Sydenham, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Składnica (siążki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, uenos Aires	10 peso	60 peso	120 peso
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY Ltd., 7, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA i KONGO BELG.: Janina Korab Brzo-owska-Csaky, 62, Vandrekindere, Bruxelles-Jccle, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: **Walery ader,** Barao de Limeira 915, apto 58, Sao Paulo; **ulia Barcińska,** r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio le Janeiro, oraz **Zofia Kietlińska,** Av. Batel 1514, Curitiba, Parana	15 cruz.	90 cruz.	150 cruz.
FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Ile, aris-IVe	150 fr.	900 fr.	1.800 fr.
KANADA: Krystyna Krakowska, 2290 Av. Mar-il, N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; **tan. L. Lemański,** 570 Aberdeen Ave., Winni-eg/Man.; **H. R. Radomski,** 107 Rose Park Drive, Toronto/Ont., Tel.: HY-0829; **Stanisław Zybała,** 089 Queen St. W., Toronto/Ont.; **„Związko-iec"** (Pol. Alliance Press, Ltd.), 700 Queen St. V., Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 06, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mann-eim-Sandhofen, 4094 LSCO Schoenau, U.S. Zone; **t. Mikiciuk,** Seehamer-Str. 4, Baracke 16B/2, lünchen 54	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 53, rue de Lau-anne, Genève. Tel. 2-23-58.	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsgatan /IV, Stockholm	3 kr.	15 kr.	28 kr.
URUGUAY: Jerzy Pałuski, Calle Itu 2060, Iontevideo-Melvin	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165, Milwaukee ve., Chicago 22, Ill.; **W. Bieńkowski,** «Gryf ubl.», 808 Wager St., Utica, N.Y.; **L. Dudarew-ssetyński,** 28471 Ventura Blvd, Agoura, Cali-ornia; **S. Dziarczykowski,** 3216 W.—15 St., Los ngeles 19, California; **M. K. Dziewanowski,** 27 berdeen Ave., Cambridge, Mass.; **Christian M. retowicz,** 1828 Glenwood Ave., Toledo 2, Ohio; **ndrzej Pleszczyński,** P.O. Box 750, Santa Bar-ara, California; **M. Szyprowski,** 11 Cooper Street, ew York 34, N.Y.; **Kazimierz Trojanowski,** 8805 leal St., Detroit 14, Michigan; **S. Sokołowski,** 856 E. Stiles St Philadelphia 37, Pa.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169/71, Battersea Church Road, London, S.W.11 ..	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trie-te 130/5, Roma, tel. 859632.	250 lir	1.500 lir	2.500 lir

◆

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji, doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie 1 360 frs rocznie. Koszta przesyłki pojedyńczego numeru: 30 fr. fr.

◆

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: **Jerzy GIEDROYC,** 1, Av. Corneille, **Maisons-Laffitte** (S.-et-O.)

Cena ogłoszeń: cała strona 10.000 fr.; 1/2 strony 6.000 fr. fr.

IMPRIMERIE RICHARD. Paris-18e

Cena 150 frs.